



LEGENDY I BAŚNIE O KWIATACH

4-10-

LEGENDY

I BAŚNIE

O KWIATACH

I KWIATY W HISTORII LUDZKOŚCI.

M. ZOŁOTNICKIEGO

ZEBRAŁ I UŁOŻYŁ

ANTONI LITHUANIS

CZĘŚĆ I.



NAKŁADEM AUTORA - KRAKÓW 1914.

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWN. POLSKIEJ.
DRUKARNIA EUG. I DR. KAZIM. KOZIAŃSKICH W KRAKOWIE.

A. KRZYŻANOWSKI

KSIEGARNIA I SKŁAD NUT

- KRAKÓW.

Wojewódzka i Miejska
Biblioteka Publiczna w Rzeszowie

A-64102



001-0075599--00



A-64102

75599

Kto z miłości dla stworzenia
Bada tajemnice świata,
Tego prawda opromienia,
A myśl jego w czyn się wplata.



Wydając tę książkę, gorąco polecam ją młodzieży naszej, która — chyba za bardzo małym wyjątkiem, — tak serdecznie przyrodę miłuje. Młodość, sama pełna uroku i poezyi, — najżywiej odczuje całe piękno tych baśni i legend, wiekami stworzonych, które chociaż mgłą przeszłości zasnutę, tyle jednak życia nadają tym naszym miłym kwiatom, a tyle powagi i znaczenia przez rolę, jaką w życiu ludzkości odegrały, rolę, która jak nie barwna w szarzyźnie życia jaśnieje.

Legendy te, skrzętnie zbierane ze źródeł przeróżnych, z trzech części składać się będą, z których dwie pierwsze zawierają legendy, wraz z historycznym znaczeniem kwiatów połączone i przełożone z dzieł M. Zołotnickiego, który w roku bieżącym wydał książkę pod tytułem: „Kwiaty w legendach i poda-

niach“. (Petersburg. Wyd. Dewrjena*), — trzecia
zaś — same legendy i baśnie.

Jeżeli książka ta będzie się cieszyła uznaniem
młodzieży naszej, to mam nadzieję, że po za temi
trzema częściami, będzie mógł dalszy ciąg się ukazać.

Lithuanis.

*) Przekład robiony z upoważnienia autora.

O, jak cię kocham, Ty boska
matko — przyrodo,
Jak zawsze jesteś cudownie
piękną i młodą!
(M. Bartosówna).

KWIATY I HISTORIA LUDZKOŚCI.

WSTĘP.



UERBACH POWIEDZIAŁ:

„W historyi kwiatów zawiera
się część historyi ludzkości“.

I rzeczywiście, przeczytajmy
uważnie historię powszechną,
zaczynając od najstaroży-
tniejszych czasów aż do nowo-

czesnych, a wszędzie się spotkamy z kwiatami,
które odgrywały mniej lub więcej ważną rolę albo
w wierzeniach ludowych i obrzędach religijnych,
w ważniejszych chwilach życia państwowego lub
kierowników nawy państwowej, szczególnie zaś
w zwyczajach i obyczajach tej lub innej narodowości.

Już w zaraniu rozwoju ducha ludzkiego, spotykamy się u Indusów ze świętym lotosem, którego liście służyły jako kolebka dla Brahmy, i który podnosząc się z wody, wyobraża stworzenie świata. Ten zaś lotos odgrywa ważną rolę w wierzeniach Egipcyan. On wyobraża małżonkę Nilu i wraz ze zjawieniem się jego na powierzchni tej świętej rzeki poczynają się odbywać festyny i uroczystości.

Gdy zajrzemy dalej do historii starożytnej Grecyi, albo Rzymu, to i w niej też się spotykamy z wielu faktami, które nam mówią, że wierzenia starożytnych Greków i Rzymian, cała ich mitologia przeplatana jest, że tak powiem, kwiatami, i że niema tam prawie bóstwa, któreby nie posiadało legendy połączonej z tym lub innym kwiatem, z tą lub inną rośliną.

Nie mniej ważną rolę odgrywały kwiaty w mitologii germańskich i skandynawskich narodów. Z kwiatami wciąż się też spotykamy w historii Persyi, Chin, Japonii i w biblijnych podaniach narodu izraelskiego.

Wraz z powstaniem chrześcijaństwa, kwiaty zaczynają się pojawiać w chrześcijańskich obrządkach religijnych i wiele z tych kwiatów jest poświęconych nawet wyłącznie któremuś świętemu, albo są związane z obchodem jakiegoś święta. Tak na przykład, lewkonia jest uważana we Włoszech, a szczególnie w Rzymie, jako kwiat Wielkiejnocy „*flor da Pas qua*“, i jest niezbędną ozdobą w czasie tych Świąt uroczystych, jak u nas inne kwiaty w dzień świętej Trójcy.

Lewkonია zdołi stoły w czasie obiadów, ołtarze w kościołach, bukieciki jej noszą przypięte na piersi, sadzą je na mogiłach drogich zmarłych. Nie mieć w te dnie lewkonii dla Rzymianina, byłoby również ciężkiem i smutnem, jak dla naszego chłopka nie mieć kraszanki wielkanocnej. W średnich wiekach oprócz tego, kwiatami byli nagradzani zwycięzcy na turniejach, kwiaty służyły również jako emblemat dwóch wrogich sobie obozów i t. p. Coś podobnego widzimy również i w naszych czasach, kiedy wspomnienie o jakiejś historycznej osobie jest połączone z którymś kwiatem lub rośliną. Tak na przykład, bławatki przypominają nam cesarza Wilhelma, *primule* — *Bikonsfilda*, a konieczyna trójlistna — uroczystość św. Patryka w Irlandyi i t. d.

I oto z historyczną rolą niektórych kwiatów i roślin możemy zapoznać czytelników.

O lilio białe!

Coś na ołtarze wstąpiła z Maryą
Powiedz mi, powiedz, prorokini wonna;
Jakie się w tobie tajemnice kryją?

Kwiat twój otwarty, a jednak głęboki
Takaś poważna, a smutna, a szczytna!
O, znać, że w ciebie patrzyli proroki,
Bo choć świecąca, takaś aksamitna!

W. Pot.

LILIA BIAŁA

(*Lilium candidum*).



PRZEŚLICZNA BIAŁA LILJA

— ten symbol niewinności
i czystości — ma w mitologii
ciekawą legendę. Grecy wiedli
jej ród od bogów. Według ich
słów, wyrasta ona z mleka
matki bogów — Junony. Po-

danie głosi, że piękna królowa Alkmene, matka
Herkulesa, bojąc się zemsty zazdrosnej Junony
i chcąc ukryć zrodzonego od Jowisza Herkulesa,
położyła go pod gęstym krzakiem. Lecz Minerwa,
znając boskie pochodzenie dziecka, z rozmysłem
zaprowadziła Junonę do tego miejsca i pokazała
jej biedne, opuszczone przez matkę dziecię. Zdrowe,
śliczne dziecko bardzo się podobało Junonie, a jako

opiekunka wszystkich nowonarodzonych, wzięła je na ręce i zaczęła karmić. Lecz dziecko, instynktem wiedzione, odczuło smak wroga i tak mocno ją w pierś ugryzło, że ona, krzyknąwszy z bólu, odsunęła je gwałtownie od siebie. Mleko trysnęło, rozlało się po niebie i uformowało drogę mleczną, a kilka kropel spadło na ziemię i krople te zamieniły się w lilie białe, by wiecznie przypominały ludziom czystość pokarmu królowej bogów. U Greków nosiły one nazwę „róz Junony“.

Lecz daleko wcześniej jeszcze niż Grekom, lilia znaną była starożytnym Persom, których stolica zwała się Suzą t. j. miastem lilij (od tego słowa pochodzi, jak przypuszczają, Suzanna cz. Zuzanna, bo po hebrajsku „shusham“ znaczy też lilia). Z tej przyczyny w herbie tego miasta, jako symbol piękności niepokalanej, mieszczą się lilie.

W ziemi Judzkiej, u starożytnych hebrajczyków, lilia bardzo była lubianą, jako symbol czystości niepokalanej. Wedle podań hebrajskich, lilia rosła w raju w tym czasie, gdy Ewa kuszoną była od węża i mogła się skalać od niego; pomimo to jednak została czystą i białą i żadna ręka brudna nie odważyła się jej dotknąć. Dlatego to Żydzi ozdabiali nią nie tylko święte ołtarze swoje, ale i czoła swych władców, n. p. króla Salomona. Wielki architekt, który budował świątynię Salomona nadał śliczną formę lilii freskom ozdabiającym olbrzymie kolumny tej świątyni, a także ozdobił niemi ściany i sufit, dzieląc zdanie całego narodu,

że widok tych lilij, modlącym się ducha podnosi. Z tej samej zatem przyczyny kazał Mojżesz ozdobić liliami siedmioramiennik i naczynie, w którym arcykapłan umywał ręce. Jest też podanie, że kolebka Mojżesza zatrzymała się tam, gdzie rosły lilie, ale były to zapewne żółte lilie, które rosną zwykle wśród si-
towia.

Lilię spotykamy też i u Egipcyan, gdzie ją widzimy na hieroglifach, jest ona symbolem krótkotrwałości życia, albo wyzwolenia i nadziei. Oprócz tego liliami ozdabiane były ciała zmarłych młodych dziewcz Egiptu, — dowodem czego może być lilia, znaleziona na piersi mumii młodej Egipcyanki. Mumia ta znajduje się obecnie w muzeum Louvre w Paryżu. Z kwiatu lilii starożytni Egipcyanie przyrządzali wonny olejek, suzinon, o którym mówi bardzo obszernie Hippokrates w swym traktacie „o naturze kobiecej“.

Nie małą rolę odgrywała lilia i u Rzymian, szczególnie w czasie ich igrzysk kwiatowych, urządzanych na cześć bogini wiosny, Flory. Przy dźwiękach trąb i litawrów kobiety urządzały wyścigi, a ta, która zwyciężyła, bywała wieńczoną i osypaną całą powodzią kwiatów. W czasie wieńczenia zjawiał się posąg samej bogini Flory, ozdobiony liliami i wieńcami z kwiatów. Igrzyska te urządzone były przez kochankę Pompejusza, Akkę Laurencyę, którą za nadzwyczajną jej piękność Cecyliusz Metella, drugi jej wielbiciel, zaliczył w poczet bogów i na cześć jej postawił posąg w świątyni Kastora i Polluxa. Oprócz posągu bogini

Flory, amfiteatr, łożę, arena, publiczność cała była ozdobioną kwiatami i chociaż wśród kwiatów przeważała róża, lecz biała lilia znamionowała elegancję i gust wyszukany. Tym kwiatem bogate patrycjuszki i patrycyusze zdobili swe łożę i swe rydwany. Lilię białą uważali Rzymianie jako symbol piękności i nadziei.

Lilię spotykamy też w mitologii starożytnych Germanów. Bóg piorunu, Tor, był zawsze przedstawiany z błyskawicą w prawem ręku, a berłem ozdobionem lilią, w lewem. Wedle ich podania, każda lilia posiada swego elfa, który razem z nią na świat przychodzi i razem z nią umiera. Kielichy tych kwiatów służą elfom za dzwonki i kołysząc je, zwołują oni swych współbraci na modlitwę wieczorną. To nawoływanie na modlitwę odbywa się zwykle o późnej nocej godzinie, kiedy już wszystko w ogrodach się uspokoiło i pogrążyło się we śnie głębokim. Wtenczas jeden z elfów wbiega leciutko po cienkiej i giętkiej łodydze lilii i zaczyna jej kielich kołysać. Kielichy dzwonią i swym dźwiękiem srebrzystym budzą śpiących elfów. Malutkie istotki budzą się, wychodzą ze swych mięciutkich łóżeczek i w skupieniu, poważnie wchodzą w kielichy lilii, które służą im jako świątynie. Tam oni klękają, składają ręczki nabożnie i ślą gorące modły ku Stwórcy, dziękując Mu za łaski doznane i dobrodziejstwa. Pomodliwszy się, znowu wracają do swych pościółek wśród kwiatów, gdzie głęboko i spokojnie usypiają.

Lecz nigdzie lilia nie miała takiego historycznego znaczenia, jak we Francyi, bo z nią połączone są imiona : założyciela państwa Francuskiego, Chlodwiga, i królów : Ludwika VII, Filipa III i Franciszka I, a także cała legenda o zjawieniu się jej na sztandarze królów Francyi. O zjawieniu się trzech złotych lilij podanie głosi, co następuje :

Mówią, że Chlodwig, będąc jeszcze poganinem, wojował raz z Alemanami przy Culpiku, lecz widząc, że ci ostatni biorą górę nad jego wojskiem, zawołał : „Boże chrześcijański! Boże, którego czci żona moja Klotylda, (córka Hilperyka, chrześcijanka), pomóż mi zwyciężyć, a ja w Cię uwierzę!“ I nagle zjawił mu się Anioł boży z gałązką lilii i powiedział mu, by on kwiat ten uczynił swym orężem i przekazał go swym potomkom. W tej chwili męztwo wstąpiło w żołnierzy Chlodwiga i z nowemi siłami rzucili się oni na wroga i zmusili go do ucieczki. Otóż przez wdzięczność za łaskę otrzymaną, udał się Chlodwig w r. 496 po Chr. do Reimsu i tam ze wszystkiemi swemi Frankami, z ich żonami i dziećmi przyjął chrzest święty. I od tego czasu lilia staje się godłem władzy królewskiej.

Lecz lilia, zesłana Chlodwikowi przez Anioła, była podobno nie biała, lecz ognisto-purpurowa. Lilia ta rosła we wschodniej Flandryi w rzeczce Li (Lys), wpadającej do Szeldy, na brzegu której była bitwa Chlodwika z Allemanami. Po zwycięstwie, żołnierze Chlodwiga narwali lilij, uwieńczyli niemi swe głowy

i tak wrócili do ojczyzny. Nazwa tej rzeczki przeszła na kwiaty i one zaczęły zwać się „Lys“.

Wszystko to działo się w V wieku, potem zaś dużo lat minęło, a w kronikach Francyi nic o lilii nie wspominają. Jedynem wspomnieniem o lilii jest berło pierwszych królów francuzkich, ozdobione lilią i przechowane w St. Germain-le-Prés, najstarożytniejszym kościele Paryża, zbudowanym jeszcze w XII wieku.

W XII wieku też Ludwik VII, udając się na drugą wyprawę krzyżową, wziął lilię za dewizę i kazał ją umieścić na sztandarze. Wybrał ją najprzód dlatego, że jej nazwa, która się wtenczas wymawiała Loys (Loi), miała niejaki podobieństwo do jego imienia Louis, a powtórę dlatego, że król Chlodwig za jej pomocą zwyciężył niegdyś wrogów chrześcijaństwa. W ten sposób pierwszy raz zjawia się biała chorągiew z trzema złotymi liliami, które stały się z czasem emblematem władzy królewskiej.

Lilię widzimy też w herbie Ludwika IX, lecz razem ze stokrotką (marguerite), którą on umieścił na cześć ukochanej swej żony Małgorzaty. Trzy lilie też jaśniały na jego sztandarach w czasie jego wypraw krzyżowych i oznaczały: litość, sprawiedliwość i miłosierdzie, — i rzeczywiście te cnoty zdobiły całe panowanie tego najlepszego z królów. Następca Ludwika IX, Filip III Śmiały, był pierwszym z królów francuskich, który się pieczętował trzema liliami, a przy Karolu VII, który żył od 1422—1461 r. t. j. w 200

lat po Filipie III Śmiałym, pieczęć ta jest herbem państwowym.

Karol VII, chcąc uczcić pamięć Joanny d'Arc, nadaje szlachectwo całej jej rodzinie wraz z nazwiskiem „du Lys” i herb, który posiadał na tle niebieskiem miecz z dwiema liliami i wianek lilij u góry.

Za panowania Ludwika XII lilia stała się główną ozdobą wszystkich ogrodów Francji i nazywa się „kwiatem Ludwika”, bo wedle słów współczesnych ludzi tylko biała lilia mogła stać się wyrazicielką czystości obyczajów i pięknej duszy tego ojca narodu.

Nie małą rolę grała lilia przy ustanowieniu orderów. Ludwik XVIII, wróciwszy na tron po 100 dniowym panowaniu Napoleona I, ustanowił order białej lilii, przewiązanej białą jedwabną wstęgą. Order ten był rozdany w takiej ilości, że stał się jakby godłem partii Burbonów, gdy przeciwnie, stronnicy Napoleona mieli fijołek, jako godło. W czasie powstania 1793 r. rząd republikański starał się obniżyć ten emblemat władzy królewskiej i nawet kazał znaczyć przestępców znakiem lilii. Drugi order z wyobrażeniem lilii był ustanowiony jeszcze w 1048 r. przez króla nawarrskiego Don-Garcja IV. Potem papież Paweł III ustanowił w 1546 r. też order lilii, którym nagradzał przede wszystkim stronników kościoła i tronu papieskiego. A papież Paweł I utwierdził go i wyniósł nad wszystkie ordery.

Oprócz tego lilie spotykamy też na monetach. Ludwik XIV wydał w 1655 r. monety, które nosiły

nazwę złotych i srebrnych lilij (lys d'or et d' argent). Złota lilia zawierała w sobie 25 karatów złota. Na jednej stronie monety znajdował się wizerunek króla, ozdobiony liliami, a z drugiej — herb Francji z liliami, podtrzymywany przez aniołów. Srebrne monety nie długo trwały, a złote były w obiegu do 1679 r. Wizerunek lilij posiadały jeszcze inne francuskie monety — floreny, które tak się nazywały od włoskiego słowa („fiorino“ kwiat). Pierwsze floreny pojawiły się we Francji za panowania Ludwika IX. Z jednej strony był wizerunek króla, albo Jana Chrzciciela, a z drugiej — krzyż, otoczony liliami z napisem: *Christus vincit, Chr. regnat, Chr. imperat* (Chrystus zwycięża, Chrystus króluje, Chrystus rządzi).

Lilia bardzo była lubianą we Francji i była też symbolem przywiązania i czci, i dlatego to w rodzinach arystokratycznych był zwyczaj, że oblubieniec porywał swej narzeczonej co rano, aż do dnia ślubu, bukiety żywych kwiatów, wśród których musiało być koniecznie kilka białych lilij.

Sąsiedzi Francuzów z południa, Hiszpanie i Włosi, też bardzo lubili i czcili lilię. U tych narodów, jak wogóle u wszystkich narodów katolickich, lilia uważana była jako kwiat Najświętszej Dziewicy i dlatego wizerunek Matki Bożej jest zawsze prawie otoczony liliami. W wieńcach z białych lilij idą tu zwykle młode dziewczeczki do pierwszej Komunii św., co czyni się na pamiątkę tego, że kiedyś podobno wszystkie młode

dziewice też w wieńcach białych lilij przyjmowały Chrzest św.

Oprócz tego, w górach Pirenejskich jest od niepamiętnych czasów zwyczaj co roku, 24-go czerwca, w dzień św. Jana przynosić w ogromnej ilości lilie białe do kościoła, gdzie umieszczano je w ślicznych doniczkach dla poświęcenia. Tam one zostawały przez całą Mszę św., potem kapłan skrapiał je wodą święconą, a następnie z tych lilij robiono bukiety i składając je na krzyż, przybijano je nad drzwiami każdego domu, który tym sposobem oddawany był pod opiekę Jana Chrzciciela. Bukiety te zostawały tak aż do dnia św. Jana roku następnego.

Jest podanie, że Archanioł Gabryel zjawił się Najświętszej Pannie z gałązką białych lilij i dlatego to na wszystkich naszych obrazach Anioł, zwiastujący N. P., jest zawsze wyobrażany z lilią w ręku. Z taką gałązką białych lilij, jako symbolem czystości niepokalanej, są u nas wizerunki św. Józefa, św. Jana, św. Franciszka, św. Norberta, św. Gertrudy i innych Świętych.

Białymi liliami ozdabiają też w katakumbach grób św. Cecylii.

Dużo jest podań o lili w ziemiach Germanów. Naprzykład w górach Hartzu kursuje legenda „o lili kwitnącej w nocy“. Było to niedaleko miasteczka Lauenburg. Śliczna młoda wiejska dziewczyna, Alisa, poszła ze swą matką po chróst do lasu, w tem spotyka je władca tego kraju, hrabia Lauenburski, znany roz-

pustnik i uwodziciel. Zachwycony pięknością dziewczyny hrabia, zaprasza ją do swego zamku, obiecując ją uszczęśliwić i obsypać bogactwem. Znając jego srogi charakter i szalony upór, matka Alisy niby namawia ją udać się do hrabiego, lecz gdy ten ostatni odjeżdża, ucieka wraz z córką do sąsiedniego klasztoru i błaga mniszek, ażeby ukryły je przed prześladowaniem hrabiego. Wkrótce jednak hrabia odkrywa ich schronienie, zdobywa wraz ze swymi rycerzami klasztor i uwozi nieszczęśliwą. Objąwszy ją siln'ie ramionami, leci z nią co koń wyskoczy i o północy wjeżdża na dwór swojego zamczyska. Lecz Duch gór, chcąc ją obronić, zabiera jej duszę i hrabia przywozi do siebie Alisę już martwą. Zdejmuje ją z konia, i w tem miejscu, gdzie nogi jej dotknęły się ziemi, wyrosła cudna biała lilia, która u ludu znaną jest pod nazwą „Lauenburskiej lilii“.

Wedle niemieckich podań ludowych, lilij nigdy nie sadzą na mogiłach, lecz sama ona wyrasta pod wpływem niewidzialnej siły i najczęściej na mogiłach samobójców, albo tych, którzy umarli gwałtowną i straszną śmiercią. Jeżeli wyrasta na mogile zabitego, to przepowiada zemstę i karę dla zabójcy, ale jeśli zakwita na mogile samobójcy grzesznika, to niesie mu przebaczenie za grzech popełniony. Takie podanie zawarte jest w balladzie „*Der Mordknecht*“ (sługa zabójcy). Ballada ta opiewa, że pani jedna, za namową swego kochanka, każe słudze zabić męża swego, gdy ten samotny przechodził przez

pole, i tam go grzebie. Piękna pani suto obdarza za to wiernego sługę. Lecz gdy razu pewnego przejeżdża po tem polu, spostrzega z przerażeniem, że na tem miejscu, gdzie mąż był pogrzebany, wyrosły białe lilie i że one groźnie kiwają na nią głowami. Strach i wyrzuty sumienia tak zaczynają ją dręczyć i dniem i nocą, że nigdzie spokoju znaleźć sobie nie może i w końcu idzie do klasztoru.

Prawie to samo podanie zawiera w sobie ballada „Lilie“ naszego Mickiewicza, tylko tam nasz poeta mówi, że

Pani lilią grób zasiewa,
A zasiewając tak śpiewa:
„Jak pan leży głęboko,
Tak ty rośnij wysoko“.

Na zakończenie można jeszcze wspomnieć o znaczeniu lilii w Chinach. W tym dziwnym kraju „złotą lilią“ nazywają nie nasz kwiat czarujący, ale okaleczoną, podobną do kopyta, nogę Chinki, która w Państwie Niebieskiem uważaną jest za szczyt piękności. Ponieważ okaleczone nogi Chinki, chód jej czynią bardzo powolnym i przytem musi się ona chwiać, żeby nie stracić równowagi, więc ten chód nierówny Chińczycy porównują do kołysania się kielicha lilii. Coby na to lilja powiedziała, gdyby mówić mogła?

Białe róże, senne róże,
Dobrej nocy wam,
Lśni miesięczek po lazurze
Wśród srebrzystych łain! —

RÓŻA.

(*Rosa spinosissima*).



ÓŻA, TA KRÓLOWA KWIATÓW, była lubianą, czczoną i opiewaną od niepamiętnych czasów. Tyle się o niej złożyło legend, taką znaczącą rolę grała ona w historyi ludzkości, że o niej możnaby napisać całe tomy. Wybierzemy podania najbardziej zajmujące. Najpierwszą wiadomość o róży spotykamy w staro-indyjskich podaniach, podług których, cieszyła się ona w Indjach tak wielkiem poszanowaniem, że nawet egzystowało prawo, podług którego każdy, ktoby przyniósł królowi różę, mógł prosić u niego wszystkiego, czegoby sobie tylko życzył. Brahmini ozdabiali niemi swe świątynie, po-

sypywali niemi drogę. po której kroczyli bogowie w czasie uroczystych procesyj, niemi ozdabiali królowie swe komnaty, niemi płacono królewskie podatki. Zapach zaś jej uważano w Indyi za tak miły, że indyjscy książęta i księżniczki kazali urządzać w swych prześlicznych ogrodach rowy, napelnione wodą różaną, żeby zapach róży przesiąkał całą atmosferę i zewsząd ich otaczał.

O zjawieniu się róży na świecie nic się jednak w tych podaniach nie wspomina, tylko w indyjskich puranach (mytach) mówi się, że najpiękniejsza w świecie kobieta, Lakszmi, powstała z rozwijającego się pączka róży, który się składał ze 108 dużych i 1008 małych listeczków. Wisznu, władca świata, ujrzawszy tę cudną piękność, kryjącą się w swej prześlicznej różanej kolebce, oczarowany jej wdziękiem, rozbudził ją pocałunkiem i w ten sposób uczynił sobie z niej małżonkę. Od tej chwili Lakszmi stała się boginią piękności, a przechowująca ją róża — symbolem boskiej tajemnicy i poczęto ją uważać za świętą wśród wszystkich wschodnich narodów.

Powlóklszy, jak mgłą, Wschód cały swemi legendami, róża znalazła sobie główne siedlisko w starożytnym Iranie, krainie Persów, gdzie poeci napisali setki tomów o jej piękności. Podług słów jednego z tych poetów, była ona podarunkiem samego Allacha. Pewnego razu zjawiły się do niego wszystkie dzieci Flory z prośbą naznaczyć im nowego władcę zamiast sennego lotosu (wodna lilia Nilu), który pomimo to,



iż był dziwnie piękny, lecz w nocy zapominał o swych obowiązkach.

Wtenczas Allah, wysłuchawszy je łaskawie, przyjął ich prośbę i nazaczył im jako panią, białą dziewiczą różę, z ochraniającymi ją ostrymi kolcami.

Gdy słowik ujrzał tę nową cudną królowę kwiatów, to był do tego stopnia oczarowany jej pięknością, że z zachwytem przycisnął ją do piersi. Lecz ostre kolce, jak kindżały, wpiły mu się w serce i ciepła pąsowa krew, wytrysnąwszy z kochającej piersi nieszczęśliwego, zrosiła sobą delikatne listki cudnego kwiatu. Oto dlaczego — mówi perskie podanie, — wiele zewnętrznych listków róży dotąd ma różowy odcień.

Słowo „giul“ róża, dla Persa, a szczególnie dla Persyanki, jest ze wszystkich słów najpiękniejszym, a Persya otrzymała od poetów miano „Giulistana“ t. j. ogrodu róż. I rzeczywiście wszędzie tu są róże. Ogrody i wewnętrzne podwórza są niemi przepelnione, niemi też ozdabiane są wszystkie komnaty, kąpiele, mogiły; bez nich niema ani święta, ani uroczystości żadnej. Szczególniej pięknem jest święto, które się obchodzi co rok w Kaszemirze. Jestto święto rozpuszczającej się róży. Bywa ono zwykle w tym czasie, kiedy róże poczynają rozkwitać. Wtenczas zewsząd się zbiera do Kaszemiru młodzież i przechadzając się po ulicach z koszami, róż pełnymi, rzuca niemi w przechodniów. Ten lub ów, w kogo trafiła róża, muszą dać temu, kto w nich rzucał, jakiś podarunek.

Wszyscy czynią to z przyjemnością, bo wiedzą i są przekonani, że potok róż, który je obsypuje, przyniesie im szczęście. Wśród perskich poetów najładniej opiewał różę znakomity Hafiz i dlatego został pochowany w miasteczku Kesser, które ma wygląd najobszerniejszego ogrodu róż na całym świecie.

Od Persów, miłość i cześć dla róży przeszła następnie do Turków czyli, właściwie mówiąc, do wszystkich mahometan, którzy zgodnie z Koranem, wierzą, że biała róża powstała z kropel potu Mahometa przy jego nocnem wstąpieniu do nieba. (Podług Koranu, z kropel potu tego zwierzęcia, które znajdowało się wówczas przy Mahomecie, powstała żółta róża, a z kropel potu Archaniola Gabryela, który mu towarzyszył — pąsowa). Z tej przyczyny oni jej przypisują siłę oczyszczającą, i żaden mahometanin nie tylko że nie pozwoli sobie nastąpić nogą na różę, lecz gdyby nawet ujrzał na ziemi leżący jeden jej listek, to natychmiast go podniesie i położy na czyste miejsce. Wskutek tego zapewne, siłę oczyszczającą przypisują oni też i wodzie różanej, którą z niej wyrabiają. Sul-tan Saladyn, który odebrał od chrześcijan w 1189 r. ponownie Jerozolimę, wstąpił do meczetu Omara, który przez krzyżowców na kościół zamieniony został, nie pierwaj, aż nim kazał obmyć całą posadzkę, wszystkie jego ściany, nawet skały, na których on był zbudowany, wodą różaną. Ile na to zużyto tej wody, można sądzić po części z tego, że dla jej przewiezienia potrzeba było więcej niż 500 wielbłądów.

Tak samo postąpił i Mahomet II. ze świątynią św. Zofii po zdobyciu Konstantynopola w 1453 r. Przedtem, niż zamienić w meczet tę cudną świątynię, kazał ją całą, od góry aż do dołu, obmyć wodą różaną.

Ciekawe zastosowania mają w Turcyi jeszcze listki różane, szczególnie listki róż różowych. Listkami temi owijają, czyli, właściwie mówiąc, osypują niemi w seralach nowonarodzone dzieci, — i tylko w braku tych listków, używają w tym celu gazę różową, która barwą swą je przypomina i którą, jak wiadomo, co rok wysyłają całemi tysiącami metrów do Turcyi i Egiptu.

Czy starożytni Izraelici znali różę, to zostaje pytaniem nierozstrzygniętem, bo niektórzy uczeni dowodzą, że żydowskie słowo „szoszam“ przetłumaczone przez Lutra słowem „róża“, oznacza nie różę, lecz lilię pąsową. Z innej znowu strony, podług Talmudu, pąsowa róża powstała z niewinnie przelanej krwi Abla, i dlatego powinna służyć jako ozdoba każdej oblubienicy, w dzień ślubu. Można raczej przypuszczać, że Izraelici poznali ją tylko po swym powrocie z Egiptu, który z kolei poznał się z nią nie wcześniej, aż w VII stuleciu przed Nar. Chr., ponieważ do tego czasu wyobrażenia jej nie spotyka się na żadnym pomniku egipskim, na żadnym papyrusie.

W VII-em stuleciu, za czasów Ptolomeuszów, sławnem już było w Egipcie miasteczko Arsinoe, gdzie nawet z róż pędzono wodę różaną, a znakomita kró-

lowa egipska, Kleopatra, przyjmując u siebie Marka Antoniusza, każe pokryć całą posadzkę salonu, gdzie miała być wydana uczta w cześć jego, — kobiercem z listków różanych, których pokład sięgał prawie $\frac{1}{2}$ cala grubości. Ażeby wygodniej było po nim chodzić, cały ten kobierzec pokryty był drobną siatką jedwabną. Sama ta ozdoba kosztowała $1\frac{1}{2}$ talentów srebra, t. j. więcej niż 2000 rs.

Różane listki, — jak opowiada Plinijusz, odegrały ważną rolę i w dalszym życiu Kleopatry, bo pomogły jej przekonać podejrzanego Marka Antoniusza o szczerości jej uczucia. Wiadomem jest z historii, że w czasie uczt przyjacielskich, było u Rzymian we zwyczaju rzucać do wina listki ze swych wianków i razem z winem wypijać je w znak przyjaźni dla tego, kto je rzucał. Kiedy Antoniusz stał się wielce podejrzanym i do tego stopnia przejął się myślą o wiarołomstwie Kleopatry, że kazał próbować wszystkie potrawy swemu słudze, — to Kleopatra, by go uspokoić, postanowiła uczynić, co następuje: kazała skropić silną trucizną różę swego wianka i kiedy Antoniusz w chwili upojenia, miłość swą jej przysięgał, a osypując różę z jej wianka do swego pucharu z winem, chciał to wypić, to ona, wyrwawszy mu spieszenie z rąk puchar, rzekła: „Widzisz, drogi mój Antoniuszu, z jaką łatwością mogłabym się ciebie pozbyć, gdybym mogła żyć bez ciebie!“ I rozkazawszy przywieść skazanego na śmierć niewolnika, kazała mu wypić zawartość pucharu Antoniusza. Śmierć nastąpiła natychmiast, a widok ten tak

silne wywarł wrażenie i do tego stopnia przekonał Antoniusza, że przez wdzięczność prosił Kleopatę, by nie zapominała zawsze zdobić jego mogiłę różami, w razie jeżeliby on wcześniej od niej z życiem się rozstał.

Opisawszy w krótkości rolę róży u wschodnich narodów, przenieśmy się teraz do Grecyi, — tego środowiska życia umysłowego całego świata starożytnego. Grecy uważali różę jako dar bogów, i znakomita poetka, Safo, dała jej miano „królowej kwiatów“. Zjawienie się tego najpiękniejszego z kwiatów, greccy poeci oblekli w cały szereg cudnych legend i podań.

Podług słów Anakreona, powstała ona ze śnieżnej piany, która pokrywała ciało Afrodyty (Wenus), gdy ta bogini miłości w całej swej cudnej piękności wyszła na brzeg morza po kąpieli. Ujrzawszy na niej nie mniej piękny kwiatek, zachwyceni bogowie skropili go natychmiast nektarem, który nadał jej wonność cudowną. Jednak ten nektar boski, dając zwykle nieśmiertelność, tym razem przez zazdrość niektórych bogów, nie udzielił jej róży i ona została również śmiertelną, jak i wszystko, co na świecie się rodzi.

Pojawiającą się w całej swej dziewiczej piękności i czystości białą różę, kapłani Afrodyty zanieśli do świątyni tej bogini i nią ozdobili jej ołtarz i otaczający ją ogród. Róża ta została białą dopóty, aż nim serce Afrodyty nie było zranione wieścią o tem, że jej ukochany Adonis leży na śmierć raniony przez dzikiego wieprza. Zapominając o wszystkim, z nie-

wymowną boleścią w sercu, bogini pędzi co tchu do gaju Pithona, gdzie leży jej ukochany i biegnąc nie zwraca wcale uwagi na kolce róż, które do krwi ranią jej stopy. Kilka kropel tej krwi boskiej pada i na róże i one z białych zmieniają się w pąsowe.

Podług innego podania, biała róża zamieniła się w pąsową w czasie jednej z uczt bogów na Olimpie. Fruwając w wesołym tańcu, — głosi ta legenda, — Amor przewrócił niechcący swemi różowo-pąsowymi skrzydłami amforę z nektarem, który rozlawszy się na kwitnące tutaj róże, — zabarwił je na pąsowo i dał im woń cudną.

Jeszcze poetyczniejsze jest podanie o stworzeniu pąsowej róży przez boginię Florę. Nie lubiąca i unikająca przez długi czas Amora, — Flora została jednak w końcu zranioną przez jego strzałę i od tej pory zapalała do niego namiętną miłością. Lecz chytry bóg, dopiąwszy swego celu począł z kolei unikać Flory i oto wtenczas, nie mogąc zaspokoić swej namiętności, — ona postanowiła stworzyć kwiatek, który zarazem śmieje się i płacze, i łączy w sobie smutek i radość. Ujrawszy wyrastający jej w ręku cudny kwiatek, bogini zachwycona chciała zawołać: „Eros“ (tak zwali Grecy Amora), lecz nieśmiała z przyrodzenia, zacięła się, umilkła i połknąwszy pierwszą sylabę, zawołała tylko „Ros“. Rosnące w okół kwiaty, podchwyciły to i odtąd kwiat ten począł się nazywać „różą“.

Nakoniec, podług innej jeszcze legendy, róża za-

wdzięcza swe pochodzenie bogini myśliwstwa, Dyanie. Zakochana w Amorze, bogini ta zaczęła go zazdrościć do cudnie pięknej nimfy Rozalii, myśląc, że on tę ostatnią nad nią przekłada. I oto pewnego razu, w przystępie szalonego gniewu, schwyciła ona nieszczęśliwą nimfę i zawlokła ją do poblizkiego krzaku tarniny i poraniwszy ją całą strasznymi kolcami tego kolącego krzaku, — pozbawiła ją życia. Dowiedziawszy się o smutnym losie swej ukochanej, Amor udał się spiesźnie na miejsce zbrodni i znalazłszy nimfę bez życia, pełen bezbrzeżnego smutku, zalał się gorącymi łzami. Łzy jego kapąły bez przerwy na krzak tarniny i, — o, cudo! zroszony niemi krzak począł się okrywać cudnymi kwiatami. Kwiaty te były — róże.

Róża grała u Greków ważną rolę, nie tylko w wesołych i smutnych ich uroczystościach, lecz także i w ich życiu domowem. Wiankami z róż, mirtiem przeplatane, zdobili oni głowę panny młodej. Różami zdobiono drzwi, prowadzące do jej domu, a listkami róży osypywano jej łożo małżeńskie. Wianki z róż posyłałi sobie wzajemnie zakochani, lub kładli je u progu domu. Jeżeli zaś u kogo z młodych ludzi rozrywał się wianek, to mówili, że on jest „zakochany“ i kiedy on, niechcąc się przyznać, poczynał się zapierać, to używano tak zwanej różanej wróżby, która, jak mówi Teokrit, była następująca: brano różany listek, kładziono go nad wklęśnięciem, uformowaniem wielkim i wskazującym palcem lewej ręki, a dłońią prawej uderzano po tem miejscu. Jeżeli listek zostawał

cały, to ten co się zapierał, miał rację, a jeżeli pękał i przytem z klaśnięciem, to z wypierającego się swej miłości chłopca lub dziewczyny poczynano żartować, mówiąc, że oni są zakochani, lecz bez nadziei na wzajemność.

Różami i wiankami z róż Grecy osypywali drogę, wracającemu z wojny zwycięscy i ozdabiali nimi wóz tryumfalny. Niemi też zdobiono groby i ciała drogich zmarłych. Tak na przykład Homer mówi, że Afrodyta ozdobiła niemi ciało Hektora, i że Anchiz prosił dać mu róże, by ozdobić niemi mogiłę swego przyjaciela. Różami też zdobiono nieustannie mogiłę Sofoklesa.

Róże nosili Grecy na głowie i na piersiach także na znak żałoby, jako symbol krótkotrwałości życia naszego, które więdnie równie szybko, jak woniejąca róża. I z tej przyczyny złożyło się nawet przysłowie: „Jeżeli ominąłeś różę, to nie szukaj jej więcej“. Zdobili też różami pomniki i urny z popiołem zmarłych, ponieważ przypisywali im cudowne własności ochraniające szczątków śmiertelnych od zepsucia i wierzyli, że zapach tych róż miłym jest dla dusz zmarłych. Oprócz tego w pączku róży widzieli symbol nieskończoności, który się wyrażał w jego okrągłej, nie mającej ani początku ani końca, formie i na tej zasadzie, na greckich mogilnych pomnikach, bardzo często można było się spotkać z rzeźbą mocno zwinętego pączka róży.

Nie mniej ważną rolę grała róża i w religijnych obrządkach Greków. Wiankami z róż zdobili oni czoła

bogów i takie same wianki do stóp im składali. Lecz szczególnie lubili wieńczyć niemi posąg Wenery: róże, które na jej czole zwiędły, miały podług ich mniemania własności cudowne. Eljan opowiada nawet następujące zdarzenie: znakomita kurtyzana i pierwsza piękność w całej Grecyi, Aspazya, miała w dzieciństwie na policzku narośl, której w żaden sposób się pozbyć nie mogła, pomimo wszelkich usiłowań najznakomitszych ówczesnych lekarzy.

Mocno szpecąca twarz, narośl ta doprowadziła ją do takiej rozpacz, że będąc już młodą dziewczyną, postanowiła umrzeć. Uratował ją sen. Przyśniło się jej, że ukochany ptak Wenery — gołąb, zjawił się jej w postaci młodej dziewczyny i poradził jej zdjąć zwiędłą na czole bogini różę, a zrobiwszy z tych liści coś w rodzaju maści, posmarować narośl. Aspazya uczyniła, jak jej było powiedziano, narośl znikła i ona stała się najpiękniejszą z kobiet greckich.

Najznakomitsze w Grecyi świątynie Wenus, które się znajdowały na wyspach Cyprze i Rodosie, były otoczone wspaniałemi i olbrzymiemi ogrodami róż najpiękniejszych. Tu cześć dla róży była tak wielką, że nawet na monetach rzeźbiono jej wizerunek.

Wogóle, należy nadmienić, że w Grecyi nie tylko sama róża była w największem poszanowaniu, lecz nawet handel różami i splatanie z nich wianków. Pierwsza kobieta, która wiała wianki z róż w starożytnej Grecyi, piękna Glicera z Sikjona, została nawet

uwiecznioną przez znakomitego greckiego malarza, Pauzjasa, który jej portret namalował.

Później, za samą tylko kopię tego malowidła, Lukullus zapłacił kilka tysięcy rubli.

Z Grecyi róża została przeniesioną do Rzymu i zaaklimatyzowała się tam doskonale. Lecz cudny ten kwiatek miał tutaj zupełnie inne znaczenie. W tym czasie gdy w Grecyi bogowie uważali różę, jako symbol miłości i piękności, a ludzie — wesela, radości, lub głębokiego smutku, — Rzymianie za czasów republiki, czcili ją jako symbol cnoty i dawali ją jako nagrodę za wzniosłe czyny, — zaś w czasie upadku Rzymu, była ona już symbolem zepsucia i przedmiotem zbytku, na który tracono szalone pieniądze.

Z początku, jak nam mówi Elian, rzymscy żołnierze idąc na wojnę, zdejmowali helmy, a nakładali, wianki z róż na głowę, żeby natchnąć siebie odwagą, i wogóle w tym czasie służyła ona symbolem męstwa. Był to jakby order, który dawano w nagrodę za nadzwyczajny heroizm. Tak n. p. Scypion Afrykański pozwolił żołnierzom 8-go legionu, którzy pierwsi wpadli do nieprzyjacielskiego obozu, nieść w rękę bukiety z róż, w czasie ich tryumfalnego wkroczenia do Rzymu, żeby zaś uwiecznić ich męstwo nadzwyczajne, kazał wyrzeźbić wizerunek róży na ich puklerzach.

Scypion młodszy pozwolił również żołnierzom pierwszego legionu, który wdarł się na mury Karta-

giny, ozdobić wiankami z róż swe puklerze i cały rydwan tryumfalny.

Wogóle w pierwszych czasach rzymskich, wiankiem z róż wolno było zdobić czoło tego tylko człowieka, który się czemś odznaczył, i kiedy Marek Fulwiusz pozwolił, po nieznaczącej potyczce, swoim żołnierzom ozdobić hełmy wiankiem z róż, to za to otrzymał surową naganą od cenzora Katona.

Róża tak wysoko była cenioną przez Rzymian ówczesnych, że było nawet wzbronionem zdobić siebie wiankiem z róż w dniu smutku, lub grożącego Rzymowi niebezpieczeństwa, i kiedy pewien bogaty dorobkiewicz, lekceważąc sobie to prawo, ukazał się w czasie drugiej wojny punickiej — w wianku z róż u siebie na tarasie, to był natychmiast, z rozkazu senatu, wtrącony do więzienia i uwolniony ztamtąd nie pierw, aż się wojna skończyła.

Oprócz tego, róża u Rzymian pierwszej republiki, uważaną była za rzecz świętą — i co rok w Rzymie odbywały się, na pamiątkę zmarłych, uroczystości, które nosiły nazwę „rozalij“, albo dni różanych: „*Dies rosationis*“. Uroczystości te odbywały się w różne pory roku, lecz nie wcześniej, jak 19-go kwietnia i nie później, jak 19-go czerwca, a polegały głównie na tem, że zdobiono z wielkim przepychem girlandami i wieńcami z róż mogiły zmarłych i urny, zawierające ich popioły.

Wogóle, do jakiego stopnia ówcześni Rzymianie cenili różę, jako cmentarną ozdobę, można sądzić

z tego, że bogaci ludzie mieli zwyczaj zapisywać ogromne sumy pieniężne na stałe ozdabianie ich mogił różami. Na upiększenie mogił używano przeważnie białe albo karminowo-pąsowe róże. Pierwsze sadzono zwykle na mogiłach młodzieży, drugie zaś — na mogiłach starszych osób.

Nakoniec, róże odgrywały w tym czasie ważną rolę w życiu domowym Rzymian i w ich obrządkach religijnych. Zdobiono nimi bezustannie swe mieszkania i swe ołtarze domowe, niemi posypywano drogę w czasie uroczystych procesyj. Szczególniej uroczystą była procesya Korybandów, kapłanów bogini Cybelli, opiekunki bogów, bo w tym czasie wszystko było ozdobione białymi różami: i posąg bogini, i jej kapłani i cała droga.

Nie takie już znaczenie miała róża w czasie upadku Rzymu. Z kwiatu królewskiego, staje się ona kwiatem zabaw i pijanych orgij, wyrazem niskich uczuć. Teraz zdobią nią już nie Wenus — Uranię, — boginię uczciwego małżeństwa, lecz sromotną Wenus, — Pandemos, — boginię zmysłowej miłości.

W tym czasie, nadużycie róż, jako ozdoby, doszło do granic ostatecznych. Tak n. p. prokonsul Werrus, który był bardzo próżny i którego Cyceron obwiniał o przekupstwo, zjawiał się na ulicach Rzymu nie inaczej, jak w lektyce, w której materac i poduszki zawsze były wypełnione świeżymi listkami róż, a on sam cały był opleciony girlandami tych kwiatów. Jeszcze więcej róż niszczył Neron. W jego znakomitej

sali, gdzie się uczty odbywały i której sufit i ściany obracały się w czasie uczt za pomocą pewnego mechanizmu i wyobrażały na przemian cztery pory roku, — zamiast gradu i deszczu spadały na gości miliardy świeżych listków różanych. Dla jednej takiej uczt, podług słów Swetonyusza, zużywano róż więcej niż za 180.000 rubli.

Róże niszczone w ogromnej ilości wogóle na wszystkich rzymskich ucztach uroczystych. Bo nie tylko każdy gość musiał być uwieńczonym różami, lecz zdobiono też niemi wszystkie podawane potrawy i usługujący niewolnicy, a także wszystkie naczynia i pułhary z winem; różami był wysypany stół cały, a czasem nawet i posadzka. Przy tem trzeba wiedzieć, że podawane gościom wianki, nie były uwite z róż samych, lecz robiono je z listeczków różanych, które kunsztownie uwijano wkoło małego kółka, tak, że to wyglądało jak wieniec puszysty.

Chcąc jak najdłużej upajać się zapachem z róż, niektórzy patrycyusze kazali posypywać jej listeczkami nawet powierzchnię morza, gdy odbywali przejażdżki w swych galerach, — a w czasie pewnej uroczystości była niemi osypana nawet cała powierzchnia Luceńskiego jeziora.

Lecz wszystkich przeszedł w swem szalonym niszczeniu róż, imperator Heliogabal. Na jednej z uczt jego, jak opowiadają, znakomici jego goście byli zasypiani taką ogromną ilością kapiących z sufitu listków różanych, że ku jego wielkiej ucieście, zadusili

się na śmierć pod niemi. On też kąpał się w winie z róż, które następnie motłoch pić musiał.

Nakoniec za jego rozkazem, drogim tym napojem napełnione były i publiczne kąpiele, które były wtenczas poprostu oblegane przez lud prosty, który napływał ze wszystkich stron Rzymu, nie tyle dla tego, by się ukąpać, lecz by się upić.

Lecz wśród wyżej wymienionych uczt i orgij, róża, oprócz ozdoby, miała jeszcze nadzwyczaj oryginalne znaczenie.

Ona służyła symbolem milczenia i wskutek tego była poświęcona Karpokratesowi — bogowi milczenia, który, jak wiadomo, był wyobrażany w postaci młodzieńca z palcem na ustach. Łacińskie przysłowie mówi: „In vino veritas“ (w winie prawda) chcąc przez to powiedzieć, że upojony winem człowiek, może wygadać wszystkie swe tajemnice. A ponieważ w czasach upadku Rzymu niebezpiecznie było dzielić się ze wszystkimi swemi myślami, więc żeby przypomnieć biesiadnikom, że należy trzymać język za zębami, wieszano w czasie uczt rzymskich, na suficie sztuczną białą różę. — Mówią, że od tej róży powstało nawet pewne łacińskie zdanie: „*sub rosa dictum*” (powiedziane pod różą) t. j. pod sekretem.

Rzymianie przyrządzali też z róży przeróżne napoje i potrawy. Oprócz wina, o którym było wyżej wymienione, robili mieszając listki róży z jajami, coś w rodzaju budynu, a także galaretkę, cukier różany i rozmaite słodyczne, dotąd na wschodzie używane.

Wogóle na różę wśród Rzymian ówczesnych popyt był tak wielki, że olbrzymie różane ogrody, które się znajdowały w ogromnej ilości w okolicach Rzymu i w całej Kampanii, nie były w stanie zaspokoić zapotrzebowania i musiano przywozić róże całymi okrętami z Aleksandryi i Kartaginy, gdzie powstała nawet nowa olbrzymia gałąź przemysłu. Najżyźniejsze okolice Rzymu były zamienione w różane ogrody, przez co naturalnie uszczuplały się pola zbożowe, tak że to obudziło niezadowolenie wielu trzeźwo myślących obywateli rzymskich, tak naprz. Marcjusz pisał z gorzką ironią: „Egipcjanie, przyslijcie nam chleba zamiast róż naszych.

Wszystkie ulice Rzymu były do tego stopnia przesiąknięte zapachem róż, że wiele osób z nieprzyzwyczajenia dostawało nudności.

Na każdym rogu, na wszystkich rozstajach, można było spotkać albo handlarzy róż (*rosarii*), albo przekupki i splataczki wianków z róż, a tych ostatnich były całe setki i one handlowały niemi nawet na rynkach, jak to było niegdyś w Atenach. Nakoniec była w Rzymie osobna giełda róż i byli maklerowie, którzy się tylko kupnem i sprzedażą róż zajmowali, bo róże były rozmaitych cen i gatunków. Najznakomitszymi i najdroższymi były uważane róże z Pestumu, kwitnące raz tylko do roku. One były nieraz opiewane przez znakomitych poetów Rzymu: Wirgiliusza, Owidjusza i t. p.

Taki stosunek Rzymian do róży, nie mógł, rzecz

jasna, nie obudzić do niej wstrętu pierwszych chrześcian, i oni uważali ją spoczątku jako kwiat rozpusty i zguby, wskutek czego Tertulian wydał surowy edykt przeciwko używaniu wianków z róż, zaś Klemens z Aleksandryi uważał za grzech wieńczenie głowy takim wiankiem. Lecz z czasem to wrogie usposobienie względem róży uległo zmianie, i zawdzięczając swej cudnej piękności i miłej woni, ona poczęła stopniowo zyskiwać sobie sympatję chrześcijan. Minęło kilka stuleci, i Ojcowie święci, zapominając o jej znaczeniu w dniu upadku Rzymu, ogłosili ją rajskim kwiatem i poświęcili ją Najśw. PaniENCE. Wtenczas z różą poczęło się łączyć dużo świętych i historycznych legend. Tak n. p. one głoszą, że św. Dorota, którą ongi rozszarpały dzikie zwierzęta w Kolizeum, posyła wśród zimy przez anioła różę arcybiskupowi Teofilowi z Antjochii; że św. Dominik, chcąc się Bogu podobać, kłuje siebie całego cierniami, a ciernie te w róże się zamieniają; że Archanioł Gabryel, z białych, żółtych i pąsowych róż niebiańskich, wije trzy wianki dla Najświętszej Panny. Wianek z białych róż oznacza Jej radość, z pąsowych — Jej cierpienie, a z żółtych — Jej sławę i t. d.

Wskutek tego i starożytni niemieccy malarze lubili przedstawiać postać Bogarodzicy z Dzieciątkiem, otoczoną trzema wiankami z róż, o wyżej wymienionych barwach.

Niektóre z tych obrazów przechowały się dotąd. Tak n. p. tego rodzaju malowidło można widzieć

w kościele miasteczka Wilhejma w Szwabii, drugie zaś w kościele miasta Kolmara. Ten ostatni obraz nosi nazwę: „Najświętszej Panny Maryi w krzaku różanym“, i dotąd jest uważany jako najznakomitszy obraz staroniemieckiej szkoły. Białe róże nazywały się w tym czasie także „różami Magdaleny“ i opowiadano o nich, że barwę swą straciły od łez pokutnych, wylanych na nie przez Magdalene.

Oprócz tego róża, w katolickich legendach, uważaną bywa czasem jako niebiańska orędowniczka dobrych uczynków. Tak n. p. jedna z tych legend głosi, że św. Mikołaj, niosąc pewnego razu wśród bardzo ostrej zimy chleb, którym miał biednych nakarmić, był zatrzymany w drodze przez surowego przełożonego klasztoru, lecz chleb ten zamienił się w różę na znak tego, że ten dobry uczynek miłym był Bogu. Analogiczne podania są też o wielu świętych, jak n. p.: o św. Elżbiecie z Turynii, o św. Kunegundzie, o św. Kazildzie i t. d.

Wkońcu poczynając od wieków średnich, Papieże posyłają w darze złotą różę, osypaną drogimi kamieniami tej z osób panujących, która się odznaczyła życiem cnotliwym. W dniu, który się nazywa („*Dominica in rosa*“) (Niedziela różana) papież błogosławi taką różę uroczyście w obecności kardynałów w kościele św. Piotra, okadza ją kadzidłem, skrapia wodą święconą, zanurza do mirry, a potem posyła ją zwykle temu panującemu, który po upływie roku najbardziej jej się godnym okazał. Zwyczaj ten, który początek

swój bierze w XI wieku i który był podobno ustanowiony przez papieża Leona IX., trwa aż dotąd.

Taka róża kosztuje papieżowi prawie 10.000 rs. Prawo robienia jej posiada artysta, pochodzący zawsze z jednej i tej samej rodziny, która cieszy się wielkiem poważaniem. Tak naprz., w czasach obecnych prawo to posiada rodzina Santelli'ch, która ród swój wywodzi od XIV. wieku. Rodzina ta mieszka zawsze w tym samym domu koło Watykanu, i kiedy umarł niedawno najstarszy z tej rodziny Pietro Santelli, to chowano go tak wspaniale, iż trudno było sobie wyobrazić, że to jest pogrzeb prostego rzemieślnika, nie zaś jakiejś znakomitej osoby. Na tym pogrzebie byli obecni wszyscy kardynałowie i biskupi i przytem w najuroczystszych swych pąsowych szatach.

Co się tyczy samej róży, to ona jest nadzwyczaj oryginalną. Gałązka jej, zrobiona z czystego złota, ma prawie cztery cale długości.

Kwiat jej duży składa się z oddzielnych listków, na których wyrzeźbione jest imię papieża i różne cnoty tej osoby, której się tę różę przeznaczają. Oprócz tego, na listkach błyszczą niezliczone drobne brylanki, które wyobrażają rosę niebieską.

Tę ogromną gałązkę umieszczano dawniej w ozdobnym futerale, pociągniętym w środku niebieskim atłasem, zewnątrz zaś ozdobionym inkrustacyami, wyobrażającemi prześliczne srebrne róże. Lecz gdy papież w 1892 r. posyłając złotą różę królowej portugalskiej Amalii, musiał zapłacić jeszcze ogromną sumę

za drogi fufurał, to postanowił być oszczędniejszym i teraz różę zawijają do jedwabnego szalu i kładą na wacie do prostego pudełka.

Przesłanie tej róży kosztuje nie mniej niż 24.000 lirów (około 10.000 rs.) Suma ta wydaje się dwom osobom z najstarożytniejszego rodu rzymskiego, jako nagroda za trudy poniesione i odwiezienie kwiatu na miejsce.

Ceremonja wręczenia daru papieskiego jest bardzo skomplikowaną. Wspaniały ekwipaż przydworny, cały ozdobiony girlandą żywych lub sztucznych róż białych, czeka deputatów papieża koło dworca kolejowego.

Na dworcu znakomici rzymscy goście tej królowej, której ma być róża ofiarowaną, są spotykani odgłosem bębnów wojska, które, w galowych strojach, stoi już tam w szeregu. Potem najstarszy z posłów papieskich niesie różę w wysoko podniesionej ręce aż do sali przyjęć, gdzie ją kładzie na przygotowany w tym celu stolik, pokryty białą jedwabną serwetą. Następnie kapelan odprawia Mszę św., na której królowa jest obecną, siedząc pod białym baldachimem. Potem wszyscy się udają do sali frontowej i tutaj jej królewska mość siada na fotelu, który stoi na podwyższeniu. Obok niej zasiada starszy poseł, młodszy zaś, stojąc przed nią, czyta głośno odezwę papieża, przyczem trzy razy pochyla wolno złotą gałązkę i w końcu oddaje ją prałatowi.

Ten ostatni dotyka różą serca królowej i wyma-

wia następujące słowa: „*Ecce Rosa mystica, donum Sanctissimi Patris*“ (Oto róża mistyczna, dar Ojca świętego). Królowa całuje złoty kwiat i odpowiada „*Deo gratia*“ (Bogu dzięki). I natychmiast król albo królowa darzą posłów najwyższym orderem swego państwa.

Taką różę otrzymały w 1160 r. następujące historyczne osoby: Ludwik Młody, któremu ona była przysłana przez papieża Aleksandra III-go za jego zasługi dla kraju. Johanna Sycylijska, której papież Urban V-ty, przysłał różę za to, że ona się przyczyniła do oswobodzenia Włoch od Węgrów; Fryderyk Saski (przed reformacją); cesarz niemiecki Henryk III. w nowszych zaś czasach imperatorowa Eugenia, — nieszczęśliwa cesarzowa Meksyku, Szarlotta, i królowa hiszpańska Izabella.

Mówiąc o róży, nie można nie wspomnieć o różańcu, który we Francyi nosi nazwę róż (*le rosaire*), dlatego, że paciorki różańców w dawnych czasach były robione z ugniecionych listków różanych, spojonych gumą arabską.

Wśród katolików różaniec był wprowadzony w użycie przez założyciela zakonu św. Dominika de Guzman, lecz właściwie początek swój on bierze od wschodnich narodów, gdzie najpierw używali go mnisi z Lamy, potem zaś przeszedł do Turków, u których, — rzecz dziwna, — on także nosi nazwę róż, chociaż robi się z kulek ziemi, wziętej z Mekki albo Medyny.

Następnie, przechodząc do oddzielnych państw

chrześcijańskich, zobaczymy, że największą miłością cieszyła się róża we Francyi. Tutaj czczono ją i ceniono do tego stopnia, że nie każdy miał prawo ją zasadzić. I ten, komu ów przywilej służył, obowiązany był co rok dostarczać Radzie państwa w dzień Zwiastowania, trzy wianki, zaś w dzień Wniebowstąpienia cały kosz róż, z których następnie robiono, cenioną naówczas bardzo, wodę różaną, którą dodawano poślug ówczesnego zwyczaju, prawie do wszystkich potraw świątecznych.

W XIII. wieku powstaje we Francyi zwyczaj noszenia przez damy wianków z róż, które otrzymały nazwę „*chapelle*“, ci zaś, którzy je splatali — „*chappellier*“ słowo, które obecnie oznacza fabrykantów kapeluszy, tak że widocznie od tych wianków powstało dzisiejsze słowo francuskie „*chapeau*“, kapelusz.

Zwyczaj ten wkrótce tak się rozpowszechnił, że nawet najbiedniejszy uważał za swój obowiązek darować swej córce w dzień jej ślubu taki „*chapelle*“, który ona nakładała na głowę. Stąd powstało zapewne i nazwa „*chaperon de roses*“, niewielki podarek, który dawano w wiekach średnich, albo nowożeńcom albo dziecku w czasie Chrztu świętego.

Same chrzciny odbywały się z udziałem wody różanej, która w tym celu zawsze była przynoszoną do kościoła. Baille opowiada, że taką wodą był naprzykład ochrzczony znany średniowieczny francuski poeta Ronsard i że z tej przyczyny, gdy on za panowania Henryka II-go stał się znakomitym poetą i otrzy-

mał pierwszą nagrodę na konkursie poetów w Tuluzie, to ofiarowano mu zamiast zwykłego, złotego kwiatu głogu, — srebrny posąg Minerwy, chcąc przez to niejako okazać, że będąc ochrzczony wodą różaną, on już w spowiciu uznanym był jako poeta.

Otrzymawszy tę nagrodę, Ronsard posłał ją podobno w podarunku swej wielbicielce, królowej Maryi Stuart, ona zaś przysłała mu w zamian wianek z róż srebrnych, na listkach których błyszczały jak kropelki rosy, cudne brylanciki. Na otaczającej go wstędze widniał następujący napis: „*Ronsard, l' Apollon de la source des muses*“.

W XIV. wieku powstaje we Francyi jeszcze nowy oryginalny zwyczaj, połączony z różą. W Izbie, która się składała z tak zwanej „Rady królewskiej“, w której było 6 duchownych i 6 świeckich perów, wchodzi we zwyczaj, żeby każdy ze świeckich perów, który ma jakiś interes w sądzie, ofiarował wszystkim członkom Izby różę. To podawanie róż otrzymało nazwę „*baillé des roses*“, i przy Izbie powstał nowy obowiązek „dostarczyciela róż“ (*rosier de la cour*), miejscem pobytu którego było miasteczko „Fonténé — aux roses“, które już w owych czasach słynęło z uprawy róż, Miasteczko to po dziś dzień egzystuje.

Lecz w XVI-em stuleciu, zwyczaj ten, wskutek bezustannych sporów członków Izby o miejsca, ustaje i niewinna róża wpada w taką nielaskę, że sąd duchowny w Nimie orzeka, by ona odtąd służyła jako

znak, odróżniający chrześcian od żydów, którzy byli obowiązani nosić ją zawsze na piersiach.

Lecz prześladowanie róży we Francyi było tylko czasowem i tylko w niektórych okolicach, dlatego, że już po upływie kilku lat, powstał zwyczaj wśród ogrodników, niewielkiego, znajdującego się niedaleko Paryża miasteczka Provins, wybierać co rok króla róż (*le roi des rosiers*). Wybierano go w dzień św. Fiakra. Panowanie tego króla trwało rok i było połączone z rozmaitemi uroczystościami.

Podobne temu wybieranie, ale nie króla, lecz królowej, albo, jak ją nazywali „rozjery“ (*la rosière*), odbywało się jeszcze w miasteczku Salenci 8-go lipca w dzień św. Medarda. Rozjera była wybieraną z pomiędzy trzech najcnotliwszych i najskromniejszych dziewic całej prowincyi. Żeby nie zaszło w tym względzie żadnej pomyłki i żeby honoru tego dostąpiła rzeczywiście najcnotliwsza, to imiona tych, które miały się wybierać, były ogłaszane z ambon i każdy mógł o niej wypowiedzieć swe zdanie i z kolei wymienić taką, która bardziej jeszcze była godną tego zaszczytu.

Jak tylko wybór był uczyniony, wybraną rozjerę prowadziło 12 par odświętnie ubranych dziewic do zamku, a ztamtąd do kościoła św. Medarda, gdzie już leżał przygotowany dla niej wieniec z cudnych róż. Wieniec ten w obecności wszystkich, kapłan wkładał z modlitwą na głowę wybranej. Potem następował cały szereg uroczystości. Młoda dziewczyna, która dostąpiła tego zaszczytu, otrzymywała jako nagrodę za

swe prowadzenie się bez zarzutu, 25 lirów i zachowywała swój tytuł rozjery nieraz w przeciągu kilku lat (zwykle aż do wyjścia za mąż).

Uroczystość ta, jak mówi podanie, była ustanowioną jeszcze w VII wieku po Nar. Chr. przez św. Medarda, arcybiskupa w Salenci, który żeby ją uwiecznić, zapisał nawet w testamencie 12 dziesięcin ziemi, z której dochód był przeznaczony jako premium dla rozjery.

Pierwszą rozjerą była jego własna siostra i wyobrażenie tej uroczystości przechowało się na fresku, który znajdował się w kościele św. Medarda w Salenci. Z innej znowu strony, powiadają, że ta uroczystość była ustanowioną tylko w czasie panowania Ludwika XIII-tego, czego dowodem ma niby służyć srebrna spinka, która się nakładała jako ozdoba na wianek z róż i która była ofiarowaną przez tego króla. Podobne uroczystości odbywały się z czasem i w wielu innych miejscowościach Francyi. Najbardziej są znane uroczystości, urządzone na pamiątkę Malzerba, ministra Ludwika XIII., który zginął z ręki kata.

Trzeba wiedzieć, że róża odgrywała jeszcze ważną rolę w uroczystościach, które podobno były początkiem naszych tegoczesnych igrzysk kwiatowych.

I tak, w miasteczku Trewizo, urządzała się od niepamiętnych czasów zabawa, która się składała z tego, że w środku miasta urządzano fortecę, której wały ochronne i ściany były robione z drogich kobierców i tkanin jedwabnych. Młode panny z wyższego towa-

rzystwa broniły fortecy, a młodzież starała się ją zdobyć. Przytem za oręż służyły jabłka, migdały, kwiaty, szczególnie zaś róże, któremi obrzucano siebie nawzajem, a także strugi wody różanej, którą te, co broniły, oblewały oblegających. Na to święto zjeżdżało się zewsząd tysiące widzów i obecny na niem pewnego razu Fryderyk Rudobrody, miał podobno powiedzieć, że weselszej zabawy nie zdarzyło mu się nigdy widzieć. Szczególniej wsławiła się ta zabawa przez to, że po niej dużo małżeństw się kojarzyło.

Jeżeli we Francyi róża odgrywała rolę tak sympatyczną, to przeciwnie w Anglii była ona z początku kwiatem smutku.

Prawie nieznana tutaj do XIV stulecia, zjawiała się ona przy dworze królów angielskich niezadługo do początku krwawej walki pomiędzy wrogami sobie domami. Obie partye do tego stopnia były zachwycone jej pięknością, że jedna i druga umieściła ją w swym herbie, przyczem jedni wybrali białą, a drudzy pąsową różę. I dlatego to niezgoda, która się zaczęła przy Henryku VI-tym o prawo na tron angielski z Edwardem Jorkskim, i która potem się zamieniła w krwawą walkę, nosi nazwę „białej i pąsowej róży“. Wojna ta trwała, jak wiadomo, więcej niż 30 lat, była bardzo zaciętą i odznaczała się wielkiem okrucieństwem, jak z jednej, tak i z drugiej strony. Później na pamiątkę tej wojny, ogrodnicy wyhodowali szczególny gatunek róży, która otrzymała nazwę lankaster — jorkskiej i która odznaczała się tem,

że na jednym i tym samym krzaku kwitły i białe i pąsowe róże.

Mając jednak tak smutny początek w Anglii, królowa kwiatów zmieniała tę niewesołą rolę na inną i stała się ogólną ulubienicą.

Będąc z początku tylko znakiem wyróżniającym aktorów, którzy podług rozkazu królowej Elżbiety, mogli się zjawiać poza obrębem teatru w zwykłym stroju, lecz z różą przy obuwiu, — stała się ona wkrótce niezbędnym dodatkiem kostiumowym wszystkich strojnisiów i elegantek Anglii. Eleganci nosili ją za uchem, przyczem kwiat najbujniejszy uważany był za szczyt elegancyi. Różę noszono nietylko latem, lecz i w zimie, a ponieważ w tej porze roku róża była jeszcze wielką osobliwością, więc ludzie średniej zaможności musieli zamieniać żywą różę, sztuczną. Wkrótce z żywą różą za uchem poczęła się zjawiać i sama królowa Elżbieta i nawet z taką różą wybijano jakiś czas jej portret na srebrnych monetach.

Nakoniec róża odegrała jeszcze ważną rolę i w życiu zmarłej królowej Wiktoryi. Opowiadają, że kiedy księżę Albert Koburgski przyjechał do Anglii w celu starania się o rękę królowej Wiktoryi, — której, — nawiasem mówiąc, — on bardzo się podobał, — i kiedy się zjawił na balu przydwornym, który na cześć jego wydano, to królowa na znak swej sympatyi dla niego, odpięła różę od stanika i jemu podała. Zachwycony takim wyróżnieniem, księżę był tak tem przejęty, że nie namyślając się ani chwili, zrobił scyzory-

kiem na fraku naprzeciw serca nacięcie w formie krzyża i wsadził tam ofiarowaną mu różę. To jego znalezienie się i waga, jaką on przywiązywał do kwiatu przez nią ofiarowanego, oczarowały ostatecznie Wiktoryę i los jej rozstrzygły. Przyjęła łaskawie oświadczyzny księcia i została jego małżonką. Był to ojciec panującego następnie Edwarda VII.

W Niemczech róża (głogu) zjawiała się jeszcze w czasach pogańskich. W starożytnych niemieckich sagach jest ona poświęconą królowej nieba, Frydzie, i dlatego dotąd jeszcze w wielu miejscowościach nazywają ją „*Friggadorn*“. Zrywać wolno było ją tylko w piątek t. j. w dzień poświęcony Frydzie. Rosła ona w tych miejscach, gdzie niegdyś były pogańskie świątynie i gdzie odbywały się krwawe ofiary. Z różą ma styczność i niemiecki bóg ognia, Lokki. Gdy wiosna nastaje, to bóg ten się śmieje, a od jego śmiechu ucieka chłód, śnieg topnieje, a ziemia okrywa się różami. Róża też gra rolę i w podaniu o Brunhildzie, kiedy ta ostatnia, stawszy się Walkirją, której obowiązkiem było przenosić do Walhalli dusze bohaterów, którzy polegli w walce dwóch króli, pomaga zwyciężyć temu z nich, któremu Wuotan, bóg wojny, śmierć naznaczył. Za karę gniewny Wuotan podkłada jej pod głowę gałązkę dzikiej róży (głogu) z kolcami i wskutek tego Brunhilda i wszystko, co ją otaczało, wpada w głęboki sen, z którego może się obudzić tylko wtedy, gdy jakiś książę przyjdzie ją obudzić. Słowem, to podanie służy za tło do naszej bajki: „O śpiącej kró-

lewnie“, która po niemiecku nazywa się „*Dorn-röschen*“.

W tym czasie pąsowa róża służy jako symbol miecza i śmiertelnej rany, więc dlatego w tak zwanych „tańcach miecza“, które odbywały się później na północy, szczególnie w Hesse, różą nazywało się sklepienie, które się formowało z mieczów nad głową królowej tej uroczystości. I dlatego w starogermańskich podaniach, „rózanami ogrodami“ nazywało się także często pole bitwy i śmierci, a następnie nazwa ta przeszła i na cmentarze.

Z innej znowu strony „ogrodem róż“ nazywa się w Nibelungach prawdziwy ogród różany. Najbardziej oryginalnym jest podanie o różanym ogrodzie w Wormsie. Król Gibich, głosi ta legenda, po pewnej krwawej bitwie, urządził swej córce Grymhildzie ogromny ogród z róż, wśród którego rosła olbrzymia lipa, pod cieniem której mogło się pomieścić więcej niż 500 kobiet. Ogród ten był strzeżony przez 12 rycerzy, z których najznakomitszym był Zygfryd. Każdy z tych rycerzy otrzymywał jako nagrodę: pocałunek i wianek z róż, Hildebrand wziął wianek, lecz pogardził pocałunkiem. Znajdujący się zaś wśród rycerzy mnich Ilzam, przeciwnie, nie zadawała się jednym wiankiem i jednym pocałunkiem, lecz wymagał jeszcze takąż ilość wianków i pocałunków dla swych 52 kolegów mnichów. Poczyna się walka i, zwyciężywszy 52-ch rycerzy w pojedynku, mnich otrzymuje to, czego żądał.

Wogóle w starożytnych starogermańskich sagach, wianek z róż, służy jako znak wyzwania na pojedynek, albo jako nagroda dla rycerza, który zwyciężył i który ją otrzymuje od pani swego serca, lub na koniec jako znak, że miłość jego została nareszcie przyjęta.

Wraz z przyjęciem chrześcijaństwa w północnych Niemczech powstał kult dla róży. Według chrześcijańskiej legendy, białe ogrodowe róże mają zawdzięczać swe istnienie Najświętszej Maryi Pannie.

One wyrosły na krzaku, na którym Matka Najśw. powiesiła suszyć pieluszki Chrystusa. I dlatego mówiono, że róża ta posiadała moc odpędzenia wiedz i odmienców, którzy za dotknięciem się do niej, zamieniali się w ludzi.

Co się tyczy pełnej pąsowej róży, to w średnich wiekach w Niemczech złożyło się podanie, że ona powstała z kropel krwi Zbawiciela, gdy te krople na mech upadły. Ciekawym też jest podanie, które powstało w tym czasie, o pochodzeniu zagiętych kolców róży.

Według tego podania, szatan, będąc strąconym z nieba przez Boga, zechciał znowu podnieść się do nieba i w tym celu wybrał krzak głogu, którego proste łodygi z kolcami mogły mu służyć jako drabina. Lecz Bóg odgadł jego myśli i nachylił łodygi głogu. Wtenczas rozgniewany szatan zgiał też i kolce. I oto dlatego teraz kolce róż nie są proste, lecz w dół zagięte i czepiają się wszystkiego, co się ich dotknie.

Prawie w tym samym czasie powstała jeszcze legenda o tysiącletnim i dotąd rosnącym w Hildes-

hejmie, różanym krzaku. Krzak ten rośnie tam na cmentarzu św. Anny, niedaleko katedry i wciąż się rozrasta, opierając się o zewnętrzną stronę chóru niewielkiej gotyckiej kaplicy. O pochodzeniu jej legenda głosi co następuje:

Po śmierci Karola Wielkiego, syn jego, Ludwik Pobożny, kazał zbudować w Elzie, w Saksonii, kościół katolicki i kazał go uważać jako główną świątynię. Lecz oto, pewnego razu, polując w tej stronie w zimie, Ludwik stracił swój krzyż, który zawsze nosił na piersiach i który zawierał w sobie część relikwii świętych. Rozpoczęto natychmiast poszukiwania i w końcu sługa znalazł krzyż ten wśród śniegu, na pokrytym kwiatami krzaku różanym. Lecz gdy on chciał go podnieść, to krzak nie puszczał i nie zważając na wszelkie wysiłki, nic nie mógł zrobić i musiał wrócić do domu bez krzyża i opowiedzieć o tym cudzie. Wtenczas pojechał po krzyż sam Ludwik i gdy przyjechał na to miejsce, to ujrzał na śniegu ogromną plamę, która miała formę planu katedry, w górnej części którego znajdował się krzak różany. Zdjąwszy krzyż, kazał w tem miejscu zbudować katedrę i zachować przy niej krzak cudowny. Jednocześnie z tem było tutaj przeniesione biskupstwo, które otrzymało nazwę Hilde-Schnee, t. j. „głęboki śnieg“, a stąd powstało potem i słowo Hildesheim. Powoli krzak ten zmienił się w ogromne, mające kilka sążni wysokości drzewo, które żyje aż dotąd i co rok pokrywa się tysiącami róż prześlicznych.

W średnich też wiekach poczyną róża grać rolę mistycznego znaku różnych tajemnych stowarzyszeń. Najpierw więc, wyobrażenie jej w postaci bukietu z róż, który trzyma w ręku rycerz, pojawia się na toporach członków westfalskich sądów tajemnych (*Femgerichte*), — a członkowie tych groźnych stowarzyszeń obowiązani byli całować każdą różę, którą zobaczą. Potem w XVI stuleciu zdobili siebie różami wolno-mularze w dzień św. Jana i róża ta była znakiem niektórych z ich łóż. Dowodem tego może służyć to, iż w czasach przebudowywania zamków w Hejdelbergu, było znalezione w ziemi wyobrażenie cyrkla, otoczonego wiankiem z pięciu róż. Nakoniec mistyczne stowarzyszenie rozenkrejcerów, które powstało z wolnomularzy, wybrało swym znakiem także wianek z róż z kolcami, w środku którego znajdował się krzyż św. Andrzeja, — a pod nim widniał napis: „*Crux Christi, corona christianorum*“ (Krzyż Chrystusa wieniec chrześcijan).

Jako przeciwieństwo do tych tajemnych, mistycznych zrzeszeń, — wybrało jako swój emblemat — różę, towarzystwo „róży“ założone przez księcia Szartarskiego w 1780 r., i które składało się poprostu ze „złotej“ młodzieży i kurtyzanek, — a także inne jeszcze paryzkie towarzystwo, które nosiło nazwę „*Rozati*“ i członkami którego mogli być tylko poeci i wogóle ludzie, którzy napisali jakieś wiersze.

Nakoniec, wyobrażenie wianka z róż, umieszczonego w pięcio-promiennej gwiazdzie, było jako znak

„orderu róż“, który założył cesarz Brazylii, Don Pedro I., i otrzymanie którego uważanem było za cześć najwyższą. Oprócz tego wyobrażenie jej często się spotyka w herbach najznakomitszych rodów rycerskich, rodzin szlacheckich i w herbach miast. Między innymi osobami miał różę w swym herbie i Marcin Luter.

Lecz najbardziej oryginalnym pomnikiem, któremu róża służyła jako ozdoba, była piwnica, zbudowana w XVII stuleciu w mieście Bremen. Ten przybytek Bachusa, który egzystuje aż dotąd, był podzielony na cztery części. W końcu trzeciego oddziału widniał napis na ścianie: „Tu kwitnie róża“, i przechowywało się 12 beczek Rüdesheimu z 1624 r., z których każda zawierała 1.500 butelek wina. Wino to nazywało się „winem Róży“.

W przeszłym stuleciu piwnica ta służyła miejscem zebrania rady miejskiej. W sali, gdzie ono się odbywało, znajduje się olbrzymie wyobrażenie róży z łacińskim nadpisem: „Dlaczego salę Bachusa zdobi ta róża? Dlatego, że bez dobrego wina sama Wenus marznie“.

Podobne do tej cytaty i inne napisy, głoszące piękność i znaczenie róży dla ludzkości, zdobią inne ściany sali. W końcu czwartego oddziału znajduje się sala 12 apostołów, w której przechowuje się 12 beczek „Hochheimu“ z 1718 r., każda z tych beczek nosi nazwę jednego z Apostołów. W dawniejszych czasach wino Apostołów i Róży dawano tylko ciężko chorym, albo w jakichś szczególnych wypadkach. Teraz sprze-

dają je wszystkim. Kilka kropel tego wina wydaje dziwnie miły aromat, lecz niema żadnej przyjemności pić je kieliszkami, dlatego, że ono jest tak gęste jak oliwa.

Powiedzmy jeszcze słów kilka o czarodziejskiem i leczniczem znaczeniu róży. Idąc za przykładem tessalijskich wróżbitek, staro niemieckie wróżki używały jej dla przyczarowania. W tym celu one dawały dziewczynie, która chciała przyczarować ukochanego, taką radę: „Weź trzy róże: jedną ciemno-pąsową, jedną różową i jedną białą i noś je przez trzy dni, trzy noce i trzy godziny na sercu, lecz tak, żeby nikt tego nie widział. Potem zmów trzy razy „Ojcze nasz“ i trzy razy „Zdrowaś Marya“, wciąż się żegnając. Potem połóż te trzy róże na trzy dni, trzy noce i trzy godziny do butelki z winem i daj potem wypić tej essencji swemu ukochanemu, ale znowu tak, żeby on nie wiedział, co było w winie. I wtenczas „on pokocha cię z całej duszy i przez całe życie wiernym ci będzie“.

Co się tyczy leczniczych własności róży, to różane listki nakładano na twarz, by nadać jej młodościłą świeżość. Essencji z pszczoł, gotowanych w różanym olejku, używano jako środek dla odrastania włosów, a zebrana z róż rosa, uważaną była za najlepszy środek od zapalenia oczu.

Należy nadmienić jeszcze o tej roli, jaką róża odegrała w niektórych historycznych wypadkach Niemiec. A więc przy zawarciu pokoju w Tylży, przez

króla pruskiego Fryderyka Wilhelma III z Napoleonem I., kiedy powstała kwestya o oddzieleniu od Prus wszystkich leżących na zachód od Elby prowincyi, królowa Luiza postanowiła udać się do groźnego zwycięzcy i spróbować złagodzić surowe jego wymagania. Napoleon przyjął ją bardzo grzecznie i kiedy zeszła mowa o pozostawieniu Prusom miasta Magdeburga, to on, nie odpowiadając na jej pytanie, podał jej tylko ze stojącego na stole flakonu cudną różę. Sądząc, że ta róża jest jakby znakiem zgody na jej prośbę, królowa Luiza, biorąc ją, dodała: „*Mais avec Magdebourg?*“ Lecz dumny Korsykanin zmienił się w jednej chwili i odparł ostro: „Muszę zanotować waszej królewskiej mości, że ja sam tylko mogę proponować, a wam wolno zgadzać się, lub się nie zgadzać“.

Postępek ten przygnębiające sprawił wrażenie w całych Prusach i odtąd Prusacy wszelkich dokładali usiłowań, by odemścić za różę w Tylży, czego w końcu dopięli, biorąc w 1871 r. Paryż i kontrybucyę wojenną w kwocie 5-ciu miliardów.

Ten sam król Fryderyk Wilhelm, który, jak wiadomo, namiętnie kochał różę, urządził u siebie w Potsdamie, wśród cudnego parku, niewielką wysepkę z róż, znaną pod nazwą: „Pawiej wyspy“, gdzie spędzał cały czas wolny od pracy. Tu znajdowały się, wszystkie znane naówczas gatunki i odmiany róż, tak, że to miejsce przedstawiało z siebie coś w rodzaju rzymskiego Pestumu. Fryderyk Wilhelm kochał to

ustronie nie mniej, jak znany Harun-al-Raszyd swój ogród różany, i nie mało dobrych uczynków było spełnione tutaj „*sub rosa*“.

W roku 1829, w tym samym różanym parku, stał się fakt historyczny. Księżniczka Szarlotta pruska została zaręczona z cesarzem rosyjskim Mikołajem I., synem Pawła i w dzień jej wyjazdu było urządzone święto róż. Uroczystość ta była naznaczoną w dzień jej urodzin 13-tego lipca.

Od wczesnej swej młodości księżniczka Szarlotta była, jak i jej ojciec, wielką miłośniczką róż, lecz szczególnie lubiła ona białe róże, za co ją nawet w kółku rodzinnem przewano „Blanchefleur“ — białym kwiatkiem. Otóż te białe róże miały być tłem całej tej cesarskiej uroczystości.

Przyszła rosyjska imperatorowa, siedząc pod złotym, ozdobionym drogimi kamieniami baldachimem, wyobrażała sobą czarodziejską białą różę, a jakby wyjęci z podań w całym swym blasku i piękności rycerze otaczali ją, gotowi lancą i mieczem bronić swej władczyni. Następca tronu, książę Fryderyk Wilhelm, który wyobrażał rycerza białej róży, ubrany był w błyszczącą, srebrem utkaną szatę, z łańcuchem orderu Orła czarnego i w hełmie z podniesionymi orleми skrzydłami na głowie. Na jego błyszczącym jak słońce puklerzu, widniał napis: „Z nami Bóg“. Żeby upiększyć całą scenę, sprowadzono zewsząd tysiące białych róż, któremi wszystkie chorągwie były ozdobione w ten sposób, że girlandami z nich owinięte były drzew-

ce proporców. Wiankami z róż były ozdobione głowy wszystkich pań zaproszonych i samej imperatorowej, niemi też były usypane wszystkie stopnie i ozdobiony cały tron przyszłej carowej. Jako wspomnienie tej uroczystości każda z obecnych dam otrzymała pamiątkę od przyszłej imperatorowej, srebrną różę, na listkach której był wycięty rok i data. Zaś w samej rodzinie królewskiej wspomnienie o tym dniu przechowało się w postaci ślicznego flakonu ze srebrną różą na pokryciu, który przechowuje się w pałacu w Berlinie, — a także zachował się obraz „*al fresco*“ na jednej ze ścian pałacu w Potsdamie, który wyobraża główną scenę tej pamiątkowej uroczystości.

Dużo lat minęło od czasu tej uroczystości i większość rycerzy i różę odeszli w wieczność. Został tylko brat zmarłej Blanchefleur, przyszły cesarz niemiecki. I do niego właśnie 13-go lipca 1869 r. zebrało się w czasie jego bytności w Ems, niewielkie kółko pozostałych przy życiu uczestników potsdamskiej uroczystości i ofiarowało mu srebrną statuetkę, wyobrażającą jego samego i dwie kartki pamiątkowe. Na jednej z nich była wyobrażona scena wręczenia białej róży przez księżniczkę Szarlotę, księciu, który był naówczas następcą tronu pruskiego.

Minęło jeszcze dwa lata — i spełniła się zemsta za różę Napoleona I-go — krwawe zwycięstwo pod Sedanem. W kilka dni potem magistrat miasta Berlina otrzymał pakiet, który zawierał zwiędłą białą różę a przy niej kartkę następującej treści.

„Szanownemu magistratowi miasta Berlina, posyła jeden z uczestników walki przy Grawelocie i Sedanie białą różę, którą zerwał na polu bitwy wśród huku armat i piekielnego ognia nieprzyjacielskiego, — i prosi wręczyć ją tej z pań, która najbardziej się odznaczyła troskliwością dla rannych“.

Podpisano: „Strzelec 3-ciej rotы strzeleckiego batalionu gwardyi“.

Magistrat zaś zdecydował, że nikt nie jest tak godzien tej rozkwitłej i zerwanej na krwawem polu bitwy, róży, jak imperatorowa Augusta, która była prawdziwym aniołem — stróżem i opiekunką wszystkich ranionych i chcąc ofiarować jej tę różę, posłał do niej całą deputacyę. Lecz cesarzowa, z cechującą ją zawsze skromnością, uchyliła od siebie ten dar pamiątkowy i prosiła odesłać różę do lazaretów na polu bitwy, gdzie pracowały bez wytchnienia siostry miłosierdzia i wiele pań i panien z arystokracji. „Tam, rzekła ona, — znajdziecie godniejszą odemnie“. A tymczasem zaś róża została umieszczoną w bogatą ramę pod szkłem i powieszona w kaplicy imperatorowej.

Co się tyczy najgodniejszej, która na tę różę zasłużyła, to na polu bitwy nie znalazła się godniejsza od Cesarzowej Augusty i dlatego, po ukończeniu wojny, została ona jej ofiarowana.

Lecz nietylko cesarzowa miała zaszczyt otrzymać różę z pola bitwy, taką samą różę otrzymał i cesarz.

Stało się to 19 sierpnia 1870 r. w Gorzie, niewielkim miasteczku, niedaleko Sedanu. Przy otwartym oknie jednego z wiejskich domków, siedział ciężko raniony oficer, trzymając w pozostałym zdrowym ręku różę. Nagle rozległy się okrzyki: „Jedzie, jedzie król!“ I rzeczywiście, prawie pod samym oknem cesarz się ukazał. Żywy rumieniec okrył blade policzki młodego oficera i nie wiedząc, w jaki sposób wyrazić swe głębokie przywiązanie, swe może ostatnie pozdrowienie ukochanemu monarsze, rzucił mu jedyny klejnot, który w tej chwili posiadał, — swą różę! Król kazał podnieść tę różę, włożył ją do pętli surduta, zaś w dowód tego, że on nie zapomniał o tym podarunku, może służyć następujący list własnoręczny, który on wysłał po upływie długiego czasu, pułkownikowi von Zeidlitz, który mu rzucił tę różę.

„Z wdzięcznością wspominając tę chwilę niezapomnianą, gdy będąc ciężko ranionym w Horzie 19 sierpnia 1870 r. pan ofiarował mi tę różę w czasie przejazdu mego mimo pańskiego łóża śmiertelnego, ślę Panu nawzajem mój portret. Niech wiedzą w czasach późniejszych, jak pan w tak ciężkiej chwili swego życia wspomniął o swym cesarzu i jak cesarz był panu za to wdzięczny“.

Boże Narodzenie 1871 r.

Cesarz Wilhelm.

Drugiem wspomnieniem o tej róży służy pomnik, postawiony w Horzie. Pomnik ten wyobraża skałę, nawpół okrytą narodową pruską czarno-białą cho-
rągwią. Na środku skały stoi kask żołnierski, otoczony
wieńcem dębowym, którego liście okryte są obfitą
rosą z łez. Do kasku przymocowany jest order żela-
znego krzyża ze wstęgą. A pod tem wszystkiem,
na dole, wśród szerokiej złotej ramy, ulokowana
jest, zrobiona ze srebra matowego, róża.

Do Rosyi róża trafiła tylko w XVI wieku, jak to
widać z notatek „*Rerum Moscovitarum Commentariis*“,
posła niemieckiego, barona Herbersteina, przy dworze
rosyjskim w 1517—1626 r. Naturalnie, że różę posia-
dał tylko dwór i klasa bogatsza, ogół zaś wcale jej
nie znał.

Co się tyczy róży, jako ozdoby ogrodów, to ona
zaczęła ukazywać się w Rosyi tylko przy Piotrze
I-szym, szczególnie zaś przy Katarzynie II-giej, co
można wnosić z następującego ciekawego i zabawnego
faktu:

Pewnego razu, za panowania cara Mikołaja I-go,
generałowi Klingenowi było poruczonem towarzy-
szyć matce cesarza, carowej Maryi Fedorównie do
Carskiego Siola. Spacerując po parku, generał był
mocno zdziwiony, ujrzawszy żołnierza, który stał
na warcie przy zupełnie pustem miejscu na drodze.
Zaciekawiony tem zjawiskiem, zwrócił się z zapyta-
niem do wszystkich przydwornych, by mu wytłoma-
czono przyczynę, lecz nikt mu na to pytanie nie mógł

odpowiedzieć, — wszyscy tylko mówili, że tak każe regulamin wojskowy. Wtenczas generał zaczął się wypytywać w Petersburgu u wyższej władzy i w końcu otrzymał odpowiedź, że obowiązek wartowania tego miejsca żołnierz spełnia już 50 lat, i że w rozkazach carskich jest napisane: „Ochroniać posterunek, który znajduje się o 500 kroków od pawilonu“. Przyjeżdżając od czasu do czasu do Carskiego Siola i prawie zawsze oglądając zagadkowe miejsce, które żołnierz ochraniał, generał interesował się coraz bardziej kwestyą nierozstrzygniętą przez nikogo, nawet przez cesarzową. I oto pewnego razu dowiedział się, co następuje:

Okazało się, że żołnierz ten był postawiony na warcie z rozkazu Katarzyny II-giej, która spacerując pewnego razu po ogrodzie, zauważyła prześliczną różę, świeżo rozkwitniętą i chcąc ofiarować ją naza jutrz jednemu ze swych wnuków, kazała przy niej postawić na warcie żołnierza. Następnego dnia jednak zapomniała o róży, która się jej podobała, a żołnierz został.

I tak mijały lata, — cesarzowa dawno umarła, zginął krzak różany, a żołnierze na warcie zmieniali się i nadal na tem miejscu, gdzie krzak rósł niegdyś. Wkrótce jednak po tem zdarzeniu, zagadkowy posterunek żołnierza na warcie został odmieniony i obecnie już nie egzystuje.

Na zakończenie można powiedzieć, że Victor Hugo w swem wielkiem dziele „Les misérables“,

wspomina o pewnem wschodniem podaniu, które głosi, że Pan Bóg stworzył różę o barwie białej, lecz w chwili gdy ona się rozwijała, Adam spojrzał na nią i ona spąsowiała ze wstydu, a stąd powstały pąsowe róże.



GOŹDZIK.

(*Dianthus*).



WIAT TEN GRAŁ NAJ-
większą rolę w niektórych
krwawych wypadkach z hi-
storyi Francyi. Najprzód zja-
wił się on za czasów Ludwika
IX św., kiedy ten pobożny król
wyruszał w ostatni pochód

krzyżowy w 1270 r. i oblegał miasto Tunis ze swemi
60.000 rycerzami.

W tym czasie szerzyła się wśród krzyżowców
straszna dżuma. Ludzie ginęli jak muchy i wszelkie
wysiłki lekarzy by jej zapobiedz, okazały się daremne.

Wtenczas św. Ludwik głęboko przekonany, że
przyroda posiada leki przeciw wszelkim chorobom,
i zaznajomiony, jak mówią, z leczniczą własnością
niektórych roślin, słusznie przypuszczał, że w kraju,
gdzie tak często grasuje ta straszna choroba, można
zapewne znaleźć roślinę, która ją może uleczyć.

I oto zwrócił najprzód uwagę na prześliczny kwiatek, który rósł na suchym, prawie bezpłodnym gruncie. Jego piękna barwa i zapach, mocno przypominający korzenną woń indyjskich goździków, każe mu się domyślić, że właśnie ta roślina jest mu potrzebna. Kazał więc narwać jak najwięcej tych kwiatów, zrobił z nich odwar i począł niem poić chorych. I o dziwo! Odwar okazał się w wielu zdarzeniach zbawiennym i dzuma słabnąć poczęła. Ale niestety, gdy sam król tą chorobą został dotknięty, lekarstwo to nie pomogło i Ludwik IX stał się wkrótce ofiarą tej strasznej choroby.

Krzyżowcy, którzy szanowali i kochali swego dobrego króla, wróciwszy do Ojczyzny, przywieźli jego ulubione goździki, które odtąd stają się we Francji jednym z najbardziej lubianych kwiatów. Własność leczniczą goździka przypisywano nie samej roślinie, lecz świątobliwości Ludwika IX, którego wkrótce po śmierci (1297 r.) papież zaliczył w poczet świętych. Z tej samej przyczyny zapewne, znany botanik Linneusz w kilkaset lat później dał nazwę temu kwiatkowi „*Dianthus*“, t. j. kwiat boski.

Mija kilka stuleci i goździk zjawia się znowu w historii Francji. Tym razem jest ulubionym kwiatem Wielkiego Condeusza (Ludwika II Bourbon), znakomitego dowódcy i zwycięzcy Hiszpanów.

Wtrącony do więzienia przez intrygę kardynała Mazařini, Condé, nie wiedząc czem czas zapęłnić, zajął się ogrodnictwem i posadził na malutkiej grząd-

ce pod swem oknem kilka goździków. Zachwycony ich pięknnością, z taką miłością i tak troskliwie je pielęgnował, że z każdego świeżo rozwiniętego kwiatka był nie mniej dumny, jak ze swych zwycięstw. Kwiat ten zastępował mu nieobecnych przyjaciół i stał się jedyną jego radością i pociechą. Współczesna Conde'mu francuzka poetka, p. Scuderi, która odwiedzała go w więzieniu i była świadkiem jego troskliwego hodowania tych kwiatków, napisała na pamiątkę o tem następujące wiersze :

En voyant ces oeillets qu'un illustre guerrier
Arrose d'une main qui gagna des batailles,
Souviens — toi qu' Apollon bâtissait des murailles,
Et ne t' étonnes pas que Mars soit jardinier.

Tymczasem żona jego, z domu de-Maille-Brise, siostrzenica znakomitego Richelieu, kobieta bardzo energiczna, nie zasypiała sprawy. Wzniciła powstanie w całej prowincyi, skłoniła na stronę Conde'go Izbę w Bordeaux i w końcu wywalczyła to, że go oswobodzili z więzienia.

Dowiedziawszy się o tem niespodziewanem szczęściu, Conde był ogromnie zdziwiony i zawołał: „Czyż to nie są cuda! w tym czasie, kiedy doświadczony wojak hoduje troskliwie swe goździki, żona jego prowadzi zaciętą walkę polityczną i wychodzi z niej zwycięsko.

Od tego czasu goździk staje się emblematem stronników Conde'go i wyraża oddanie się i wierność

nie tylko dla niego samego, ale i dla całego domu Burbonów, z którego on pochodził.

Ostatnią tę rolę odgrywał goździk w czasie rewolucji francuskiej 1793 r. kiedy niewinne ofiary terroru, udając się na eszafot, zdobili pierś swoją goździkiem pąsowym, chcąc tem wyrazić, że giną za swego drogiego króla i patrzą śmierci śmiało w oczy. W straszne te dni kwiat ten nosił nazwę „goździka okropności“.

W tym samym czasie miał też goździk szczególnejsze znaczenie u ludu wiejskiego we Francyi. Bukiecikami i goździkami obdarzały wiejskie dziewczyny swych chłopaków, którzy szli na wojnę, chcąc przez to wyrazić życzenie, by wrócili jak najprędzej jako zwycięzcy. Młodzi i starzy żołnierze napoleońscy wierzyli święcie w czarodziejską siłę tego kwiatu, uważając go jako talisman, który chronił od kuli nieprzyjacielskiej i dodawał mężstwa w walce. Ileż takich bukietów znajdowano potem na polu bitwy na pierśsiach mężnych żołnierzy, którym nie sędzono już było zobaczyć swej Ojczyzny.

Wogóle pojęcie o mężstwie i odwadze tak wśród ludu jak i w wojsku — było do tego stopnia ściśle połączone z tym kwiatem, że Napoleon I-szy, ustanawiając 15 maja 1802 r. order legionu, wybrał kolor goździka jako barwę tego najwyższego znaku honorowego Francyi i przez to samo uwiecznił rolę tego kwiatu w historyi Francyi i miłość jaką żywił ongi do niego naród francuzki.

Należy jeszcze zaznaczyć, że oprócz Conde'go, lubił bardzo goździki i nieszczęśliwy król Rene, który będąc pozbawiony ojczyzny przez Ludwika XI-go, wyjechał do miasta Aix i zajął się tam hodowlą goździków. — Przykład jego tak pociągnął wielu mieszkańców miasteczka, że i dotąd, chociaż minęło od tego czasu kilka stuleci, miasto Aix sławne jest ze swych goździków.

Goździk był też ulubionym kwiatem próżnego margrabiego Burgundyi, wnuka Ludwika XV-go, który będąc jeszcze bardzo młodym, uważał siebie za doskonałego ogrodnika. To zdanie, jak mówią, podtrzymywał jeden z nadwornych pochlebców, który za każdym razem, jak książę sadził goździk, — zamieniał go w nocy innym goździkiem w pełnym rozkwicie i upewniał księcia, że ma taki magiczny wpływ na przyrodę, iż posadzone przez niego rośliny, w jedną noc rozkwitają. Książę do tego stopnia był zarozumiałym i zaślepionym, że najzupełniej w tę bajkę wierzył.

Taką więc rolę grał goździk w historii Francyi. Nie mniej ciekawem było jego znaczenie i w innych państwach.

W Anglii pojawił się dopiero w XVI stuleciu i odrazu zdobył sobie sympatyę panującej w tym czasie królowej Elżbiety, a z nią razem i całej angielskiej arystokracji.

Hodując go w ogrodach i cieplarniach, królowa Elżbieta z nim się nie rozstaje i zjawia się z nim wszę-

dzie, zarówno na zwykłych przyjęciach, jak i na uroczystościach. Za jej przykładem idzie oczywiście i dwór cały.

Za jeden kwiat goździka płacono wielkie, zwłaszcza jak na owe czasy, pieniądze, a mianowicie jedną gwinę (10 rs.), zaś niewielki wianek z goździków margrabiny z Devonsziku, którym zapragnęła ozdobić sobie głowę w czasie jednej z uczt dworskich, kosztował 1000 rs.

Pierwszy w Anglii zaczął hodować goździki nadworny ogrodnik Gerard, który kilka okazów dostał z Polski w 1597 r. W 1629 r. liczba gatunków tego kwiatu doszła do 50 i sławny ogrodnik Parkinson, który zajmował się ich hodowlą, dzielił je na pełne „*carnation*“ i na drobne, proste „*gilly flowers*“. Wśród tych odmian szczególną sympatią w tym czasie cieszył się gatunek „*sweet William*“, nazwany tak na cześć Szekspira, który w swej „Baśni zimowej“ mówi przez usta Perdita o goździkach:

The fairest flowers o'the season

Are our carnations and streaked gilly flowers.

(Najpiękniejsze kwiaty letnie są pełne goździki i pstre małe goździki).

O goździku nieraz wspominają także i inni znakomici angielscy poeci: Czauser, Milton, Spencer i wielu innych.

We Francyi i Anglii był on ulubionym kwiatem wyższej i bogatej klasy; w Belgii przeciwnie, stał się ulu-

bieńcem biedaków, ludu prostego, kwiatem czysto ludowym. Tu hodowli jego, wszystkie swe wolne chwile poświęcali górnicy, pracujący dzień i noc w kopalniach węgla. Kwiat ten był największą osłodą w niewesołym ich życiu. Wychodząc z ciemnych podziemi, z miejsca, gdzie każda chwila groziła im śmiercią, z miłością zatrzymywali swój wzrok na tym ślicznym kwiatku, który zdawał się im mówić, że i oni mogą mieć swoje chwile szczęścia i radości. Śledzili oni za jego rozwojem, starali się go udoskonalić i uczynić go piękniejszym od kwiatów swych sąsiadów. Wśród nich powstało nawet współzawodnictwo, które zapełniało wolne chwile ich życia codziennego i tworzyło im cel nowy, nową rozrywkę. Pijaństwo, hulatyka, rozpusta, — nieodłączni towarzysze hultajstwa i życia bezcelowego, poczęło szybko zanikać, a nawet w niektórych okolicach znikło zupełnie ; w ten sposób skromny ten kwiatek działał więcej, niż w innych państwach kary i surowe nagany.

Namiętność ta dla goździków nie tylko że się przechowywała wśród prostego ludu w Belgii aż dotąd, ale i przeszła do tej klasy ludności, która się dawniej niemi nie interesowała. Goździk począł być troskliwie uprawiany nie tylko przez górników, ale także przez innych robotników. Kultura jego przeniknęła do najdalszych miasteczek w Ardennach i jeśli komu zdarzyło się zwiedzić Spa, Werwje i nawet Achen, ten zapewne niemało był zdziwiony, widząc na oknie prawie każdego domku robotnika, każdej biednej izdebki, ta-

kie piękne i cudne gatunki goździków, jakie rzadko spotkać można nawet w pierwszorzędnym cieplarniach. Wogóle goździk stał się symbolem ogniska domowego, miłości rodzicielskiej i troskliwości. Młody robotnik, udając się w obce kraje na ciężką pracę, spotkawszy się tam z goździkiem, przypomina sobie dom i Ojczyznę.

Matka, błogosławiąc syna na daleką drogę, daje mu bukiet goździków, jako skarb jedyny i jedyną ozdobę, jaką ona mu dać może, on zaś sadzi krzaczek goździków na jej mogile, jako ostatni znak głębokiej synowskiej miłości. Bukiet goździków jest też pierwszym podarunkiem, pierwszym wyrazem miłości młodego robotnika dla swej młodej narzeczonej.

Wszystko razem wzięte tłumaczy nam to, że widzimy na wielu starych obrazach pędzla holenderskich malarzy, kobiety z bukietami goździków w ręku. Na jednym z obrazów katedry w Ferarze, widzimy nawet świętych z bukietami tych kwiatów. Rysunek goździków widzimy nawet na tkaninie znakomitych brukselskich koronek, szczególnie na tych, które są niezbyt drogie. Nie mniejszą miłością cieszył się goździk przez pewien czas wśród robotników Turynii, których namiętność do tego kwiatu doszła takich rozmiarów, że za piękny nowy jego gatunek, oddawano nieraz połowę swego tygodniowego zarobku, ostatnią kożę, karmicielkę całej rodziny. W Niemczech goździk nie cieszył się wielką miłością wśród ludu, chociaż zawsze był symbolem stałości i wierności, dla-

tego, że jego kwiaty nawet zasuszone, często zachowują swą barwę. Jeden niemiecki dwuwiersz tak o nim głosi :

Nelke, du wandelst die Farbe nicht eh,
Als der Tod dich entblättert...

Lecz niemieccy poeci mieli do niego mniejszą sympatyę niż francuzcy, dowodem czego może służyć to, że kiedy Francuzi nadali pewnej odmianie goździków głośne imię „*oeillet de poète*“, Niemcy przeciwnie uważają go za kwiat zarozumiałości, pustoty, piękności tylko cielesnej, porównują go z kobietą piękną, lecz próżną. Tak naprzykład Göthe mówi :

„Nelken! Wie find ich euch schön! Doch alle
gleichet ihr einander,
Unterscheidet euch kaum, und ich entscheide
mich nicht...“

Do Niemiec goździki były przywiezione jeszcze za Karola V. z Tunisu, kiedy on zmusiwszy Solimana do cofnięcia się, posadził na tronie dawniejszego sultana i oswobodził 22,000 chrześcijańskich niewolników. Jako wspomnienie o otrzymanem zwycięstwie i o rycerskiej odwadze swych żołnierzy, kwiat stał się jego kwiatem ulubionym i był zwykłą i stałą ozdobą jego ogrodów.

Przechodząc dalej do Włoch, widzimy, że i tu goździk tak się wszystkim podobał, iż w tym czasie gdy on zakwitał, ani jedno ludowe święto nie obchodziło się bez tego, żeby młode Włoszki nie ozdabiały nim

swych piersi i nie wpinały jego pąsowych kwiatów w swe krucze włosy.

I tutaj kwiat ten był uważanym zawsze jako talizman miłości. Nieraz, przechodząc koło wizerunku Madonny, umieszczonego na rozstaju, można widzieć piękną wiejską dziewczynę, modlącą się z pękiem goździków w ręku. Ona modli się za pomyślną podróż i szczęśliwy powrót swego ukochanego, który musi się przeprawiać przez niebezpieczne góry, gdzie tyle bandytów się czai, — prosi więc Madonny, by pobłogosławiła kwiaty, które mają mu służyć jako talizman przeciw wszelkim przygodom.

W Bolonii goździk uważany jest jako kwiatek św. Piotra Ap. i 29 czerwca, na jego pamiątkę, wszystkie kościoły i miasto całe bywa ozdobione goździkami.

W dniu tym nie spotka się ani jednej młodej kobiety, ani jednego młodzieńca, któryby nie miał tego kwiatu w ręku, na piersiach, we włosach lub klapie surduta. W dniu tym mają go nawet starcy i żołnierze.

Przywieziony do Włoch o sto lat wcześniej, niż do Belgii, goździk tak się zaaklimatyzował i rozrósł, że uważany jest przez wielu za dziką włoską roślinę i tylko w historycznych notatkach można wyczytać, że był on uprawiany w 1310 r. przez Mateusza Silvaticę wraz z innymi roślinami, sprowadzonymi ze Wschodu, a potem sadzony w ogrodach Medicis'ów, i to dowodzi, że ta roślina nie jest włoską.

Na zakończenie nadmienić należy, że w Hiszpanii goździk gra nie mniejszą rolę w życiu młodzieży, niż

we Włoszech, szczególnie w Walencji, gdzie go zmuszają sztucznie kwitnąć prawie przez rok cały. Największą wartość ma w grudniu, kiedy za jeden jego kwiatek płacą nieraz po 6 realów i więcej. Ofiarowanie go w tym czasie pięknej damie, uważa się za szczyt elegancyi i dobrego tonu.

Goździki te, chociaż wszystkie pąsowe, mają jednak kilka odcieni, za pomocą których zakochani prowadzą miłosną rozmowę i naznaczają sobie schadzki. Wychodząc z kościoła, prześliczna donna odrzuca niby niechcący kraj swej mantylki, ukazując swemu „*amorose*” przypięty na piersiach goździk, a on z odcienia jego barwy wyczytuje, o której godzinie może się zobaczyć z ukochaną. Duenja, która jej towarzyszy, udaje że nic nie widzi, bo wszak i ona też była niegdyś młodą i także prowadziła rozmowę za pomocą goździków.





FIJOŁEK.

(*Viola adorata*).

CUDNY, Z NICZEM NIE-zrównany delikatny zapach fiołka i miłe połączenie ślicznej liliowej barwy tego kwiatka z jasną, gorącą zielenią jego liści, sprawiła, że ma-lutki fiołek od niepamiętnych czasów stał się ulubieńcem człowieka. Podług pewnej wschodniej legendy, fiołek urósł z łez wdzięczności Adama, gdy w czasie jego pobytu na wyspie Cejlon, Archanioł Gabriel przyniósł mu wieść radosną, że Bóg mu jego grzechy odpuścił.

Inna znowu legenda głosi, że kiedy pewnego razu bóg słońca, Apollo, prześladował swemi palącemi promieniami jedną z prześlicznych córek Atlasa, biedna dziewczyna zwróciła swe modły błagalne do Zeusa, prosząc go, by ją ukrył i obronił. I oto wielki Gromo-

władca wysłuchał jej prośbę, zamienił ją w cudny fiolek i ukrył go w cieniu swych gajów, gdzie odtąd kwitł na wiosnę i cudną swą wonią napelniał wszystkie lasy niebieskie.

Śliczny ten kwiatek byłby na ziemię może nigdy nie trafił, gdyby nie to, że Prozerpina, córka Zeusa i Cerery, udając się razu pewnego do lasu po kwiaty, została porwaną przez zjawiającego się nagle Plutona, w tym właśnie czasie kiedy rwała fijołki.

W przestachu opuściła zerwane kwiaty na ziemię... i oto fijołki te stały się praojcami tych fijołków, które kwitną u nas aż dotąd.

Ponieważ fijołki przywodzą na myśl legendę o porwaniu Prozerpiny przez Plutona, więc Grecy uważali je jako kwiatek smutku i śmierci i dlatego ozdabiali nimi zwykle łoża śmiertelne i mogiły wcześniej zgasłych młodych dziewic.

Z innej znowu strony, jako podarunek Prozerpiny, jako wieść radosna, którą ona niesie co wiosnę swej matce Cererze, fiołek służył Grekom jednocześnie za emblemat odnawiającej się wiosny i był symbolem Aten, które Pindar opiewał, jako miasto fiołkami ukoronowane, a rzeźbiarze i malarze wyobrażali to miasto w postaci kobiety z wieńcem fiołków na głowie.

Oprócz tego, wiankami i bukietami z fiołków lubili Grecy zdobić siebie, swe mieszkania i posągi swych larów i penatów, a także wieńczyli nimi co roku w dzień święta wiosny, wszystkie dzieci, mające

już trzy lata, chcąc przez to wyrazić, jak mówi Pascalius, że niemowlęce lata ich już minęły i wchodzą w życie jako mali obywatele.

Wogóle fiołek jest najulubieńszym kwiatem starożytnych Greków. Homer, chcąc w najbardziej jaskrawy sposób opisać piękność grotty Kalipso, mówi, że była ozdobioną fiołkami tak pięknymi, iż wiecznie spieszący się i nie zatrzymujący się przed niczem Merkury, zwolnił kroku przed tą grotą, by cudnym fiołkom się przypatrzeć.

Nie mniej od Greków zajmowali się fiołkami Rzymianie. Uważali je jako roślinę leczniczą, a także dodawali do wina, które nosiło nazwę „napoju wiosennego“. Prawie żadne święto, ani żadna uroczystość religijna nie mogła się obejść bez fiołków, z tego powodu okolice Rzymu, jak również Aten, przedstawiały całą plantację fiołków, na co uskarża się Pliniusz, mówiąc, że lepiej by zrobili Rzymianie, żeby zamiast nieużytecznych kwiatów, sadzili korzystne drzewa oliwne. Fiołki były opiewane przez lepszych rzymskich poetów, miasto zaś Genua w Sycylii posiadało odbicie fiołka na monetach.

Z fiołkiem spotykamy się też w legendach starowendskiej mytologii, gdzie mu przypisywano nawet niektóre magiczne własności. Ponury Wendski bożek, Czarnobóg, — mówi jedno z tych podań, — posiadał pyszny pałac i prześliczną córkę. Lecz oto przyszli chrześcijańscy apostołowie, pozbawili go siły, zamienili pałac w skałę, piękną zaś jego córkę w fiołek, który

raz tylko na sto lat zakwita. I ktoby miał szczęście zerwać ten fiolek, ten będzie mógł ożenić się z najpiękniejszą i najbogatszą panną w kraju i będzie przez całe życie najszczęśliwszym z ludzi.

Na pamiątkę tego podania, w średnich wiekach, w południowych Niemczech, co roku na wiosnę obchodzono uroczyście ten dzień, w którym znajdowano pierwszy fiolek.

Umieszczano go uroczyście na ogromnym drągu, wśród szmaragdowej łąki, a młodzi i starzy zbierali się, by się pobawić, pośpiewać i potańczyć. Wszyscy się cieszyli, że mogli już opuścić ciasne i duszne mieszkania, w których musieli spędzać długą zimę, a teraz, zebrawszy się razem, oddychać mogą świeżym, wiosennym powietrzem i rozkoszować się cudnym widokiem budzącej się przyrody.

Zwyczaj ten był pewnego razu powodem kłótni pomiędzy rycerzem Nitgardtem Fuksem a wieśniakami, — tej kłótni, którą opiewał średniowieczny poeta, Hans Saks, niedawno zaś jeszcze — Anastazy Grün. Działo się to za panowania Ottona Wesołego w okolicach Wiednia.

Nitgardt znalazł pewnego razu przypadkiem, na wiosnę, w pewnym lesie nad Dunajem pierwszy fiolek i przykrywszy go czapką, udał się czemprowadzić do księcia, żeby mu oznajmić o swym szczęściu i zaprosić go, jak również cały dwór jego na święto „wiosny“. Tymczasem jakiś wieśniak, przechodząc obok tego miejsca i widząc leżącą wśród pola czapkę rycerską,

ciekawym był, co ona kryła pod sobą; ujrzawszy fiołek, zerwał go czempredzej, a na jego miejscu położył kupkę śmieci.

Wyrzadziwszy tego figla poszedł sobie spokojnie do domu.

Tymczasem książę Otto zaprosił wszystkie damy i całą swoją świtę na to święto; sam też zjawił się w stroju uroczystym na to miejsce, gdzie rósł fiołek. Lecz gdy Nitgardt podniósł czapkę, to ku ogólnemu zdziwieniu, na miejscu fiołka ujrano tylko kupkę śmieci. Wściekli z gniewu wiedęńczycy mniemali, że Nitgardt zadrwił z nich sobie i byli do tego stopnia oburzeni, że biedny Nitgardt uszedł ich gniewu, zawdzięczając tylko rącości swego konia. Obrażony i zasmucony Nitgardt nie mógł sam pojąć, w jaki sposób to się stać mogło, gdy nagle, odjechawszy trochę dalej, ujrzał swój fiołek, przymocowany do drąga i cały tłum tańczących i weselących się wkoło niego włóścian.

Dobrywszy miecza z pochwy, rzucił się na nich, począł ich rozpędzać i poraniwszy wielu, został zwyciężcą na miejscu tańców. Odtąd został przezwanym „wrogiem chłopów“ (Bauerfeind).

Po Grekach najbardziej lubili fiołek starożytni Gallowie, u których on był symbolem niewinności, skromności i dziewiczości, i dlatego fiołkami posypywano łoża nowożeńców i ozdabiano mogiłę wczesnie zmarłej narzeczonej.

Od Gallów, miłość do fiołka przeszła na ich po-

tomków, Francuzów, u których w czasie znanych pod imieniem „*jeux floraux*“, walk poetycznych, co roku odbywających się w Tuluzie, jedną z najwyższych nagród był — złoty fiołek.

Ustanowione w 1323 r., walki te odznaczały się szczególną świetnością w 1490 r., gdy na czele ich stanęła znakomita piękność Clementine Isor, która stawiała fiołek wyżej od wszystkich kwiatów i która posłała go nawet swemu rycerzowi, w niewoli u niewiernych zostającemu jako zakład swej wiecznej stałości i wierności.

Fiołek nieraz był opiewany przez francuzkich poetów, — zaś poeta Desmarets, który żył za panowania Ludwika XIV, posyłając znakomitej inicjatorce wieczorów literackich, Julii de Rambouillet, wianek z fiołków, każe mówić temu kwiślowi, co następuje:

„*Franché d'ambition je me cache sous l' herbe
Modeste en ma couleur, modeste en mon séjour:
Mais si sur votre front je puis me voir un jour,
La plus humble des fleurs sera la plus superbe*“.

Uważając fiołek jako symbol skromności i niewinności, poeci francuscy nie znosili tego, by z nim porównywać kogoś, ktoby na to nie zasługiwał — i kiedy pani de Sevigné przez pochlebstwo nazwała w jednym ze swych listów, znakomitą faworytę Ludwika XIV, Louizę de-Lavaillère, „skromnym fiołkiem“, „humble violette“, to pani de Genlis, też francuzka autorka, była poprostu oburzona tem porównaniem.

Szczególną miłością cieszył się ten skromny kwiatek u wielu znakomitych francuskich aktorek. Tak na przykład, znana francuzka aktorka, a zarazem kochanka Maurycego Saskiego, Adrienna Lecouvreur, tak namiętnie lubiła ten kwiatek, że Maurycy, chcąc jej zrobić przyjemność, podarował jej pieczętkę z wyciętym na niej fiołkiem i napisem „*Il faut me chercher*“. Powiadają też, że ten bukiet, którym otruła ją jej rywalka, księżna de-Bouillon, był też zrobiony z fiołków.

Druga, niemniej znakomita francuska aktorka, panna Cléront, która żyła w końcu XVIII wieku, tak namiętnie lubiła ten kwiatek, że jeden z jej adoratorów urządził dla niej całe cieplarnie tych kwiatów i przez 30 lat, codziennie latem i zimą, posyłał jej rano bukiet fiołków. Ona zaś, chcąc wykazać mu ze swej strony nie mniejszą stałość i przyjaźń, zrywała co wieczór po jednym kwiatku i zaparzywszy go, jak herbatę, wypijała codzień ten napój. Był to dla niej jakby napój miłosny.

Nakoniec, w naszych czasach, namiętną czcicielką fiołka, jest Sara Bernard, której całe mieszkanie i wszystkie suknie przesiąknięte są zapachem fiołków i u której także w ciągu całego roku w buduarze i we wszystkich pokojach stoją bukiety fiołków.

Fiołek lubił też nieszczęśliwy król Ludwik XVI., którego piękna dusza miała dużo podobieństwa do tego kwiatka skromnego; od niego zaś miłość ta przeszła i do Dauphin'a, który był zawsze ogromnie za-

dowolony, gdy mógł ofiarować ojcu fiołki przez siebie hodowane.

Lecz szczególną i bardzo dziwną rolę odgrywał ten kwiatek w życiu królowej Józefiny, a po części też w życiu Napoleona I-go i Napoleona III-go. O tem zaś wiadomem jest, co następuje: Otóż, 9 marca 1795 r. podług notatek historycznych niektórych współczesnych osób, u wrót więzienia Tamille, w którym męczył się maleńki uwieczony Dauphin, zjawiła się młoda piękna pani z wazonikiem prześlicznych rozkwitłych fiołków i prosiła dozorcę, ażeby oddał je biednemu królewskiemu męczennikowi. Wiedziała o zamiłowaniu jego do tych kwiatów i chciała sprawić mu radość, posyłając mu je, jako wiosenne pozdrowienie w murach więziennych.

Panią tą była Józefina Beauharnais, przyszła królowa Francyi. Ona też namiętnie kochała fiołki i tknięta współczuciem dla chorego dziecka, nie zważając na grożące jej niebezpieczeństwo, w towarzystwie Barrasa, przyszła spełnić czyn święty, który jej podszeptnęło złote jej serce.

Chore dziecko niedługo cieszyło się podarunkiem, bo w miesiąc później umarło w murach więziennych.

Pochowano je w nocy, potajemnie w cichym zakątku cmentarza św. Małgorzaty. Dziecko tak kochało swój wazonik z fiołkami, że niedługo przed śmiercią, pieszcząc słabnącemi rączynami listeczki fiołków, szeptało: „Wiosną znowu się zobaczymy, drogie

kwiateczki". Na pamiątkę tych wzruszających chwil ostatnich, jakaś litościwa ręka posadziła mu fiołki na grobie.

Od tego czasu kwiaty Józefiny rosły na nieznaney mogiłce maleńkiego Ludwika XVII i rozrastając się coraz bardziej, okrywały ją już całą gęstym fiołkowym kobiercem.

Tymczasem, spotkawszy się na jednym ze świętnych balów urządzonym przez prezydenta konwentu, Barrasa, ze wschodzącą natenczas gwiazdą generałem Bonaparte, Józefina oczarowała go swą pięknością i swym skromnym strojem, który silnie odbijał od wyszukanych strojów pań z arystokracji. Zamiast drogich kamieni i rzucających się w oczy jaskrawych kolorów, za całą ozdobę służyła jej girlanda fiołków na głowie i kilka bukiecików tych kwiatów, upiętych na piersi. Kwiaty te były jej szczególnie drogie, jako wspomnienie o odzyskanej wolności.

Uwięziona, jak opowiadają, w początku rewolucyi, razem z wielu niewinnemi ofiarami w znanej Conciergerie, Józefina oczekiwała śmierci na eszafocie i żegnała się już z życiem, gdy nagle pewnego wieczoru przyszła do niej mała dziewczynka, córka dozorczy więziennego i podała jej bukiet fiołków. Dar ten nieoczekiwany obudził w niej nadzieję, że starania jednej z wpływowych jej przyjaciółek, o oswobodzenie jej z więzienia, pomyślny odniosą skutek i widziała w tych kwiatach szczęśliwych zwiastunów swobody.

I rzeczywiście przeczucie ją nie zawiodło. Wstawię-

nie się jej przyjaciółki odniosło dobry skutek i ona została wolną.

Odtąd fiołek był dla Józefiny symbolem życia i szczęścia i gdy spotykała czasem kogoś nieszczęśliwego, przygnębionego smutkiem, zawsze ofiarowywała mu fiołki, jako nadzieję na pomyślne zakończenie jego nieszczęść.

Być może, że dla tej to przyczyny przyszło jej na myśl podarować fiołki biednemu Dauphinowi.

Namiętność jej do tych kwiatów doszła do przesady.

Wszystkie jej suknie były utkane fiołkami, kolor liljowy był jej ulubionym, żywe fiołki były jej jedyną ozdobą, ona cała i wszystko, co ją otaczało, było prześiakanie wonią fiołków.

Olśniony, oczarowany przez nią generał Bonaparte, nie odchodził od niej przez cały wieczór ani na chwilę, a kiedy odjeżdżała, przeprowadził ją aż do karety. Żegnając się z nim, Józefina nachyliła się, a przypięty do jej piersi bukiet fiołków odczepił się i upadł jej do nóg. Napoleon podniósł go, do ust namiętnie przycisnął i zabrał z sobą jako pierwszy zakład miłości.

9 marca 1796 r., w rok po tym dniu, kiedy Józefina przyniosła fiołki biednemu Dauphinowi, w gmachu ratusza paryskiego odbyły się jej uroczyste zaślubiny z Napoleonem. I znowu Józefina była ubraną w suknię, utkaną fiołkami, znowu w rękę i na piersiach miała bukiety fiołków, — kwiat jej miłości i szczęścia.

Wychodząc z ratusza, wzruszona i uszczęśliwiona, nie mogła już panować nad sobą, i kilka łez radosnych na jej bukiet upadło, a zwracając się do Napoleona, rzekła: „Powzól mi, drogi mój przyjacielu, zawsze nosić te kwiaty, w ten cudny dzień mojego życia. Niech one będą co wiosnę wznowieniem naszej miłości, naszego szczęścia“.

I Napoleon nigdy nie zapomniał tej prośby, czy to był wśród bitwy, czy na wyprawie wojennej, czy w upojeniu chwały i i sławy, nie zapominał nigdy tych słów Józefiny i zawsze ona znajdowała w dzień swych zaręczyn bukiet fiołków na nocnym stoliku swej sypialnej komnaty.

Lata minęły, piękna główka Józefiny została ozdobioną królewską koroną, lecz tak jak dawniej nie było dla niej większej przyjemności, jak otrzymać w pamiętnym dla niej dniu bukietek fiołków.

Tymczasem gdy sława i potęga Napoleona rosła coraz bardziej, szczęśliwa gwiazda Józefiny gasnąć poczęła. Dłoń, tak głęboko przez nią ukochana, miała jej wkrótce zadać cios śmiertelny.

Poczęły krążyć głuche wieści o zamiarze Napoleona, wybrania sobie odpowiedniejszej jego stanowisku małżonki z królewskiego rodu i o dobrowolnem jakoby zrzeczeniu się Józefiny, które nastąpiło 9 marca 1808 r.

Jakby zwiastując nieszczęście, w przedzień tego faktu, umarł nadworny ogrodnik, który się zajmował hodowlą fiołków. Napoleon nie chciał darować jej

kwiatów z ogrodu, gdzie był umarły. Lecz skąd było dostać fiołków o tej porze?

Wszędzie, po całym Paryżu byli rozestani gońce z rozkazem dostania za jaką bądź cenę fiołków. Lecz próżne były starania, nigdzie i u nikogo ich nie znaleziono. Tymczasem godzina, w której one miały być ofiarowane Józefinie, już się zbliżała.

Poruszony i zaniepokojony tem, że Józefina może przyjąć to jako przepowiednię grożącego jej jakiegoś nieszczęścia, Napoleon opuszcza pałac i sam idzie szukać kwiatów. Obchodzi wszystkie ulice i place, gdzie zwykle kwiaty sprzedawano, lecz nic nie znajduje; już zaczyna obmyślać, czem uspokoić Józefinę, gdy, zbliżając się do Louvru, widzi przy bramie zgarbioną staruszkę, z koszem pełnym bukiecików fiołków. Uradowany chwytą najładniejszy bukiecik, rzuca jej garść złota i nim staruszka zdążyła się opamiętać, znika. Tryumfując wchodzi do Józefiny, podaje jej bukiet i opowiada o trudnościach, jakie zwałczył, nim go zdobył nareszcie.

Rozpromieniona szczęściem Józefina obejmuje Napoleona, dziękując mu za starania i całuje bukiet. Lecz nagle twarz jej pobladła i wypuściwszy z rąk bukiet, woła z przerażeniem „Precz! precz! to są kwiaty śmierci... One zakwitły na mogile!”

Żeby uspokoić wzruszoną Józefinę i dowieść jej, że to, co ona mówi, jest tylko wynikiem jej wybujałej wyobraźni, Napoleon posyła natychmiast po staruszkę, która sprzedawała kwiaty.

Wszystkie jednak poszukiwania były daremne; nikt jej nie znał, nikt jej nie widział. Przeczucie Józefiny nie zawiodło.

W parę dni potem znaleziono staruszkę, która przyznała się, że kwiatki te zebrała z czyjejś mogiły na cmentarzu św. Małgorzaty.

Od tej chwili Józefina nie zaznała spokoju. Niejasne przeczucie czegoś strasznego, jakiegoś nieoczekiwanego nieszczęścia zaczyna ją wciąż prześladować. Wkrótce przeczucie to zamienia się w smutną rzeczywistość. Dowiaduje się o postanowieniu Napoleona, że chce wziąć z nią rozwód i ożenić się z córką króla austriackiego, Maryą — Louizą.

Postanowienie dochodzi w niedługim czasie do skutku i Józefina zmuszona jest rozstać się z tym, którego ceniła nad wszystko na świecie, którego po prostu ubóstwiała.

Usuwa się do swego ulubionego pałacu Malmaison, gdzie nikogo nie przyjmując, żyje w odosobnieniu, oddana cała pielęgnowaniu kwiatów. W nich widzi swych najlepszych przyjaciół, z nimi tylko dzieli się swym smutkiem.

Tysiącami przywożą tutaj kwiaty ze wszystkich stron świata: i z upalnego południa i z zimnej dalekiej północy, z dolin i gór przeróżnych — jednego tylko kwiatu spotkać tu nie można, mianowicie fiołka. Tych ulubionych swych kwiatów Józefina nie tylko że nie nosi, lecz nie chce ich widzieć, ani wymawiać ich nazwy...

Tak mijają cztery lata, gdy nagle 9 marca 1814 r. z bukietem fiołków zjawia się u niej trzechletnie dziecko, — syn Napoleona, a za nim wchodzi on sam. Do łez poruszona, rzuca się Józefina w objęcia Napoleona i na chwilę zapomina zupełnie o goryczy i krzywdach doznanych.

Był to ostatni szczęśliwy dzień w życiu Józefiny. Po upływie dwóch miesięcy, w tej samej wspaniałej sali, gdzie przyjmowała Napoleona z malutkim królem rzymskim, stała, cała zasypana fiołkami jej trumna i rozlegał się śpiew pogrzebowy. Biedna cesarzowa przeboleła stratę ukochanego człowieka, lecz jego nieszczęścia, jego wygnania na Elbę już przeżyć nie mogła.

Ze śmiercią Józefiny, fiołek jednak nie znika w historii Napoleona. Staje się dewizą jego stronników a następnie partii Napoleonidów. Stronnicy Napoleona uważają i nadal fiołek za kwiat szczęścia wielkiego cesarza i kiedy 20 marca, w tym właśnie czasie, kiedy na południu zakwitają pierwsze fiołki, Napoleon ucieka z wyspy Elby i pojawia się wśród uradowanych starych gwardzistów, — oni witają go wesołym okrzykiem: „Le voilà, le voilà, le père la Violette!”, I wszyscy żołnierze, wszyscy co jego stronę trzymali, zjawiają się z fiołkami przy surdutach, wszystkie kobiety z bukietami tych kwiatów na piersi i na kapeluszach, wszystkie domy i sklepy ozdabiają fiołkami, jako symbolem nadziei nowej wiosny, nowego odrodzenia się cesarstwa.

Radość ta jednak trwała niedługo. 20-go czerwca Napoleon był już zmuszony wyrzec się tronu na rzecz swego małoletniego syna. Wtenczas wspomniął o Józefinie, ostatni raz pojechał do Malmaison i zerwał z jej mogiły parę fiołków, które tam kwitły prawie w ciągu całego roku. Lecz szczęśliwa gwiazda, która mu świeciła wraz z kwiatami Józefiny, — zgasła. Fiołki zerwane były na mogile, więc szczęścia przynieść nie mogły.

15 czerwca 1814 r. posadzono go na okręt Bellerofont i potajemnie przewieziono, jako więźnia, na wyspę św. Heleny.

Po jego śmierci znaleziono na piersiach jego złoty medalion, z którym się nigdy nie rozstawał, w którym były dwa zasuszone fiołki i pasmo złotych włosów; dwa drogie wspomnienia, o jego ukochanej Józefinie i nie mniej mu drogim synie, — królu rzymskim. Po śmierci Napoleona nie przerywa się nic tajemnicza, łącząca go z fiołkami. Kwiatek ten i nadal gra rolę w losie jego potomków.

Czyniąc daremne zabiegi u wszystkich dworów o odpowiednią swemu stanowi małżonkę, Napoleon III-ci zatrzymał nareszcie swój wybór na prześlizniętej Hiszpance, którą sam los przeznaczył mu na żonę. Eugenia, hrabina Monticho, margrabianka de-Teba, tak się nazywała przyszła cesarzowa Francyi. Ojciec jej, margrabia Penevando-de-Teba, należał do jednej z najznakomitszych rodzin hiszpańskich, matka zaś pochodziła ze starożytnego szkockiego rodu Kir-

patrik Glasborn, spokrewnionego ze Stuartami i margrabią Albą.

Rodzice matki Eugenii przenieśli się do Paryża jeszcze za Napoleona I-go i stali się jego stronnikami. Tu Marya — tak się zwała matka Eugenii, — będąc jeszcze dzieckiem, bawiła się w ogrodzie Tuilleries z innymi dziećmi i zaznajomiła się tam przypadkiem z małym Ludwikiem Napoleonem, synem ukochanej pasierbicy (córką Józefiny z pierwszego małżeństwa) i jednocześnie synowej Napoleona — królowej Hortensii, — i dzieci tak się zaprzyjaźniły, że pewnego razu mały Ludwik Napoleon przyniósł w darze swej towarzysze bukiet fiołków, z włożonym nań złotym pierścieniem. Kiedy Marya przyszła do domu, matka ujrzawszy ten pierścionek, na zewnętrznej stronie którego było napisane „Józefina“, — kazała odnieść go natychmiast i oddać piastunce chłopczyka. Lecz na drugi dzień chłopczyk nie przyszedł do ogrodu a potem znikł gdzieś zupełnie, tak że pierścionek musiał zostać przy Maryi.

Jak się później wyjaśniło, pierścionek ten był ślubną obrączką imperatorowej Józefiny, którą Ludwik Napoleon, bawiąc się z wujem (Napoleonem I-szym) zdjął mu z palca i gdzieś schował.

Szukano jej wszędzie, przetrzeszono cały pałac, lecz nigdzie nie znaleziono. Napoleon był bardzo zmartwiony i wyjechał na wojnę z Austrią bez tej obrączki. Było to dla Józefiny złą przepowiednią, która wkrótce się sprawdziła, bo wojna ta zakończyła się zaślubina-

mi Napoleona z córką cesarza austriackiego, Maryą-Louizą.

Mała Marya lubiła ten pierścionek i przechowywała go starannie wraz z najdroższymi swymi rzeczami, lecz nie miała najmniejszego pojęcia o tem, kto jej to podarował i jaka to była cenna obrączka. Gdy miała już 16 lat wyszła za mąż za wuja swego, margrabiego Penevonda, a 5-go maja 1826 r. urodziła się jej córka, której dano na imię Eugenia. Kiedy Eugenia wyrosła, matka podarowała jej swój ulubiony pierścionek i kazała wyryć na nim obok imienia Józefiny, jeszcze datę 5 marca, t. j. dzień urodzin Eugenii.

Mała Eugenia, która nieraz bawiła w Londynie u krewnych swej matki, ujrzała tam raz księcia Napoleona, który przebywał w Londynie, jako członek politycznego stowarzyszenia karbonaryszów.

Żywe prześliczne dziecko, jakim była Eugenia, bardzo mu się podobało. Zaczął z nią się bawić i dziewczynka, tak jak wszystkie dzieci, przyniosła mu natychmiast wszystkie swoje najlepsze zabawki i drogie rzeczy. W liczbie tych ostatnich była też i obrączka.

Ludwik Napoleon odrazu ją poznał, ogromnie się ucieszył, że ją odnalazł i od tej chwili uważał siebie jakby związanym tajemniczym węzłem z małą Eugenią.

Tymczasem matka Eugenii, dowiedziawszy się o znaczeniu darowanej jej obrączki, ułożyła natychmiast plan postępowania i tłómacząc zjawienie się tej obrączki boskiem zrządzeniem, starała się wszelkimi

sposobami, żeby Eugenia nie wyszła za nikogo innego, jak tylko za Ludwika Napoleona.

Żeby plan swój doprowadzić do skutku, przeniosła się do Paryża, gdzie wszelkich dokładała usiłowań, żeby się spotkać z Ludwikiem Napoleonem, który w tym czasie z członka Karbonaryuszów, miał się przeistoczyć w cesarza.

Eugenia ukazywała mu się nie inaczej, jak z bukietem fiołków u kapelusza, albo na piersiach, w liliowej sukni, albo z welonem koloru fiołków.

Kiedy w 1851 r. wszystko już było gotowe do państwowego przewrotu i Eugenia zjawiła się na balu w paryskim ratuszu, ubrana tak, jak ongi cesarzowa Józefina, z fiołkami we włosach i z bukietem fiołków na ramieniu, los jej się rozstrzygnął. Napoleon został zupełnie podbity jej wdziękiem, i 29 stycznia 1853 r. Eugenia została cesarzową francuską. Odtąd fiołki stały się jej ulubionym kwiatem, jak również i modnym w arystokracji.

Nie były to już jednak skromne fiołki Józefiny, lecz ozdobna ich odmiana — parmeńskie fiołki, ciemniej zabarwione i silniej pachnące.

Tak kwitły i woniały te fiołki, jako kwiat radości przez lat 20, aż 9 stycznia 1873 r. zamieniły się znów w kwiat śmierci. W tym dniu umarł Napoleon III-ci, umarł w Anglii jako pruski więzień i wygnaniec z Ojczyzny.

14 stycznia w Cizelgorscie, w paradnej sali, zawieszanej herbami z królewską koroną i zastawionej

licznymi świecznikami z jarzącymi się świecami, spoczywał w trumnie Napoleon III-ci. Na piersiach jego leżał krzyż, a w koło trumny wianki, bukiety, girlandy z fiołków, cała posadzka też usiana była fiołkami, które przysłali mu z Francji liczni przyjaciele i stronnicy dynastji Napoleonów. Było to jakby ostatnie pozdrowienie z Ojczyzny...

Czy zakwitną fiołki na mogile Napoleona? czas chyba to pytanie rozstrzygnie, lecz stronnicy jego zachowali wierność dla tego kwiatu aż dotąd. I dotąd jeszcze w dzień imienin cesarzowej Eugenii w Nizy, gdzie ona stale przebywa, cały kościół ozdabia się fiołkami, przysyłanymi ze wszystkich stron Francji, jako wspomnienie, że wierni stronnicy Napoleona jeszcze o nim nie zapomnieli.

Oprócz tego, przy wejściu do kościoła, siedzą liczne kwiaciarki z fiołkami, a każdy przychodzący do kościoła kupuje sobie bukietek fiołków.

Taką jest ciekawa rola fiołka we Francji, lecz skromny ten kwiatek był lubiany i w innych też krajach. Kochali go królowie i poeci, którzy nieraz opiewali go w swych poezjach.

Szekspir nazywa go swym ulubieńcem „darling“.

Szelly opiewa go w swych wierszach, — Tomasz Moor w „Lalla Rook“, a Göthe nie tylko że go opiewał, lecz starał się o to, by jego rodzinne miasto, Weimar, zamieniło się w miasto uwieńczone fiołkami, na wzór Aten, które przedstawiało się jak pole, gęsto usiane fiołkami. Naród nazywa je fiołkami Göthego —

„*Göthes Veilchen*“, dla tego, że ten wielki poeta, tak namiętnie kochał ten kwiatek, że nigdy na przechadzkę nie wychodził bez nasienia fiołków, które potem wszędzie, gdzie tylko mógł, rozsiewał po drodze. I teraz jeszcze, chociaż już 70 lat minęło od śmierci poety, co wiosną okolice Weimaru zamieniają się w pyszny kobierzec z fiołków, — jest to pamiątka o nim, pamiątka, która przetrwa jeszcze dużo, dużo dziesiątków lat i która — kto wie? — może przeżyje nawet sławę jego utworów.

Oprócz Göthego w Niemczech, fiołki cieszyły się jeszcze wielką miłością znakomitego autora „*Obrazków przyrody*“, Aleksandra Humboldta i króla pruskiego Fryderyka Wilhelma III-go. Ten ostatni szczególnie lubiał ozdabiać fiołkami portret swej zmarłej żony, królowej Louizy na tę pamiątkę, że portret ten, otoczony girlandą fiołków, zjawił się mu w widzeniu, w tym dniu właśnie, kiedy on ustanowił order żelaznego krzyża, który służył jako nagroda za waleczność.

Nakoniec lubił fiołki zmarły cesarz Wilhelm, któremu codziennie przy śniadaniu, o każdej porze roku, podawano tackę ze świeżymi fiołkami, a w dniu jego urodzin ozdabiano niemi cały stół jadalny i cały salon. Zwyczaj ten zachował się i po jego śmierci. I teraz 22-go marca, w dzień jego urodzin stół w jego gabinecie i cały pokój jest zawsze ozdobiony fiołkami.

HYACYNT.

(*Hyacinthus orientalis*).



tóż nie zna Hyacintu ?
tego kwiatu czarownego,
którego woń cudowna upaja
nas nawet wśród zimy, a prze-
śliczne, jakby z wosku ule-
pione, najsztudniej szych od-
cieni grona ich kwiatów, słu-
żą za ozdobę naszych mie-

szkań w czasie uroczystości zimowych. Kwiat ten,
którego ojczyzną jest Azja Mniejsza, — oznacza
w tłumaczeniu z greckiego „kwiat deszczów“, bo
w swej ojczyźnie on rozkwita z nastaniem ciepłych
deszczów wiosennych.

Starożytne greckie podania głoszą, że nazwa tego
kwiatu pochodzi od imienia Hyacinta, ślicznego
syna króla spartańskiego, Amikladesa i muzy historyi
i eposu, Klio. Działo się to w te szczęśliwe czasy,
kiedy bogowie i ludzie byli ze sobą w wielkiej zaży-
łości. Prześliczny ten młodzieniec cieszył się miło-

ścią bez granic boga słońca, Apollona. Pewnego razu zabawiał się on z tym bogiem rzucaniem lancy. Zręczność z jaką on ją rzucał i pewność jej polotu dziwiła wszystkich. Apollo był nim zachwycony i cieszył się powodzeniem swego ulubieńca. Lecz dawno już o niego zazdrosny bożek lekkiego wiatru Zefir, dmuchnął na lancę i przewrócił ją w ten sposób, że ona poleciała z powrotem i trafiła w głowę biednego Hyacynta, zabijając go na miejscu. Boleść Apollona była bez granic. Napróżno tulił i całował biednego swego chłopca, nadaremnie za cenę życia jego chciał oddać nawet swą nieśmiertelność, — wszystko było napróżno. I ten, którego promienie dobroczynne goiły rany i powoływały wszystko do życia, nie mógł wrócić życia swemu ulubieńcowi. Ale jakże było postąpić? W jaki sposób zachować i uwiecznić pamięć tej drogiej dla niego istoty? I oto, mówi dalej legenda, promienie słońca zaczęły palić krew, sączącą się z rozbitej czaszki; zaczęły ją zgęszczać, a z tej krwi urósł prześliczny czerwono-liliowy kwiat, rozsiewający na daleką przestrzeń woń cudowną, — forma zaś tego kwiatu z jednej strony przypominała literę A, — inicjał Apollona, a z drugiej I, — inicjał Jacynta i w taki sposób zostały połączone na wieki imiona dwóch przyjaciół. Kwiat ten był naszym hyacynthem. Ponieważ on wyrósł ze krwi Hyacynta, więc kapłani świątyni Apollona delfickiego, przenieśli go z namaszczeniem do grobu, otaczającego świątynię. Od tego czasu, na pamiątkę przedwczesnej śmierci młodzieńca,

Spartańczycy urządzali co roku uroczystości, które trwały trzy dni i nazywały się „Hyacyntyje“. Z tej samej przyczyny zapewne, nieraz spotykamy w starożytnej Grecyi wizerunek Apollona i muz, ozdobiony tym kwiatem.

Takiem jest jedno greckie podanie, o pochodzeniu Hyacynta, lecz jest i drugie, które łączy imię Hyacynta z imieniem znakomitego bohatera wojny trojańskiej — Ajaksa. Ten szlachetny syn króla Telemaka, władcy leżącej niedaleko Attyki, wyspy Salaminy, był jak wiadomo, po Achillesie najodważniejszym i najznakomitszym ze wszystkich bohaterów wojny trojańskiej. On to zranił Hektora kamieniem, rzuconym z procy, i potężną swą prawicą zabił niemało wrogów przy okrętach i fortcach Troi. I oto, kiedy po śmierci Achillesa, on wiódł spór z Odysseuszem za posiadanie oręża Achillesa, to oręż ten był przysądzony Odysseuszowi.

Niesprawiedliwy ten sąd dotknął do żywego Ajaksa i tak boleśnie zranił jego miłość własną, że w rozpacz przebił siebie mieczem. I oto ze krwi tego bohatera, — głosi drugie podanie, — urósł kwiat, zwany hyacynthem, w którego formie legenda dopatrzyła się pierwszych liter imienia Ajaksa t. j. „Ai“, połączenie zaś tych dwóch liter oznaczało u Greków wykrzyknik, wyrażający ból i przerażenie.

Wogóle kwiat ten u Greków był symbolem smutku, boleści i śmierci, — i samo podanie o śmierci Hyacynta było tylko echem podań ludowych. Mniemanie to po-

twierdza pewna odpowiedź delfickiego proroka, a mianowicie, gdy w czasie panującego w Atenach głodu i dżumy zapytano go, co począć, by złemu zapobiedz, odpowiedział na to, że trzeba złożyć w ofierze na grobie cyklopa Heresta pięć córek przybysza Hyacinta. Z innej znowu strony istnieje potwierdzenie tego, że w niektórych razach hyacint był kwiatem radości, na przykład młode Greczynki ozdabiały nim swe włosy w dzień ślubu swych przyjaciółek.

Wiodąc ród swój z Azyi Mniejszej, hyacint cieszył się również miłością narodów Wschodu, szczególnie Persów, gdzie znakomity perski poeta, Firdusi, często porównywał włosy pięknych persyarek do zawiniętych z lekka zagieć kwiatu hyacinta i w jednym ze swych utworów mówi, co następuje:

„Jej usta woń milszą mają niż lekki wiaterek,
A włosy, do hyacintów podobne, cudniejsze są
[niż muszkat“.

Podobne do tego porównanie czyni drugi perski poeta, Hafiz. Zaś o kobietach z wyspy Chios złożyło się przysłowie, że one zawijają swe kędziory tak ładnie, jak hyacint zawoje swych cudnych kwiatów.

Z Azyi Mniejszej hyacint przywędrował do Europy i najpierw do Turcji. Kiedy i jak, nie jest dokładnie wiadomem, lecz w Konstantynopolu pojawił się on najwcześniej i wkrótce zyskał taką sympatię niewiast tureckich, że został stałym gościem w ogrodach haremowych. Starożytna angielska podróżniczka,

p. Dallaway, która zwiedzała Konstantynopol w początku XVII stulecia, opowiada, że w seralu samego sułtana był urządzony osobny prześliczny ogród, w którym nie miały prawa bytu inne kwiaty, oprócz hyacyntów. Kwiaty były posadzone na podłużnych klombach, obłożonych ślicznymi hollenderskimi dachówkami; cudną swą wonią i piękną barwą czarowały każdego, kto je oglądał. Na utrzymanie tych ogrodów były wydawane ogromne sumy pieniężne. W czasie kwitnięcia hyacyntów sułtan spędzał w tych ogrodach wszystkie swe wolne chwile, napawając się pięknością tych ślicznych kwiatów i upajając się ich silną wonią, w której tak bardzo rozmiłowani są ludzie Wschodu.

Oprócz zwykłych, tak zwanych hollenderskich hyacyntów, w ogrodach tych był hodowany blizki ich krewniak, hyacynt kiściasty (*Hyacinthus muscari*), noszący nazwę turecką (*Muchi — rumi*“), która we wschodnim języku kwiatów miała oznaczać: „Otrzymasz wszystko, co będę w stanie ci dać“.

Do zachodniej Europy hyacynt trafił w drugiej połowie XVII wieku, najpierw do Wiednia, albowiem to miasto miało naówczas najrozleglejsze stosunki ze Wschodem. Lecz w Wiedniu uprawiało go tylko niewielu zapalonych miłośników ogrodnictwa. Rozpowszechnił się zaś dopiero wówczas, gdy trafił do Hollandyi, a mianowicie do Haarlemu. Było to w 1734 r., t. j. prawie w sto lat po tulipanie, i to w tym czasie, kiedy zapał do hodowania tego ostatniego

począł już stygnąć, a zaczęła się odczuwać potrzeba innego kwiatu, któryby nadał inny kierunek tej namiętności. Takim właśnie kwiatem stał się hyacynt. O wytwornej formie, pięknej barwie, górując nad tulipanem swą cudną wonią, stał się on wkrótce ulubieńcem Hollendrów, którzy na wyhodowanie nowych jego gatunków i odmian poczęli wydawać sumy pieniężne nie mniej olbrzymie, jak na tulipany. Najwięcej się zaczęła ta namiętność rozpalać wówczas, kiedy udało się przypadkowo wyhodować pełny hyacynt.

Powiadają, że otrzymanie tej ciekawej odmiany amatorowie kwiatów zawdzięczać muszą atakowi podagry jednego ogrodnika z Haarlemu, Förelmowi.

Znany ten ogrodnik miał zwyczaj obrywać bezlitośnie każdy nieprawidłowo rozwinięty pączek, który na tym kwiecie się pojawił; podobny los spotkałby niezawodnie i ten nieforemny pączek, który się zjawił na jednym z najbardziej rzadkich i cennych gatunków hyacintu. Na szczęście jednak, Förelm zachorował w tym czasie na podagrę i był zmuszony przeleżeć więcej niż tydzień w łóżku i wskutek tej choroby nie mógł zwiedzać swego ogrodu. Tymczasem pączek się rozwinął i ku zdumieniu Förelma i wszystkich holenderskich ogrodników, okazało się, że był to nigdy dotąd nie widziany gatunek pełnego hyacintu.

Przypadek ten wystarczył by podniecić ogólną ciekawość — i zbudzić do życia uśpione namiętności.

I oto ruszyły tłumy ze wszystkich zakątków Hollan-

dyi, by patrzeć na to cudo ; przyjeżdżali również ogrodnicy z sąsiednich okolic. Wszyscy chcieli naocznie się przekonać o istnieniu takiej nadzwyczajnej odmiany i jeśli się uda, nabyć ją sobie, by mieć to, czego jeszcze inni nie mieli.

Gatunek ten Förelm ochrzcił imieniem „Maryi“, ale niestety, jak ten egzemplarz, tak również dwie następne odmiany tego kwiatu zginęły ; zachował się tylko czwarty, któremu on dał miano „*King of great Britain*“ (króla Wielkiej Brytanii). Od niego to wiodą swój ród wszystkie pełne hyacenty, które dotąd istnieją i gatunek ten jest uważany za praojca wszystkich pełnych hyacyntów.

Następnie, hollenderscy ogrodnicy zaczęli zwracać uwagę na to, by zwiększyć ilość kwiatów na łodydze kwiatowej, na rozmiar samego kwiatu, na to, by otrzymać nową barwę. e. t. c.

Najbardziej zaś wszystkie starania były skierowane ku otrzymaniu kwiatu o najjaskrawszej żółtej barwie, bo wśród niebieskich, malinowych i białych odcieni, któremi odznaczały się barwy tych kwiatów, kolor żółty był wielką rzadkością.

Tryumfowi w tym kierunku, t. j. otrzymaniu najbardziej rzadkiego gatunku, zwykle towarzyszyła uczta. Szczęśliwy ogrodnik spraszał do siebie wszystkich sąsiadów na chrzciny nowonarodzonego, chrzciny zaś zwykle kończyły się ucztą, która najbardziej wspaśniała była wówczas, kiedy nowy gatunek otrzymywał imię jakiejś znakomitości lub osoby panującej.

Ile mogły kosztować takie nowalie na owe czasy trudno nawet uwierzyć, szczególnie, jeżeli się weźmie pod uwagę wysoką stosunkowo wartość pieniędzy i taniość wszelkich produktów. Zapłacić 500 — 1.000 guldenów za cebulkę nowego gatunku hyacynta uważano za rzecz zupełnie zwykłą, — lecz bywały cebulki, jak na przykład jaskrawo żółty „*Ofir*“, za którą płacono po 7650 guld., albo „*Admiral Lijken*“, która kosztowała 20.000 guld. Działo się to w tym czasie, kiedy wóz siana kosztował prawie kilka centów, a za jednego centa można było przeżyć dzień cały.

Od tego czasu minęło więcej, niż dwa stulecia, i chociaż holendrzy amatorowie nie płacą teraz takich sum szalonych za nowe gatunki, lecz dotąd jeszcze hyacynt został ulubionym ich kwiatem. I dotąd jeszcze znane firmy urządzają rok rocznie tak zwane „paradne pola“, t. j. całe ogrody hyacyntów; całe tłumy przybywają zewsząd, by patrzeć i zachwycać się temi ślicznymi kwiatami.

Na tego rodzaju wystawach każdy ogrodnik stara się wykazać doskonałość swej sztuki ogrodniczej i zaćmić współzawodnika, lub zainteresować amatora jakim nowym i rzadkim okazem, by za to otrzymać premium, naznaczone przez bogatych właścicieli ogrodów.

Rzecz naturalna, że gra w tem rolę nie sama tylko ambicya, lecz cel o wiele ważniejszy, a mianowicie chęć zareklamowania siebie przed holenderską publicznością, a także wykazanie przed licznymi obcemi

klientami doskonałości swego towaru i przez to nabycie nowego kupca. Zawdzięczając tego rodzaju wystawom wiele nieznacznych firm wysunęło się naprzód i stało się teraz pierwszorzędnymi. Zawdzięczając im, co rok zwiększała się ilość nowych gatunków. Liczba gatunków, która sięgała dawniej tylko 40-tu, obecnie dochodzi 2.000, co roku zaś liczba ta zwiększa się o kilka odmian.

Z Holandyi kultura hyacyntów przeszła najprzód do Prus, a następnie do Francji. W Prusach uprawa tych kwiatów zaczęła się przeważnie rozwijać wkrótce po osiedleniu się Hugenotów, którzy zostali wygnani z Francji edyktem w Nantes. Oni to zaszczepili w Niemczech, a szczególnie w Berlinie, zamiłowanie do pięknych roślin, pięknego strzyżenia drzew i pięknego rozplanowania ogrodów. Ale kultura ta dosięgła najwyższego szczytu rozwoju dopiero w połowie XVIII, stulecia, kiedy Dawid Busze (potomek któregoś z Hugenotów) urządził w Berlinie pierwszą wystawę hyacyntów. Kwiaty jego tak zachwyciły swą pięknnością i cudną wonią wszystkich berlińskich amatorów ogrodnictwa i wogóle berlińską publiczność, że wielu Berlińczyków zajęło się uprawą hyacyntowni z mniejszym zapałem, jak niegdyś w Holandyi. Zapalili się do nich nawet tacy poważni ludzie, jak przydworni kapelani, Reingard i Szreder, którzy nie tylko uprawiali w ogromnej ilości te kwiaty, ale stworzyli też mnóstwo ich odmian.

W kilka lat później powstała w Berlinie przy Ko-

mendorskiej ulicy obok hyacyntowych plantacyi p. Busze, sławna berlińska kawiarnia, w której się zbierała arystokracja i tuzy Berlina, żeby wypić kawę, i podziwiać hyacenty. To odwiedzanie kawiarni tak weszło w modę, że u Busze bywał nieraz i zachwycał się jego kwiatami sam król Fryderyk Wilhelm III-ci.

Zapał i przejęcie się hyacyntami p. Busze, zrobiło mu dużo konkurentów wśród drugih ogrodników i w 1830 roku, niedaleko Szlezwigu, całe pola były pokryte hyacyntami. Dość powiedzieć, że na tych polach co roku sadzono około 5.000.000 hyacyntowych cebulek.

Żeby podziwiać te pola hyacyntowe, co roku zjeżdżali się wszyscy mieszkańcy Berlina: konno i pieszo, bogaci i biedni. Było to coś w rodzaju manii, — jakiś rodzaj pielgrzymki. Tysiące ludzi wystawało około pól tych całemi godzinami, upajało się pięknnością tych kwiatów i cudną ich wonią. Nie być na polach hyacyntowych i nie widzieć ich, uważano za rzecz nie do darowania.

Za bliższe oglądanie kwiatów, ogrodnicy brali duże pieniądze, jak również niemałe mieli sumy ze sprzedaży bukietów ze ściętych hyacyntów, ponieważ każdy mniej więcej dostatni człowiek uważał za swój obowiązek posiadać podobne bukiety.

Lecz wszystko mija na świecie. I te sławne, w początku 40-go roku, wystawy i pola hyacyntów, za-

częły powoli powszednie i coraz mniej pociągać widzów, a w dziesięć lat później zupełnie prawie istnieć przestały. Obecnie o tych polach olbrzymich zostały tylko wspomnienia, (cała ta przestrzeń pocięta jest siecią dróg kolei żelaznej) i chociaż w południowej stronie Berlina gdzieniegdzie jeszcze zajmują się kulturą hyacyntów, ale już się nie wspomina o milionach cebulek, sadzonych dawniej. Teraz zaledwie kilka morgów zasadza się temi kwiatami, a zysk z tych plantacyi dochodzi najwyżej od 75 do 100.000 rubli.

We Francyi hyacyny były też bardzo lubiane, lecz nie sprawiały tak wielkiej sensacyi, jak w Hollandyi i Prusach. Tutaj zwrócono na nie wówczas tylko szczególną uwagę, kiedy uczeni zaczęli hodować je w naczyniach z wodą, bez doniczki i ziemi, kiedy w 1787 roku markiz Gonfler, na publicznem zebraniu francuskiego towarzystwa ogrodniczego, zapoznał Paryżan z oryginalnem doświadczeniem kultury hyacyntów w wodzie, z opuszczoną łodygą do wody, a z korzeniem wzniesionym do góry.

Widok hyacinta, wypuszczającego łodygi i wydającego kwiaty swe w wodzie, zadziwił wszystkich. Wiadomość o tym nowym sposobie hodowania, szybko obiegła cały Paryż, a następnie całą Francję, i każdy chciał powtórzyć swe doświadczenie. Szczególnie dziwiło to wszystkich, że przy takim rozwijaniu się w wodzie, liście zachowywały swą wielkość, formę i zabarwienie, a kwiaty, chociaż wydawały się trochę bledsze, były jednak zupełnie rozwinięte.

Od tego czasu kultura hyacyntów we Francji zaczęła coraz bardziej wchodzić w modę. Szczególnie wsławiła się Francja kulturą malutkich wczesnych hyacyntów, które zaczęły nosić nazwę rzymskich („*Romaine*“).

Lecz śliczny ten kwiatek miał we Francji przez pewien czas bardzo smutne zastosowanie: posługiwano się nim dla odurzenia, aż do zatrucia, tych osób, których dla jakichś przyczyn pozbyć się chciano. Szczególniej praktykowało się to z kobietami i to przeważnie w XVIII stuleciu. Zwykle przeznaczano na ten cel bukiety, albo kosz z hyacyntami skrapiany czemś jadowitem, a zapach trucizny zagłuszoną była wonią tych kwiatów; lub też kwiaty wstawiano w takiej ilości do sypialni, albo buduaru, że silny ich zapach sprawiał u ludzi nerwowych straszny zawrót głowy i był nawet przyczyną śmierci. O ile to ostatnie jest prawdziwe, trudno to sprawdzić, ale w memoarach p. Sam'a, który żył za czasów Napoleona I-go przy francuskim dworze, opisane jest zdarzenie, iż pewna arystokratka, która z rachuby wyszła za bogatego człowieka, pozbawiła go potem życia, stawiając do jego sypialni codziennie ogromną ilość kwitnących hyacyntów. Analogiczne zdarzenie jest opisane przez Freiligrata w jego poemacie „Zemsta kwiatów“ (Die Blumenrache). I wogóle trzeba zaznaczyć, że nie mało jest osób, które nie znoszą odurzającego zapachu tego kwiatu, bo doznają zawrotu głowy a na-

wet mdleją. Śród nowszych pisarzy spotykamy wzmiankę o hyacynie jeszcze u Edgarda Poe, w jego opowiadaniu „Majętność Arnheim“, gdzie on opisuje całe pola hyacyntów.





TULIPAN.

(*Tulipa Gesneriana*).

CHOCIAŻ TULIPAN ŚWIETNE posiada barwy i formę oryginalną, niema on jednak — rzecz dziwna, — żadnej legendy ani w greckiej, ani w rzymskiej mitologii. Jest to tembardziej zadziwiającem, że tulipany rosną dziko

w wielkiej ilości na świętej górze Idzie w Grecyi, gdzie mogli z łatwością je zauważyć jak sami mieszkańcy, tak i twórcy podań i legend.

Pierwszą wzmiankę o tym pięknym kwiecie spotykamy w Persyi. W tym kraju podań i pieśni o róży, musiano zwrócić uwagę na ten kwiat oryginalny, któremu potem nadano imię „Dul basz“ zawój turecki, który następnie zaczęto nazywać „turbanem“.

Tulipan był opiewany przez wielu poetów perskich, a najbardziej przez znakomitego Hafiza, który mówił,

że z dziewiczą jego pięknością nie może się równać nawet cyprys subtelny, ani nawet sama róża.

Lecz większą jeszcze miłością cieszył się tulipan na Wschodzie u Turków, których liczne żony sadziły je w wielkiej ilości w seralach, bo może w wielu z nich budziły one wspomnienie ich lat dziecinnych, Ojczyzny i utraconej swobody. I oto w seralach rok rocznie było wielkie, wspaniałe, czarowne, „święto tulipanów“, a sułtan był dumny i cieszył się niem niewymownie, bo uważał je jako hołd sobie należny i dowód przywiązania swego haremu. W dzień tego święta cały seral wyglądał poprostu czarownie. Wszystkie jego ogrody, wszystkie salony były ozdobione ogromną ilością prześlicznych różnobarwnych latarenek w formie tulipanów i gdy te latarnie zapalono wieczorem, to wszystko zdawało się być zalane całą powodzią światła różnobarwnego, które lśniło się miliardem płomyków, jak w bajce z tysiąca i jednej nocy. Wszystkie dróżki w ogrodzie zasłane były bogatymi kobiercami. Całe fontanny drogich perfum biły do góry, rozlewając naokół woń cudowną, a na wzniesieniu u góry na miejscu widocznem, były ustawione w pięknej harmonii barw i odcieni, najpiękniejsze i najrzadsze okazy tulipanów w pełnym rozkwicie. W rozmaitych końcach ogrodu mieściły się niewidzialne orkiestry, grające smutne lub wesołe melodie. Gdy już wszystko było gotowe, bogato ustrojone ukochane żony sułtana wiodły go w uroczystym pochodzie przez ozdobione, jak w bajce, ogrody, pokazując mu najpiękniej-

sze okazy swych tulipanów, objaśniając czułe imiona i nazwy nadane tym kwiatom na cześć jego, i wogóle starając się zwrócić jego uwagę na te kwiaty i tem samem zmusić go je polubić. Potem następuje uczta bogata, która się składa ze wschodnich słodyczy i napojów, a także czarujących tańców i śpiewu, — poczem sułtan opuszcza seral, zachwycony i upojony poezją i pięknością święta tulipanów, które go na kilka godzin przenosi w krainę baśni i cudów.

Taką to aureolą poezyi i marzeń otaczają tulipan mieszkańcy Wschodu. W innym zupełnie świetle widzimy go w zachodniej Europie.

Tutaj pojawił się tulipan dopiero w 1559 r. najpierw w Augsburgu, dokąd pierwsze jego cebulki były przysłane przez niemieckiego posła Busbeka, który się znajdował przy tureckim dworze. Busbek widział te kwiaty w pełnym rozkwicie w zimie w czasie swej podróży do Syryi, na granicy Arabii północnej. W tym samym roku pojawia się tulipan pierwszy raz w Augsburgu u senatora Herwardta, a w sześć lat później kwiaty te w ogromnej ilości ozdabiały ogrody znakomitych średniowiecznych bogaczy Fuggerów, gdzie ujrzał te kwiaty i opisał, jako rzadkość nadzwyczajną, sławny Konrad Hessner. Stąd tulipan powędrował po całej Europie. W 1574 r. widzimy go już w Wiedniu u znanego uczonego Kluzjusza, który tak się zainteresował tym kwiatem, że zaczął z zapalem zbierać wszystkie znane w tym czasie odmiany. Za jego przykładem poszło wielu bogatych wiedeńskich

ogrodników, którzy zaczęli wykupywać od Turcyi za ogromne sumy cebulki tulipanów i ozdabiali nimi swe ogrody.

Stopniowo zaczęło się budzić zainteresowanie do tulipanu i w Niemczech wśród osób ukoronowanych. Szczególne zamiłowanie do tego kwiatu miał wielki kurfirst brandeburski Fryderyk Wilhelm, który zebrał w początku XVIII stulecia ogromną kolekcję, składającą się z 216 gatunków i kazał swemu nadwornemu lekarzowi Elszelcowi ułożyć album, zawierające najbardziej oryginalne i cenne okazy. To rzadkie album, zawierające 71 rysunków, ze wstępem napisanym po łacinie, było ukończone w 1661 r. i przechowuje się obecnie w bibliotece w Berlinie. Drugim miłośnikiem tulipanów był margrabia Hadern Durlach, który w 1740 r. miał kolekcję, składającą się z 360 gatunków, a także hrabia Pappenheim, który wedle słów współczesnych posiadał 500 odmian tulipanów. Dodać przytem należy, że wielu tulipanom nadawano imiona osób ukoronowanych, lub współczesnych wybitnych osobistości.

Lecz nigdzie kult dla tulipanów nie dosięgnął takiej wysokości, jak w Holandyi. Spokojni z natury, wyrachowani i wogóle bardzo umiarkowani Holendrzy nagle zapalili się do tulipanu i to do takiego stopnia, że nareszcie przeszło to w manię, która posiada nawet w historii charakterystyczną nazwę „tulipomanii“. W Holandyi Tulipan pojawił się dopiero w 1634 r. i z początku był uprawiany w celach handlowych.

Praktyczni Holendrzy, widząc jakim powodzeniem cieszył się tulipan w Niemczech i u innych narodów, zaczęli go uprawiać, i handel cebulkami okazał się bardzo korzystnym i to do takiego stopnia, że handlem tym zajmowali się nie tylko ogrodnicy, lecz prawie wszyscy mieszkańcy. A stojący na czele handlu kommersanci cieszyli się niepomieranie, że znalazł się produkt tak znakomicie wzbogacający ich Ojczyznę, i starali się wszelkimi siłami ten handel popierać, tembardziej, że grunt Hollandyi okazał się bardzo podatnym dla hodowli tulipanów. Z początku handel ten szedł tak pomyślnie, że przedsiębiorczy handlarze holenderscy sprowadzali cebulki tulipanów nawet z Belgii, gdzie w miasteczku Lill'u bardzo gorliwie zajmowali się plantacją tulipanów mnisi w klasztornych ogrodach. Wkrótce doszło do tego, że na tulipanach zaczęła się gra jak na giełdzie. O wysokości tej gry można sądzić z tego, że w tym czasie kursowało więcej niż 10 milionów kwiatów tulipanowych.

W takim rodzaju handlu mogli brać udział wszyscy i każdy mógł się wzbogacić, nie bowiem nie mogło być łatwiejszego, jak nabyć kilka cebulek tulipanowych, posadzić je do doniczek, a po otrzymaniu liści, sprzedawać jako okaz bardzo rzadki i cenny. Bardzo też zarabiali w tym czasie handlarze naczyń glinianych i drewnianych, bo nie tylko zawodowi ogrodnicy i prawdziwi amatorowie, lecz każdy, biedny i bogaty, zajmował się kulturą tulipanów, byle tylko znalazło się trochę miejsca dla ich plantacyi.

Na takie handle tulipanami zbierały się tysiące ludzi. I trzeba się było dziwić, z jak różnolitych pierwiastków składały się te tłumy. Byli to milionerzy hrabiowie i baronowie, damy wytworne, kupcy i rzemieślnicy, włościanie i szwaczki, rybacy, rybaczki, rozmaici wyrobnicy, a nawet dzieci. Nastrój gorączkowy ogarniał wszystkie warstwy społeczne. Kto nie posiadał pieniędzy, ten niósł swoje klejnoty, suknie, sprzęty domowe, zastawiano swe mienie, domy, ziemię etc. by móc nabyć gorąco upragnione cebulki tulipanów, a następnie odsprzedać je za wyższą jeszcze cenę. Za jedną naprzykład cebulkę z gatunku „*Semper Augustus*“ było zapłacone 13.000 guldenów, a za „*Admirała Enkwicena*“ 6.000 florenów itd.

Z historyi tej zadziwiającej gry giełdowej na tulipanach, przechowało się kilka ciekawych dokumentów, z których jeden głosi, że za cebulkę gatunku „*Vice roi*“ było zapłacone: 24 miary pszenicy, 48 miar żyta, 4 tłuste woły, 8 świń, 12 owiec, 2 beczki wina, 2 beczki masła, 4 pudy sera, pęk odzieży i jeden srebrny kubek.

Oprócz takich specjalnych giełd, rolę małych giełd grały rozmaite kawiarnie, oberże etc, — wszyscy amatorowie hazardownej gry w karty, wkości, amatorowie silnych wrażeń, zamienili się teraz w namiętnych graczy na cebulki tulipanów. Po szczęśliwej grze następował traktament i libacye. Nakoniec, by więcej jeszcze rozniecić namiętność do tej gry, — miasta niektóre, jak naprzykład Haarlem, Lejden

i t. d. naznaczały olbrzymie, sięgające kilkunastu tysięcy guldenów premie, za wyhodowanie tulipana pewnej wielkości i barwy. W razie pomyślnego wyniku, szczęśliwy posiadacz rzadkiego okazu otrzymywał nagrodę. Wręczeniu tej ostatniej towarzyszyły bogate festyny, na które zjeżdżały się całe tłumy z najodleglejszych krańców państwa, i to w takiej ilości, jaka chyba się zbierała przy wjeździe do stolicy, albo koronacji jakiego króla.

Naprzykład, przechowało się jeszcze opisanie festynu, urządnego na cześć szczęśliwego hodowcy czarnego tulipanu, który za to miał otrzymać konkursową nagrodę:

„Oto, 15 maja 1673 r., czytamy w tym opisie, wczesnym rankiem w Haarlemie zebrały się na to święto wszystkie zakłady ogrodnicze, wszyscy ogrodnicy i prawie wszyscy mieszkańcy miasta. Pogoda była cudowna. Słońce jaśniało, jak w lipcu. Przy uroczystych dźwiękach muzyki, pochód ruszył w kierunku placu ratuszowego. Na przodzie kroczył prezydent towarzystwa ogrodniczego miasta Haarlemu, van Sistens, ubrany w kostyum w czarno-fioletowego aksamitu i jedwabiu, naśladującego kolor tulipanu i niósł ogromny bukiet; za nim szli członkowie miasta i szlachta. Tłum zaś stał zwartym szeregiem po obu stronach ulicy. Wśrodku procesji na wspaniałych noszach, pokrytych białym aksamitem, obramowanym złotym szlakiem, czterech honorowych członków ogrodnictwa niosło czczony w tym dniu uroczystym tu-

lipan, umieszczony w drogocennej doniczce. Tuż za kwiatem szedł dumnie ogrodnik, któremu się poszczęściło wyhodować ten kwiat prześliczny, po prawej ręce ogrodnika niesiono ogromny worek skórzany, zawierający nagrodę konkursową miasta w kwocie 100.000 guldenów w złocie, za wyhodowanie tego kwiatu.

Zbliżywszy się do placu ratuszowego, gdzie była urządzona wspaniała estrada, ozdobiona wieńcami i girlandami z kwiatów, egzotycznymi roślinami i napisami, wychwalającymi twórcę nowego kwiatu, pochód się zatrzymał. Muzyka zagrała hymn uroczysty i dwanaście młodych, całych w bieli dziewic z Haarlemu, przeniosło tulipan na podwyższenie, wzniesione obok tronu prezesa miasta. W tej chwili rozległy się głośnie okrzyki tłumu, które dały znać o przybyciu księcia Oranii. Wstąpiwszy na estradę w towarzystwie świetnego orszaku, książę Oranii miał mowę do obecnych, w której zaznaczał, jak wielką wagę miało dla ogrodnictwa wyhodowanie okazu tulipana tak oryginalnej i rzadkiej barwy dla kwiatów, jak czarna, następnie wręczał szczęśliwemu ogrodnikowi zwitek pergaminu, w którym skreślone było jego imię i jego zasługa. Wraz z pergaminem ofiarował mu sumę pieniężną, przeznaczoną mu jako nagroda. Zachwyt obecnych nie miał granic, szczęśliwca obnoszono tryumfalnie po wszystkich ulicach. Festyn zwykle kończył się ucztą, którą laureat urządzał dla swych przyjaciół i dla ogrodników Haarlem'u".

Lecz wśród ludzi opanowanych gorączką wzbogacenia się, nie mało spotykało się osób, szczerych i zapalonych miłośników i amatorów rzadkiej kolekcji tulipanów. Dla takiego amatora posiadanie jedynego okazu na całym świecie jakiejś odmiany tulipanu, było szczytem szczęścia i on gotów był wszystko na to poświęcić. Opowiadają naprzykład, że pewien taki gorący miłośnik pięknych tulipanów, nabył za ogromną sumę jedyny, wedle słów sprzedającego, egzemplarz takiego tulipana. Lecz gdy do domu powrócił, dowiedział się ku wielkiemu swemu zmartwieniu, że drugi podobny egzemplarz znajduje się w Haarlemie. Nie posiadając się ze zmartwienia, jedzie natychmiast do Haarlemu, nabywa za szaloną sumę ten drugi egzemplarz, rzuca go o ziemię i deptając nogami, woła z tryumfem: „no, teraz mój tulipan jest jedynym na świecie“. Ale obok scen podobnych, bywały i komiczne. I tak razu pewnego, jeden młody majtek, widząc w sklepie spożywczym leżącą cebulkę tulipanu obok innych wiktuałów, wyobraził sobie, że to jest cebulka jadalna, wsunął ją do kieszeni i poszedł. Tymczasem właściciel sklepu spostrzegł brak cebulki, a domyśliwszy się, że ją musiał zabrać młody chłopak, który był u niego przed chwilą, popędził w ślad za nim i znalazł go rozcinającego cebulkę, by się nią pożywić, a nawet już próbującego jej smaku. Daremnie wystraszony majtek upewniał kupca, że cebulka wcale nie jest smaczna i że on gotów mu ją oddać natychmiast, kupiec był nieublagany. Wezwano

policyę i biedny majtek był pod sąd oddany i osadzony w więzieniu na sześć miesięcy. Biedak nie przypuszczał, że ta cebulka, którą się chciał pożywić, była cebulką jednego bardzo rzadkiego gatunku tulipanu. Innym znowu razem, pewien młody człowiek, rozmawiając, zaczął zupełnie bezwiednie obierać z cebulki tulipanu, którą trzymał w ręku, jedną łuskę po drugiej, aż zupełnie ją oczyścił. Lecz jakież było jego przerażenie, gdy się dowiedział, że to była cebulka sławnego w tym czasie gatunku Van-Ejk. Pomimo prośb, przeprosin i zapewnień, że nie uczynił tego rozmyślnie, lecz tylko przez roztargnienie, nieubłagany właściciel cebulki pozwał go do sądu, który skazał młodzieńca na zapłacenie 4.000 guldenów.

Słowem, namiętność do gry giełdowej na tulipaniach rozwinęła się w tak silnym stopniu, że rząd hollenderski był zmuszony położyć kres tej niebezpiecznej, demoralizującej spekulacyi. I oto rada, zebrana w Haarlemie 27 kwietnia 1637 r., orzekła, że wszelkie spekulacje, urządzone na sprzedaży tulipanów, są ogromnie szkodliwe i odtąd prawo miało surowo karać tych, co je przekraczali. Karę jakie się posypały na opornych, znacznie ostudziły zapal wielu amatorów, i namiętność do tej gry hazardowej i ceny na cebulki tulipanów poczęły szybko spadać, tak że wielu ostrożnych wycofało czempredzej swoje kapitały, ale jednak dużo zapalonych graczy zostało z niczem, bo tylko z cebulkami tulipanów, które straciły wszelką swą wartość.

W taki to sposób zakończyła się ta bezprzykładna w kronikach ogrodnictwa, gra hazardowna, która wielu przywiodła do nędzy, a wzbogaciła tylko zręcznych aferzystów.

Chociaż od tego czasu tulipan stracił wszelką cenę i znaczenie dla spekulantów i amatorów łatwego zarobku, niemniej przeto został on przedmiotem pochwał i nagany ze strony poetów i pisarzy. Odgrywał również niemalą rolę w estetyce. Wszechwładna moda wymagała wszędzie i na wszystkim wizerunku cudnego tulipanu. Rysunki tulipanów pokrywały wszystkie materye i były tkane na cennych brabantkich koronkach, pojawiały się też na malowidłach współczesnych malarzy holenderskich. Uformowały się nawet całe szkoły rysunku kwiatów, wśród których najważniejszą rolę odgrywał naturalnie tulipan. Wspomnienie o tym kulcie dla tulipanu doszło aż do naszych czasów, bo widzimy go na obrazach wybitnych malarzy, jako to: Van-Giuzium'a, Ferendal'a, Chawermanisa, De-Geena i innych.

Co się tyczy miejsca, jakie tulipan zajmował w poezyi, to wiemy, że francuski poeta w XVIII wieku, Boissolin, napisał o nim cały poemat pod tytułem „La métamorphose de la Tulipe“, w którym opiewa, naśladując Hafiza, cudną, czarującą dziewczę, panią swego serca. Zaś Aleksander Dumas ojciec, napisał poetyczny poemat „La tulipe noire“, w którym opisuje znaczenie, jakie miał ten kwiat w Hollandyi.

Niemieccy poeci nazywają tulipan „kwiatem bez

duszy“, kwiatem zewnętrznej tylko piękności, emblematem próżnej, goniącej tylko za strojami kobiety. Aufsprung mówi o dumnej piękności:

„Der Tulpe gleich, bist du die Wollust des Gesichts,
„Un gleich der Tulpe bist du weiter nichts“.

(„Jak tulipan cudną masz twarz,
Lecz jak tulipan tyś próżna“.)

Kleist w swym wierszu „Wiosna“ traktuje go trochę przyjaźniej, lecz Göthe każe mówić tulipanowi „Huldige nie dem blinden Wahne“. (Nie czcij nigdy pustej mary). Wogóle Niemcy zawsze dość chłodno traktowali tulipan i nawet drwiąc, nazwali „Tulpe“ nieforemny kufel na piwo; pod tem mianem figurował on na wieczornych zebraniach u Bismarka.

Na zakończenie należy powiedzieć, że jeżeli o pysznym wschodnim tulipanie niema żadnej legendy, to o naszym skromnym, żółtym europejskim jego krewniakowi jest następujące ciekawe podanie: Mówią, że w złocistym, mocno skreconym pączku tego kwiatka zawierało się niegdyś szczęście ludzkie i że nikt nigdy je stamtąd nie mógł wydostać, chociaż wszyscy starali się o to wszelkimi sposobami: jedni chcieli je zdobyć siłą, drudzy — chytryścią, inni znowu — zaklęciem. I szli ku temu kwiatu, głosi legenda, — starzy i młodzi, zdrowi i nieszczęśliwi kalecy, szli królowie ze świetnym orszakiem i żebracy o kulach, szli bogaci

hultaje i marnotrawnicy i biedni wyrobnicy z dłonią spracowaną. Tłumy przychodziły, odchodziły, — znowu wracały... lecz zawsze nadaremnie — szczęście nie szło im do rąk.

Lecz oto razu pewnego, po łące, gdzie rósł ten kwiatek, przechodziła jedna biedna kobieta. Błada, znużona, szła ona, prowadząc za rękę swego małego chłopczyka, gdy nagle ujrzała z daleka pączek złocisty, o którym tak dużo słyszała. Ona nie miała najmniejszego zamiaru próbować go rozkryć, ona wiedziała, że to jest zupełnie niemożliwem, lecz chciała spojrzeć tylko na kwiatek, który zawierał w sobie szczęście, to szczęście, którego cienia nawet ona w swem życiu całem nie widziała, to szczęście, do którego w ciężkich chwilach swego życia nieraz wzdychała. I oto z bijącym sercem, powoli zaczęła ku niemu się zbliżać... gdy w tem jej chłopczyzna, widząc pączek złocisty, z rąk się jej wyrwał i z głośnym śmiechem, machając rączkami, ku kwiatu się rzucił. I — o cud! o, dziwo! w tej chwili pączek się rozchylił sam przez się...

To, czego zdziałać nie mogła ani siła, ani chytryść, ni zaklęcia, to uczynił wesoły śmiech dziecka, bo rzeczywiście w życiu naszym całem tylko dzieciństwo miewa chwile szczęścia prawdziwego.

NARCYZ.

(*Narcissus poeticus*).



ARCYZ jest też jednym z najulubieńszych naszych kwiatów. Jego zgrabne, białe kwiaty, które mają w środku podwójne, złocisto-żółte i pąsowe obramowanie, i kołyszą się na lekkiej jak ze trzciny łodyżce, są bardzo wy-

tworne. Włożone w klapę surduta, wyglądają jak order i dlatego w Paryżu nosi go wielu amatorów tych ozdób. Posiada również miłą woń, która trochę hyacynt przypomina i która przez wielu jest lubiana.

Naukowa jego nazwa jest „*Narcissus poeticus*“. Pierwsza połowa tej nazwy pochodzi od greckiego słowa „*narcao*“ — odurzać, bo w istocie zapach jego może sprawić ból głowy u ludzi nerwowych. Druga połowa — „*poeticus*“ — poetyczny, dana mu jest dlatego, że z wyjątkiem róży, najbardziej i najczęściej był opiewanym przez poetów wszystkich czasów i kra-

jów. Sam Mahomet mówi o nim : „Kto ma dwa bochenki chleba, niech jeden z nich sprzeda, żeby kupić kwiatek narcyzu, bo jak chleb jest pokarmem dla ciała, tak narcyz — pokarmem dla duszy“. A perski król, Cyrus, nazwał go : „Uosobieniem piękna i życia osłodą nieśmiertelną“.

Zachwycił się nim też Szekspir, opisując go precyzyjnie w swej tragedii „Burza“. Edgard Po opisał go, jako jeden z kwiatów tej „doliny kwiecistej“, gdzie niegdyś zaznał rajskiego szczęścia, a u Szelly’ego w jego „Mimozie“ znajdujemy następujący ustęp : „Miłością pałają tulipany i goryczka, precyzyjny zaś narcyz, wiecznie zakochany i wpatrzony w siebie, rozkwita nad ruczajem...“ Przyczyną tego ogólnego zachwyty jest po części piękność i subtelność samego kwiatu, lecz prawdopodobnie spotęgowała go jeszcze legenda, która o nim powstała w starożytności i która uczyniła z kwiatu imię własne, bo jeżeli kogoś nazywają „narcyzem“, to chcą przez to powiedzieć, że ten ktoś jest w sobie zakochany. O pochodzeniu tego mytu, Grecy opowiadają, co następuje :

Matka wszystkich bogów, królowa nieba, Junona, miała ulubioną powiernicę, która się zwała „Echo“. Bogini zwierzała się jej ze wszystkich swych serdecznych tajemnic, dzieliła się z nią wszystkimi wrażeniami, — słowem, była to jej najbliższa i najwierniejsza przyjaciółka. Lecz Echo okazała się potem obłudną i wiarołomną, bo sprzyjała Jowiszowi i starała się ukrywać wszelkie jego zdrady, względem żony

popelnione. Gdy Jowisz szedł do towarzyszek Echo, do nimf, które w górach mieszkaly, to ona tak umiała zabawić wesołą rozmową zazdrosną Junonę, że ta ostatnia ani się spostrzegła, jak szybko mijały godziny. Lecz razu pewnego Junona spostrzegła w końcu jej obłudę i wpadła w gniew tak szalony, że natychmiast pozbawiła biedną Echo języka. „Precz z moich oczu, wstrętna obłudnico! krzyknęła na nią rozgniewana matka bogów, — „niech ci będzie odjętym teraz język, którym potrafiłaś mię oczarować! zostawię ci tylko jedną łaskę: będziesz mogła powtarzać tylko ostatnią sylabę tego słowa, które usłyszysz“. I oto smutna nimfa oddaliła się do lasu, gdzie żyje i teraz i powtarza ostatnią sylabę słowa, albo ostatnie słowo zdania, które do niej wołamy. Lecz żyjąc samotnie w lesie, nudziła się strasznie i wszelkimi sposobami starała się znaleźć kogo, ktoby ją pokochał. Pewnego razu przechodził tym lasem śliczny młodzieniec imieniem Narcyz, syn boga rzek, Cefisa. Temu młodzieńcowi, było przepowiedziane, że jeżeli nigdy nie pozna siebie, to dożyje późnej starości. W owych czasach nie trudnem wcale było to do spełnienia, bo nie było zwierciadeł i ujrzeć się tylko można było w spokojnej wodzie. Ujrawszy Narcyza, Echo zakochała się w nim do szaleństwa i wszelkimi sposobami starała się go uwieść. Lecz Narcyz obojętnie przyjmował jej pieśszoty. Wtenczas Echo prosiła bogów, by się nad nią ulitowali i ukarali Narcyza za jego brak serca. Bogowie wysłuchali jej prośby i natychmiast karę mu

wymierzyli. Pewnego razu, w dzień upalny, Narcyz poczuł silne pragnienie i zatrzymawszy się u brzegu źródła, którego powierzchnia była jasna i spokojna, jak lustro, nachylił się, chcąc się napić. I oto w tej chwili, pierwszy raz w swym życiu, ujrzał odbicie swej twarzy i tak się zachwycił swą pięknnością, że zakochał się w sobie odrazu i nie mogąc ani na chwilę oderwać oczu od siebie, począł marnieć i więdnąć, jak kwiatek. Jednak miłosierni bogowie nie pozwolili mu zginąć zupełnie i zamienili go w prześliczny kwiatek, który miły posiada aromat i którego korona wciąż się w dół chyli, jakby chcąc raz jeszcze przypatrzeć się sobie w przeźroczej wód toni...

Owidyusz, który opisał tę legendę w swych ślicznych „Metamorfozach“, mówi:

„Adstupet ipse sibi, vultuque immotus eodem
Haeret, ut e pario formatum marmore signum.

— — — — —

Cuntaque miratur, quibus est mirabilis“.

(On sam się sobą zachwyca, skamieniały od zdumienia. Na wieki zastygły, jak cudny posąg z paroskiego marmuru, on nie może się napatrzeć na wszystko, co pięknem w sobie znajduje).

Podług innego podania, Narcyz miał siostrę bliźniaczkę, która tak do niego była podobną, że nie można było ich odróżnić, tembardziej że jednako z nim

była ubrana i tak samo namiętnie jak on lowy lubiła.

Siostrę tę Narcyz kochał do szaleństwa, lecz nagle ona mu umarła. I oto zostawszy samotnym, żeby choć trochę żal swój uśmierzyć, począł chodzić do źródła i patrzeć na swe odbicie, które mu tak żywo przypominało rysy ukochanej zmarłej siostrzyczki. Lecz im bardziej się w to odbicie wpatrywał, tem mocniej czuł swą stratę, aż wreszcie w chwili głębokiej rozpacz, nie mógł już więcej nad sobą zapanować i rzucił się do wody, jakby w objęcia nad wyraz drogiej mu istoty, woda zaś z cichym szelestem nad głową jego znowu się zawarła... A w tem miejscu, z którego do wody się rzucił, wyrósł prześliczny kwiat biały, który jako stygmat krwawiącego serca, ma w środku ogniszcze-krwistą obwódkę.

Niemiecki poeta, Izydor Orientalis, patrząc na narcyz woła :

„Diese schlanke Gestalt, das holde Köpfchen es
[biegt sich
In sich gewendet und schön immer, als sucht es
[den Quell“.

(Ta postać smukła, ta cudna główka chyli się ku sobie, jaśniejąc wieczną pięknoscią i jakby źródła szukając...)

Kwiat ten był u starożytnych Greków kwiatem umarłych, kwiatem zaginionych i w postaci takiego

emblematu figuruje nieraz w starożytnej mitologii.

I tak na przykład, splatały sobie z niego wianki Furje, boginie zemsty i zadośćuczynienia, zabawiała się niemi Prozepina, w tym czasie kiedy była porwaną przez Plutona, rwała go Europa, w tym czasie kiedy Jowisz, zamieniwszy się w białego woła, zbliżył się do niej i porwał ją na wyspę Kretę i t. d.

O egzystowaniu narcyza u starożytnych Rzymian mówi się tylko u Plinjusza, który opisuje trzy jego odmiany, szczególnie zaś żółty, którego ojczyznę, można uważać południe Europy, szczególniej Portugalii. Z jego kwiatów Rzymianie splatali wianki, któremi zdobili siebie na czas uczt lub po powrocie ze zwycięstwa. Wyobrażenie tego kwiatu nieraz daje się spotkać na ścianach Pompei.

Z innych starożytnych narodów interesowali się tym kwiatem i teraz się nim interesują Chińczycy, u których narcyz gra wielką rolę w ich noworocznych ceremoniach.

Szczególniej dużo uprawiają go w Kantonie, gdzie go trzymają w szklanych naczyniach z wodą i piaskiem, lub z niewielkimi kamykami. Przy tych zupełnie skromnych warunkach cebulki narcyza dają jednak prześliczne, pachnące kwiaty i kwitną bardzo długo.

Na nowy rok kwiaty te muszą się koniecznie znajdować w każdym domu. Niemi zdobią ołtarze bogów i noszą w tym dniu w czasie uroczystej procesyi.

Z państw europejskich, wschodni narcyz trafił najpierw do Anglii, dokąd był przewieziony w 1570 r., niedługo po wstąpieniu na tron Elżbiety. Narcyz ten przysłany był z Konstantynopola do wielkiego skarbnika, zapalonego amatora kwiatów, i był uprawiany w ogrodach posiadłości ówczesnych, które się znajdowały na brzegu Tamizy. Ogrody te sławne były szczególnie z wielkiej ilości zaaklimatyzowanych w nim kwiatów. Lecz w tym czasie gdy w Anglii był tylko obcym przybyszem, w południowej Europie szybko się zaaklimatyzował i rósł w ogrodach tak jak miejscowe rośliny.

Z tej zapewne przyczyny stał się wkrótce jednym z najulubieńszych kwiatów zachodnio-europejskich, bez którego i teraz żadna uroczystość nie może się obejść. W niektórych miejscowościach, jak na przykład w prześlicznym miasteczku Montreux w Szwajcarii, urządza się co roku uroczystość na cześć narcyzów.

Uroczystość ta odbywa się zwykle w jedną z pierwszych niedziel maja. W tym dniu całe miasteczko zmienia się do niepoznania. Domy są ozdobione chorągwiami, girlandy z narcyzów zdobią też wejścia do sklepów, domów, szkół; bukiety narcyzów posiadają wszystkie panie, a panowie bukieciki w klapach surduta, narcyzami ozdobione są tramwaje, powozy, grzywy końskie i osły, słowem wszędzie, gdzie tylko okiem rzucić, migoce biała barwa narcyzów, a woń

ich subtelna napelnia nietylko ulice, lecz wszystkie restauracye, kawiarnie i mieszkania.

Uroczystość ta trwa przez dwa dni i zawiera się w przedstawieniu melodramatu i walce kwiatów. Pierwszego dnia bawi się bogata burżuazya, która nie wie z nudy, gdzie ma podziąć czas i pieniądze, i wtenczas miejsca na trybunach, skąd się patrzy na przedstawienia i gdzie się odbywa walka kwiatów, kosztuje od 5 — 20 franków ; na drugi dzień zabawiają się ludzie o skromniejszych środkach, a mianowicie : przyjezdni, studenci, handlowcy, panny z kantorów, nauczycielki, robotnicy etc., wtenczas miejsce na trybunie można mieć za opłatą jednego franka.

Oto jak opisuje tę uroczystość jeden z widzów :

„Wszystkie trybuny są ozdobione różnokolorowemi chorągwiami i otaczają jakby amfiteatrem niewielką podniesioną scenę, która cała jest udekorowana zielenią i narcyzami. Naprzeciw sceny, przed orkiestrą, umieszczony jest chór młodych dziewcząt w białych strojach. Zgodnie wypełniają dość ładną melodyę, trochę monotonną i która się powtarza przez całą część intermedium „Metamorfozy Narcyza“.

Rolę narcyza gra artystka paryskiej Opéra Comique. Treść całego prawie intermedium zawiera się przeważnie w tańcach. Tańczą prawie wyłącznie dzieci, których jest mnóstwo, bo około 200 chłopczyków i dziewczynek od 8—9 lat i więcej. Oto grupa ich cała

wysypała się na scenę. Czapeczki, kostiumy, sukienki wyobrażają gałązki i listki narcyzów. Pod dyрекcją poważnej damy, która jest podobna do szkolnej nauczycielki, dzieci wykonują piruety, rozmaite skręty, splatają się i rozplatają znowu, formując malownicze girlandy. Może nie mają dość wprawy, — bo to są uczniowie szkół początkowych, lecz w ruchach swych wszystkich mają tyle dziecięcego wdzięku, że publiczność, chcąc je zachęcić i dodać im odwagi, sypie im rześiste oklaski.

Narcyzów zmieniają starsze „syreny“ w zielonkawych, muślinowych sukienkach; potem występują nimfy, a nakoniec poczyną się ogólny taniec, do którego przyłącza się grupa chłopczyków w strojach szwajcarskich fermerów z dawniejszych czasów. Chłopcy mają krótkie fraki, kamizelki zielone, krawaty i słomkowe cylindry; dziewczynki są ubrane w białe długie sukienki z czarnymi fartuszkami, w kapturki i rękawiczki. Widok tych dzieci do tego stopnia jest zabawny, że budzi ogólny śmiech. Dzieci też się uśmiechają, lecz natychmiast poważnieją i rozpoczynają taniec.

Różnobarwne stroje dzieci, ubrana odświętnie publiczność na trybunach, obfitość kwiatów, cieniste kasztany po drugiej strony sceny, wszystko to jest ogromnie malownicze i prześliczne.

Lecz oto następuje balet. Aleje szybko się polewają wodą i korso się rozpoczyna. Powozy, biały słoń,

karuzele, karety, wszystko jest zalane powodzią kwiatów. Pojawiają się automobile ze strojnemi paniami. Publiczność zasypuje je kwiatami i całym gradem konfetti.

Żarty, śmiechy, dowcipy, sypią się jak z rogu obfitości. Walka kwiatów staje się coraz bardziej ożywioną. Cały tłum poczyną w niej brać udział. Narcyzy sypią się z balkonów, sypią się z okien, narcyzami zarzuca się wszystko i wszystkich. Samochody i powozy przepelnione są kwiatami i konfetti, które malowniczo odbijają od włosów i ubrań. Wesolość ogarnia wszystkich, nawet najflegmatyczniejszych z Niemców, bo Niemców z Oberlandu. — Tymczasem handlarze kwiatów i konfetti mają tak wielki popyt na swój towar, że im go wciąż brakuje i muszą sprowadzać coraz to nowe transporty. I tak trwa to wszystko do 6-tej wieczór. Lecz punkt o 6-tej dworce kolejowe i przystanie poczynają się zapełniać tłumami i wszyscy spieszą do domu, jedni do Lozanny, drudzy do Genewy, do Bernu, inni znowu w góry.

Jutro jest dzień powszedni i większość musi spieszyć do pracy“.

W Niemczech, w Marku, pachnący biały narcyz nazywają białą niewiastą i mówią, że on w postaci wampira wysysa krew z ludzi.

Inaczej zupełnie określają ten kwiatek we wschodnich Prusach, gdzie on jest uważany jako symbol wiosny i szczęśliwego małżeństwa. Dziewczyna, wy-

chodząc za mąż, wywozi narcyz z domu rodziców do swego nowego mieszkania i pielęgnuje go troskliwie, żeby rósł jak można najlepiej, bo podług ich wierzenia, od jego piękności zależy szczęście małżeńskie.

Narcyz uważany też jest jako środek zabezpieczający od krwawej biegunki i dlatego latem każą dzieciom nosić w kieszeni cebulkę narcyza.

Rozgniecione jego liście używają jako środek gojący rany i nawet łączący porwane żyły.

W obecnych czasach Anglicy szczególnie są zajęci narcyzami. Posiadają nawet stowarzyszenia, które całkowicie są pochłonięte kulturą tego kwiatka i wytwarzaniem nowych odmian i w tym celu wydają ogromne pieniądze.

Stworzyć nową odmianę narcyza nie jest wcale rzeczą tak łatwą, a co najważniejsze, wymaga dużo czasu, bo ostateczny rezultat może dopiero za kilka lat nastąpić. Żeby otrzymać taką odmianę, biorą się dwa kwiaty, których barwa najbardziej do tego jest odpowiednią i następnie te kwiaty sztucznie się zapylają t. j. zdejmuje się ostrożnie pędzelkiem pyłek z kwiatka jednej rośliny i przenosi się go na słupkę kwiatka drugiej. Potem na opylone w ten sposób kwiaty, aby zapobiedz wszelkim niespodziankom, wkładają się muślinowe woreczki i następnie trzeba czekać, aż nim nasiona dojrzeją. Wtenczas te nasiona wysiewają się do drewnianego pudła z ziemią i gdy z nich rozwiną się rośliny, to przesadzają je potem do małych doniczek. W tych doniczkach małe narcyzy,

z nasion otrzymane, pozostają przez dwa lata. Przez ten czas każda roślinka rozwinie się i otrzyma małe cebulki, lecz do kwitnięcia jeszcze bardzo daleko. Żeby rozkwitły, trzeba przesadzić je na grządki i czekać 3 lub 4 lata.

Więc oto ile pracy i czasu trzeba zużyć, by wyhodować odmianę narcyza. Nie zawsze to jednak się udaje; przeciwnie, niepomyślnych zapyleń bywa daleko więcej, niż pomyślnych i trzeba 10 albo 100 razy próbować, nim się w końcu celu dopnie. Tak na przykład, kilkanaście lat temu, wszystkie starania amatorów były ku temu skierowane, by otrzymać zupełnie białą odmianę, co było nadzwyczaj trudnem, bo charakterystyczne żółto-pąsowe kółeczko w środku zaniezniknąć nie chciało. Wtenczas podobne doświadczenia poczęło robić kilku ogrodników i w końcu znanej firmie braci Barr udało się otrzymać upragnioną odmianę. Otrzymany przez nich kwiatek, ochrzczony został imieniem jednego z założycieli tej firmy, Petra Barr i był, chociaż nie całkiem biały, lecz miał tak prześliczny, blado pąsowy odcień, że wzbudził podziw wszystkich specjalistów. Każda cebulka tej nowalii była sprzedawaną niemniej, jak po 500 rs., najbujniejsze zaś okazy kosztowały jeszcze drożej. To samo było i z rurkowanym narcyzem. Ile potrzeba było prób i pracy, żeby otrzymać tę prześliczną odmianę! Teraz oczywiście, jest ona zupełnie zwyczajną i kosztuje niedrogo, lecz przy pierwszym swem pojawieniu się

wywarła ogromną sensację wśród wszystkich amatorów i była cenioną na wagę złota.

Słowem, w Anglii teraz dzieje się z narcyzami prawie to samo, co było 10 lat temu z tulipanami i hyacyntami w Hollandyi.



BŁAWATEK.

(*Centaurea cyanus*).



RZEŚLICZNY, NIEBIES-
ki jak niebo południowe kwia-
tek ten jest nieodbitym i wier-
nym towarzyszem pól zbo-
żowych i prawie nigdy i ni-
gdzie nie widać go dziko ro-
snącym. A jeśliby go się na-
wet przypadkiem spotkało,

to byłoby tylko pewną wskazówką, że tam, gdzie teraz
on rośnie, było niegdyś pole zbożowe, lub droga,
która doń wiodła. Taką łączność bławatka ze
zbożem objaśnia się tem, że bławatek jest rośliną obcą,
zanieśioną wraz ze zbożem, którego Ojczyzną jest
zachodnia część Azji. Z tej przyczyny ani bławatek,
ani zboże nie były znane starożytnym Egipcyanom,
ani też starożytnym Grekom, szczególnie w pierwszych
czasach egzystowania Grecyi. Najpierw zjawił się

on w Europie za czasów Pliniusza Starszego, który żył od 37 — 79 roku po Nar. Chr., t. j. wtenczas, kiedy zboże w starożytnym Rzymie uważano za roślinę zbożową, którą się żywić można było tylko w razie ostatecznego głodu. Ten sam Pliniusz, mówiąc o bławatku, jako o kwiatku, który się używał dla splewania wianków, mówi, że za czasów Aleksandra Wielkiego on nie był znany jeszcze w Grecyi.

Podług innych źródeł, bławatek trafił do Europy jeszcze później, t. j. tylko w czasie wojen krzyżowych, kiedy do nas trafiło jeszcze inne zielsko, które zawsze w zbożu rośnie, a mianowicie, kąkol. Lecz temu ostatniemu mniemaniu przeczą dwie starorzymskie legendy, które jasno świadczą, iż bławatek dobrze był znany wśród starożytnych Rzymian. Jedna z tych legend mówi, że kwiatek ten otrzymał swą nazwę „Cyanus“ od imienia pewnego pięknego młodzieńca, który do tego stopnia był zachwycony jego pięknością, że cały czas swój poświęcał tylko na to, by z tych kwiatów spletać wieńce i girlandy. Młodzieniec ten nigdy nie opuszczał pola dotąd, aż nim na niem nie pozostawało ani jednego bławatka, które tak bardzo kochał, — ubierał się zaś zawsze w suknie, które miały ulubioną przez niego barwę bławatkową. Flora była jego ukochaną boginią, ze wszystkich zaś jej darów, bławatek był podług niego najmiłszym i najpiękniejszym. Pewnego razu znaleziono go martwego na polu zbożowym, otoczonego bławatkami, które zbierał. Wtenczas bogini Flora, za taką jego stałość i na znak

szczególnej łaski za jego miłość ku niej, zamieniła ciało jego w bławatek i wszystkie bławatki poczęły się odtąd zwać „Cyanusami“.

Druga rzymska legenda tłumaczy w ten sposób nieustanną obecność bławatków wśród pól zbożowych.

Kiedy Ceres, bogini żniwa i uprawy ziemi, — głosiła ta legenda, — przechadzała się pewnego razu po łąkach zbożowych i cieszyła się z błogosławieństw i wdzięczności, jaką cała ludzkość jej w swych modłach zasyłała, to nagle wśród gęstwiny kłosów dał się słyszeć żałosny głos, rosnących tam bławatków: „O Ceres! czemu rozkazałaś nam rosnąć wśród tych łąk zbożowych, które swemi wspaniałemi kłosami cały kraj pokrywają? Syn Ziemi rachuje tylko ilość zysku, jaki mu twe zboże przynieść może, a nas biednych ani jednym rzutem oka nie zaszczyca! Daj więc nam taką łądzykę, któraby się kłosem kończyła, kłosem tak ciężkim, jak kłosy zbożowe, które pod swym ciężarem aż ku ziemi się chylą. Pozwól nam rosnąć gdzieś osobno, gdziebyśmy były wolne od wzgardliwych spojrzeń człowieka“. Na to bogini odrzekła drogim swym kwiatkom: „Nie, miłe dziatki moje, nie dlatego umieściłam was wśród szumiących kłosów zbożowych, żebyście przynosiły korzyść ludzkości, nie! wasze przeznaczenie o wiele jest wznioślejszem, niż sądzicie. I wy się mylicie i człowiek, który wami pogardza. Wy musicie być kapłanami wśród wielkiego narodu kłosów. A więc dlatego nie potrzebujecie szumieć i chylić ciężko głowę ku ziemi, lecz przeciwnie po-

winnyście kwitnąć wesoło i swobodnie — jak uosobienie czystej radości i mocnej wiary, patrzeć wciąż do góry, na wiecznie lazuruowe niebo — przybytek — bóstwa. Z tej przyczyny dano wam lazuruową szatę kapłańską, która ma barwę niebieskich przestrzeni, żeby odróżnić was, jako sług Nieba, na ziemię zesłanych, by ludzi wiary nauczyć. Miejcie tylko cierpliwość, nastanie dzień żniwa, kiedy wszystkie kłosa padną pod ręką tych, którzy żąć je będą i wtenczas wy, które zdajecie się teraz być zaniedbanymi i osamotnionymi, zwróćcie na siebie powszechną uwagę. Żniwiarki będą was szukały i zrywały i wijąc z was wianki, ozdobią nimi swe głowy, albo ułożywszy z was bukieciki, przypną je sobie na piersi“.

Słowa te uspokoiły skrzywdzone bławatki. Przejęte wdzięcznością umilkły i cieszyły się tylko ze swego wysokiego stanowiska i szczytnego celu, ku spełnieniu którego były stworzone.

Jeszcze jedną prześliczną legendę o bławatkach znajdujemy u Paolo Montegazz'a.

Pewnego razu, niebo zarzucało roślinom rosnącym na polu zbożowym niewdzięczność, jaką one względem niego okazywały.

„Wszystko, mówiło ono, — co tylko ziemię zamieszkuje, śle ku mnie słowa wdzięczności. Kwiaty ślą mi swe wonne oddechy, lasy — swój szept tajemniczy, ptaki — śpiew swój miły. Tylko wy stoicie jak skamieniałe i milczycie uporczywie, — a tymczasem wiecie dobrze że tylko ja, nie kto inny, poi korzenie wasze

deszczem orzeźwiającym i pomaga dojrzewać złotym ziarnom w waszych kłosach złocistych“.

„My wcale nie jesteśmy niewdzięczne, odparły kłosy, — my zdobimy ziemię, to dziecię twoje, całem morzem zieleni, kołyszącej się i ruchomej, — lecz my nie możemy inaczej wyrazić ci naszej wdzięczności, nie mamy możności podnieść się ku tobie ; daj nam tę możliwość, a my osypiemy cię swemi pieszczotami i o naszej miłości ku tobie mówić będziemy“.

„Dobrze, rzekło niebo, — jeżeli wy nie możecie do mnie się podnieść, to ja ku wam zejść“.

I oto niebo rozkazało ziemi wydać wśród kłosów cudne szafirowe kwiatki, które wyglądały jakby tego nieba odbiciem były. I odtąd żdźbła zbożowe nachylają się przy każdym wiatru podmuchu do tych dzieci błękitnego nieba, tulą się do nich i szepczą im czułe słowa miłości.

Niemiecki poeta Glazer mówi :

„Niebieski bławatku!

Ty wesoło kiwasz swą główką

Wśród łąnów do żniwiarza,

Żeby te kwiatki szafirowe przypominały mu
[niebo...”

Naukowa nazwa bławatka jest „*Centaurea cyanus*“. Pierwsza połowa tego słowa pochodzi od greckiej nazwy mitycznego — centaury, który był wyobrażany w postaci konia z tułowiem brodatego człowieka, niosącego w ręku zapaloną pochodnię. Jeden

z takich centaurów, imieniem Chiron, który umiał leczyć ziołami, znalazł, że sok bławatków, szczególnie „*Centaurea jacea*“ ma cenną własność gojenia ran i nawet wyleczył sam sobie ranę, którą otrzymał od zatrutej strzały Herkulesa. To dało powód do nazywania kwiatka tego — *Centaurea*. Co się tyczy drugiej połowy jej nazwy „*cyanus*“, — to ona po łacinie oznacza „niebieski“, t. j. charakterystyczną barwę naszego bławatka.

Naukową nazwę nadano bławatkowi dopiero w XVIII stuleciu, kiedy znany szwedzki botanik, K. Lineusz pierwszy uporządkował całą botaniczną nomenklaturę i nadał nazwę wszystkim znanym dotąd roślinom, podług ich oznak, lub historycznych danych. Starożytne narody знаły bławatek pod ogólną nazwą „*Cyanus*“.

Bławatek oddawna już słynął jako jeden z najlepszych kwiatów do splatania wianków i dlatego popyt na te kwiaty, poczynając od XVI stulecia, tak był wielki, że niektórzy przemysłni ogrodnicy poczęli uprawiać go u siebie w ogrodzie. Szczególniej podobała się wszystkim niebieska jego barwa, dla której niektórzy mistycy wybrali bławatek za symbol wierności i stałości. Niektórzy jednak widząc, że barwa bławatka przechodzi czasem w czerwonawą lub białawą, uważali go przeciwnie za symbol niestałości i nawet w wielu ówczesnych podręcznikach „O znaczeniu kwiatów“ pisano w ten sposób: „Ten, czyje serce jest niestałe, kto sam nie wie na co się ma zdecydować,

ten niech nosi bławatki, bo te kwiaty, które są niebieskie, wesołe, niedługo przechowują swą barwę“.

Ze wszystkich narodów Europy, największą miłością i popularnością cieszy się bławatek u Niemców. Szczególniej stał się on im drogim odtąd, gdy został ulubionym kwiatkiem zmarłego cesarza Wilhelma i niezapomnianej przez wszystkich Prusaków, jego matki, królowej Luizy. O tem, z jakiej przyczyny on się stał ich ulubieńcem opowiadają co następuje:

Wszyscy to wiedzą, że cesarz Wilhelm I zawsze namiętnie kochał kwiaty i dlatego w dniu jego urodzin, stół, który był przeznaczony na to, by składać nań dary, które mu ofiarowano, zwykle cały był zastawiony ślicznymi bukietami najwspanialszych kwiatów, które on przyjmował zawsze z wielką przyjemnością. Przytem, wśród pysznych kwiatów cieplarnianych i ogrodowych zawsze musiał być skromny bławatek, jego ulubieniec, który mu przypominał miłe, chociaż goryczą przepełnione, dni przeszłości. Upodobanie, jakie on żywił do tego niebieskiego polnego kwiatka łączyły się wraz ze wspomnieniem o jego dobrej, niezapomnianej matce, królowej Louizie i z dwoma wypadkami, bardzo nieznaczącemi, które się działy w czasie ciężkich czasów poniżenia Niemiec.

Ciężkie owe lata — były to czasy wojen napoleońskich, kiedy Bonaparte, stawszy się władcą całej prawie Europy, mścił się bezlitośnie na niemieckich księżętach za przyłączenie się do koalicji.

W tym czasie, w przeciągu dwóch lat (od 1806 —

1808 r.) biedna królowa Louiza była zmuszoną uciekać z Berlina i ukrywać się w Królewcu, spędzając lato i zimę w niewielkich swych posiadłościach. Samotne schronienie, zdala od wszystkich nieszczęść i przewrótów politycznych, wywarło wpływ dobroczynny na potargane nerwy królowej i pomogło jej trochę się uspokoić. Tutaj odbywała ona przechadzki w ogromnym lesie o stuletnich świerkach i sosnach ze swymi dziećmi, w które starała się wpoić te dobre zasady, które w przyszłości uczyniły z nich ludzi wielkiego serca i ludzi wrażliwych bardzo na cudze nieszczęście. I oto pewnego poranku odbywała jak zwykle przechadzkę ze swym synem, który następnie został cesarzem Wilhelmem I i ze swą córką księżniczką Szarlottą, przyszłą matką cesarza rosyjskiego Aleksandra II, i już miała wrócić do swego parku, gdy wtem podeszła ku niej wiejska dziewczyna, która ją u wrót czekała z koszem pełnym bławatków i prosiła kupić je u niej. Chcąc sprawić przyjemność dzieciom, szczególnie 10-cioletniej księżniczce Szarlocie, która z ogromnem zdumieniem przyglądała się prześlicznym niebieskim kwiatkom, dotąd nigdy nie widzianym, królowa suto obdarzyła dziewczynę i zabrała bławatki ze sobą do parku. Usiadłszy tam na ławeczce, dzieci poczęły rozkładać kwiaty, a księżniczka Szarlotta, przy pomocy swej matki starała się z nich uwić wianek. Wkrótce nabrała w tem wprawy i wianek był gotów. Powodzenie to do takiego stopnia ucieszyło i ożywiło chorowitą z natury dziewczynkę, że zawsze

prawie bladą jej twarzyczkę okraślił silny rumieniec i oczęta żywym blaskiem zajaśniały. Gdy zaś potem włożyła ten wianek na głowę, to inne dzieci, widząc jak jej w nim do twarzy, były nią zachwycone.

Skromna to i niewielka była radość, jaką doznały jej dzieci, lecz pomimo to głębokiem ukojeniem napełniła zmęczoną duszę królowej, która dawno już nie widziała ani promyka szczęścia — i w tej chwili ośwładnęło ją jakby wieszczce przeczucie, iż wkrótce nieszczęścia jej się skończą. Któżby, zaprawdę, mógł wtenczas pomyśleć, że ta mała dziewczeczka z wieńcem bławatków na głowie będzie kiedyś imperatorem rosyjską, a stojący obok niej brat — cesarzem Niemiec złączonych? Lecz przeczucie zakrada nam się do duszy mimowoli i daje nam możność odgadywania ukrytych losów przyszłych. I oto teraz, z sercem przepelnionem niewysłowionem uczuciem szczęścia, królowa Louiza przygarnęła swe dzieci do piersi i gorąco je ucałowała, bławatek zaś stał się odtąd dla niej, jak również i dla księżniczki Szarlotty ulubionym kwiatkiem i jakby zwiastunem nowej, jaśniejszej przyszłości.

Innym znowu razem, — było to w czasie ucieczki pruskiego, królewskiego dworu do Memla, — rodzina cesarska, wskutek złamanego koła u powozu od szybkiej jazdy, — musiała się zatrzymać wśród drogi.

Nie wiedząc, czem czas zapłacić w oczekiwaniu naprawy powozu, królowa Louiza usiadła z dziećmi u skraju drogi około pola zbożem zasianego. Dzieci skarżyły się na zmęczenie i na silny głód. Chcąc je

jakkolwiek rozweselić, królowa poczęła rwać blawatki i zwijać z nich wianek, przyczem bujne łzy spływały jej po twarzy. Zauważywszy to, drugi syn jej, Wilhelm (przyszły cesarz niemiecki), który miał bardzo czułe serce i gorąco kochał swą matkę, począł ją pocieszać i tulić w swem objęciu. Wzruszona tą miłością synowską, królowa uśmiechnęła się i włożyła wianek z blawatków na głowę syna. Pomoc nadeszła, powozy naprawiono i rodzina królewska szczęśliwie uniknęła niewoli.

Oba te wypadki, chociaż mało znaczące, były jednak wśród ciężkich prób i niepowodzeń jakby przeblyskiem dalekiego szczęścia i dlatego zostały wiecznie w pamięci cesarza Wilhelma i całej rodziny królewskiej.

Wśród ludu krąży jeszcze jedno opowiadanie, które potwierdza, że blawatek nieraz odgrywał rolę w życiu rodziny cesarskiej.

Opowiadają, że na jednym balu przydwornym, który nieszczęśliwa królewska para była zmuszoną wydać Napoleonowi i jego generałom, królowa Louiza zjawiła się bez żadnych ozdób kosztownych, tylko z wiankiem blawatków na głowie. I gdy Francuzi zaczęli z tego dowcipkować, to królowa rzekła :

„Tak, panowie, wszystkie prawie nasze klejnoty są nam zrabowane, część zaś ich została sprzedaną, żeby choć trochę ulżyć nędzy naszego kraju nieszczęśliwego ; pola zaś nasze tak są przez was strатовane, że nawet polny kwiatek jest rzadkością“.

Na to zwycięzcy nie potrafili nic odpowiedzieć i umilkli zawstydzeni.

Dużo lat minęło i przecucie królowej Louizy się sprawdziło. Bławatek nie zawiódł jej oczekiwania.

Urodzonym na wygnaniu królewskim potomkom były powrócone ich prawa do tronu, a księżna Szarlotta po wyjściu za mąż za Mikołaja I, stała się cesarzową rosyjską. I oto, kiedy ona w wiele lat później przejeżdżała pewnego razu przez Królewiec, to jego mieszkańcy uczynili jej owacyę i ofiarowali śliczny kosz bławatków, i sypali jej bławatki pod nogi. Imperatorowa była do łez wzruszona takim serdecznem przyjęciem i gorąco dziękowała mieszkańcom Królewca za to, iż pamiętali o jej kwiatku ukochanym.

O szczęśliwej przepowiedni bławatka dla domu królewskiego znajdujemy jeszcze jedną notatkę następcy tronu Fryderyka Wilhelma, którą ułożył w czasie wojny z Austryą w r. 1866. W książce tej zanotowane są te słowa w opisie bitwy przy Nachodzie: „Pulkownik Walker zwrócił moją uwagę na rosnące w koło nas bławatki. Ja zerwałem jeden z nich i zabrałem ze sobą dla mojej żony. To mi się wydało dobrą przepowiednią“.

Ten ukochany przez cesarza Wilhelma kwiatek stał się w czasie walki, która powstała w ostatnich czasach w Czechach za język czeski, symbolem niemieckich poglądów. I dlatego Czesi nienawidzą tych, którzy zdobią swe ubrania bławatkami.

Z bławatkami łączy się w Niemczech dużo wierzeń.

Tak na przykład, ponieważ lodyga i kielich bławatka okryte są białawami, podobnymi do nici pleśni, włoskami, to wieśniacy z Pomoranii wierzą, iż chleb pleśnieje, gdy trzymać bławatki w pokoju.

Z innej znowu strony odwar z tych kwiatów jest używany jako wyborny środek od zapalenia oczu. Zresztą odwar z tych kwiatów uważany był jako wyborny środek dla wzmocnienia oczu nawet przez francuską akademię medyczną, bo mówiono, że ten odwar do tego stopnia wzmacnia oczy, iż niema potrzeby nosić okularów.

Wierzą też, że bławatek wyrwany z ziemi z korenieniem na Boże Ciało, powstrzymuje upływ krwi z nosa, jeżeli go trzymać w ręku, aż nim się nie zegrzeje. W jesieni z ilości nasion, które znajdują w owocu bławatka, wróżą urodzaj na rok przyszły.

W niektórych okolicach Niemiec straszą dzieci bławatką dlatego, żeby one nie chodziły po polach zbożowych i zboża nie deptały.

„Jeżeli będziecie rwać bławatki“, mówią im zawsze, „to kozieł zbożowy schwyci was i zabodzie rogami“. Zamiast kozła, straszą je też wilkiem. Wierzenie to pochodzi jeszcze z wieków średnich, czego dowodem może służyć to, że we Fränkfurcie nad Menem w r. 1343 przy ulicy Wasilewskiej był nawet dom, który się nazywał Kõrnwolf (Zbożowy wilk). Wskutek tego i sam bławatek jest nazywany po wsiach „kozłem“ i uważany za uosobienie leśnego ducha, albo demona. Duch ten, podług ich wierzenia, siedzi w bławatku, i kiedy

zną zboże, to napada na leniwych robotników i nawiedza ich chorobą .

Z bławatków dobywano dawniej prześliczną niebieską farbę, bardzo podobną do ultramaryny. W tym celu brano nie jęczyczkowate listki kwiatu, lecz rurkowate, które się w środku znajdują, których barwa jest ciemniejsza, potem włożywszy je do moździerza, wyciskano z nich sok za pomocą tłuczka, dodając trochę saletry i w końcu zlewano do czystego naczynia i przechowywano do użytku. Z listków jęczyczkowych robią jaśniejszą farbę niebieską.

Teraz farba ta wyszła z użycia, lecz robią ocet z bławatków, który piękną barwę posiada.



MAK.

(*Papaver rhoeas*).



TO WIDZIAŁ NASZE RODZONE łany zbożowe jakby usiane niezliczonemi jaskrawopąsowemi główkami maków polnych, które migocą jakby tysiące płomyków, ten musi przyznać, że jest to jeden z najmilszych wiejskich obrazków, jakie tylko można sobie wyobrazić.

Nic więc dziwnego, że mak polny „*Papaver rhoeas*“, jak go nazwała nauka, jeszcze w czasach starożytnych zwracał na siebie uwagę ludzi. Już młode dziewczęta w Grecyi starożytnej pokochały ten kwiatek jaskrawy, obrywały jego atłasowe listki i położywszy je na otwór, sformowany przez zgięty wielki i wskazujący palec lewej ręki, uderzały silnie po listku dłonią prawej.

Uderzenie powodowało mniej lub więcej głośniej-

sze klaśnięcie, listek pękał i po dźwięku tego klaśnięcia młode Greczynki określały, jak mocno jest zakochany ten, którego umiłowaly. Grę taką nazwały grą w miłość, a kwiatek, który zdradził tajemnicę miłosną, nosił nazwę „*dylephilon*“, szpiega miłosnego.

Od starożytnych Greków gra ta przeszła najprzód do starożytnych Rzymian, a od nich do Włochów, u których aż dotąd jest w użyciu. W Niemczech gra taka była też zapewne uprawianą, bo tam często nazywają mak „*Klatschrose*“.

We Francyi gra ta dawniejsza, jest już na inną zmieniona. Tu dzieci bawią się kwiatkami maku nie w ten sposób, że używają jego listków dla klaskania, lecz robią z nich coś w rodzaju lalek.

Żeby zrobić taką lalkę, listki maku odchylają w dół i związują trawką. Wtenczas główka maku wyobraża z siebie główkę i ciało lalki, a odchylone listki — jej sukienkę. Lalkę tę zwykle nazywają „*enfant du chœur*“, t. j. chłopczykiem, który służy do Mszy św. w dniu uroczyste w pąsowej pelerynce.

Inne zastosowanie w zabawach dziecinnych mają kwiaty maku we Francyi, kiedy dzieci się bawią w grę zwaną „kogut, czy kurka?“ i kiedy trzeba zgadnąć, czy nierozwinięty pączek maku zawiera w sobie białe czy też pąsowe listki. Jeżeli białe, to znaczy „kurka“, jeżeli zaś pąsowe to „kogut“. Odgadnąć jest dość trudno, bo z przyczyny dotąd jeszcze nie wyjaśnionej, listki w pączkach bywają z początku czasem białe,

a czasem pąsowe, chociaż później są wszystkie jednako pąsowe.

Oprócz tych zabaw dziecinnych, kwiaty maku w północno-zachodnich krajach katolickich używają się dla ozdabiania kościołów w dzień Zesłania Ducha św. Szczególniej praktykuje się to w wielu miejscowościach Prowansu, gdzie małe dziatki, za aniołków przebrane, idą w tym dniu w czasie procesyi przed kapłanem niosącym Najśw. Sakrament, i wysypują drogę listkami maku. Z tej przyczyny zapewne kwiaty te w Prowansie noszą jeszcze nazwę „kwiatów aniołów“ (*fleurs des anges*).

Główki maku były prawdopodobnie niegdyś symbolem głowy ludzkiej, bo zostało nawet wyrażenie „główka, jak makówka“. Symbolika ta egzystowała zapewne i u starożytnych Greków, którzy nazywali mak „*kodeion*“, — a głowę ludzką — „*kodeia*“, zaś u starożytnych Rzymian, Numa odmienił zwyczaj przynoszenia Jowiszowi w ofierze głów ludzkich, na główki maku. To samo się stało z nieludzkim, wprost dzikim zwyczajem przynoszenia w ofierze główek dziecięcych, by ułaskawić boginię Monję, mityczną postać, która wedle ich pojęć miała wywierać wpływ na życie dziecinne. Junjusz Brutus kazał zamienić dziecinne główki, na główki czosnku i maku.

Należy jeszcze przytoczyć znane w historyi starożytnego Rzymu opowiadanie o zdobyciu miasta Wolsków — Gabii.

Było to w 515 r. przed Chrystusem za panowania Tarkwiniusza Dumnego.

Nie będąc w stanie zdobyć tego miasta, ani głodem, ani też szturmem, Tarkwinjusz wziął je chytrością. Starszy syn jego, Sekstus, udał, że ojciec jego zagniewany nań wypędził go od siebie i niby z tej przyczyny uciekł do Gabijczyków, obiecując im pomóc w walce z ojcem. Dobrodusznicy i łatwowierni Gybijczycy nie tylko że uwierzyli tej bajce, lecz nawet oddali dowództwo w jego ręce. Wtenczas, mając władzę nad wojskiem zapewnioną, Sekstus posłał tajemnie do Tarkwiniusza swego niewolnika, żeby się dowiedział, co ma dalej czynić i jak postępować? Gdy się zjawił posłaniec Sekstusa, począł szybko chodzić i zbijać łaską, którą trzymał w ręku, najwyższe główki maku, którym zasadzone były niektóre klomby jego ogrodu. Wróciwszy do Sekstusa bez żadnej odpowiedzi, niewolnik opowiedział mu tylko to, co widział. Lecz Sekstusowi to wystarczyło. Zrozumiał odrazu, że ojciec, zbijając najwyższe główki maku, chciał przez to powiedzieć, że Sekstus powinien był pościnać głowy, lub pozabijać wszystkich przywódców gabijskich. Sekstus uczynił jak mu ojciec poradził i miasto było zdobyte. W ten sposób i w tym zdarzeniu też główki maku stały się symbolem głów ludzkich.

Kwiaty maku odgrywały też rolę u starożytnych italskich narodów (Etrusków, Pelazgów i innych). Według słów Ottona Brunfelsa, przyrządzali oni z maku rozmaite potrawy i robili z jego pąsowych listków

ubranie dla swego boga piekła Disa albo Orkusa i z tej przyczyny mak otrzymał osobną nazwę łacińską „*Orci tunica*“, t. j. ubranie Orkusa. Być bardzo może, że dlatego w późniejszych czasach przedstawiano djabła i Mefistofelesa na scenie w pąsowym płaszczu.

Łacińska nazwa „*papaver*“ oznacza w tłumaczeniu: „*vera*“ — prawdziwy, „*papa*“ kaszka dziecinna (stąd może pochodzi dziecinna nazwa „papa“ zamiast „chleba“) i wskazuje na to, że starożytni znali już usypiające jego własności i używali go dla uspienia dzieci, co niestety praktykuje się jeszcze teraz przez stare niańki, a nawet przez mamki, które, by uspić niespokojne dzieci, dodają do mleka i wogóle do jedzenia ziarna makowe. O tem, jak szkodliwym jest podobny sposób, nie potrzeba nawet mówić, i każda matka powinna surowo zabraniać tego mamkom, bo inaczej dziecko stać się może idiotą, albo dostanie drżenia w członkach, lub mogą zostać sparaliżowane.

W Anglii, w Susseksie, było nawet zdarzenie, że mamka dała dziecku tyle makowego syropu, iż biedactwo wcale już się nie zbudziło.

W dawniejszych czasach, oczywiście, nie przypuszczano nawet, by mak tak zgubne miał pociągać skutki, — owszem uważano mak, jako dobroczynny środek, zesłany przez Opatrzność, i to mniemanie potwierdza się poetyczną legendą, która powstała w średnich wiekach o pochodzeniu maku.

„Była to pierwsza wiosna na ziemi, — głosi ta le-

genda, — ta wiosna, kiedy Bóg powołał do życia rozmaite stworzenia i rośliny. Podług Jego woli kwiatek pojawiał się za kwiatkiem, stworzenie za stworzeniem. Cała ziemia była już niemi pokryta. Wszędzie panowała radość i zadowolenie. Zwierzęta i ludzie żyli ze sobą w zupełnej zgodzie i dnie całe były napelnione weselem i szczęściem. Jedna tylko istota nie dzieliła ogólnej radości, ogólnego szczęścia i smutnie błąkała się po ziemi, — była to Noc. I dlatego było jej tak smutno, że każda istota na ziemi miała swego towarzysza, ona zaś wiecznie była samą. Oprócz tego czuła jeszcze, że była jedyną istotą na ziemi, do której inne niechętnie się zbliżały. Bo chociaż się starała za pomocą gwiazd, świetlików, migocących pięknym fosforycznym blaskiem, i innych światełek, na które ją stać było, rozjaśnić swój zmrok głęboki, jednak za dużo skrywała ona piękności przyrody przed zachwyconym wzrokiem istot nowo-stworzonych i przez to mimowolnie odtrącała je od siebie. I kiedy wschodzące słońce, złącząc wszystko swemi cudnemi promieniami, wprowadzało wszystkich w zachwyt i budziło ogólną radość, wtenczas bardziej jeszcze czuła ona swą samotność i tem więcej ciążyło jej własne życie. Będąc z natury dobrą i kochającą, szukała wzajemnej miłości i nie znajdując jej, otulała w rozpacz głowę swą ciemnym gęstym welonem, by ukryć łzy gorzkie, które wylewała w samotności...

Smutek ten jej zauważyły w końcu kwiaty i starały się jak mogły go złagodzić i sprawić jej, wedle sił

swych i możliwości, jakąkolwiek radość. Lecz cóż one, biedne i słabe istoty, mogły dać jej oprócz swych barw cudnych i woni upajającej? I oto poczęły swój oddech przez dzień wstrzymywać, a oddawać go tylko w nocy, darząc ją cudną wonią. I chociaż niezbyt to wielka była dla niej pociecha, lecz Noc czuła się już mniej samotną, bo miła woń, która się wokół roztaczała, dawała jej dowód, że są jednak istoty, które jej współczucie okazują i które starają się ją pocieszyć w jej ciężkim smutku.

Jednak ta słaba pociecha jej nie wystarczała i w końcu, nie mogąc już zwalczyć swego smutku, Noc rzuciła się do stóp tronu Wszechmocnego i wzniosła ku Niemu gorące modły :

„Boże wszechmogący, — błagała, — Ty widzisz. jak wszystkie stworzone przez Ciebie istoty są szczęśliwe, jak ja jedna tylko błąkam się bez radości, samotna, nie kochana przez nikogo na całej ziemi, nie mając ani jednej istoty, z którąbym swój smutek dzielić mogła. Dzień jasny ucieka odemnie, chociaż ja całą duszą garnę się do niego, — inne istoty również odwracają się od mego oblicza... Zlituj się, o wielki Boże, nademną nieszczęśliwą i ucisz boleść moją, daj mi wiernego przyjaciela i towarzysza życia!”

Bóg uśmiechnął się na te słowa, wysłuchał błagania Nocy, a ulitowawszy się nad nią, stworzył Sen i dał go jej jako towarzysza. Noc przyjęła z zachwytem tego drogiego przyjaciela w swe objęcia i odtąd zaczęło się dla niej nowe życie. Teraz nietylko, że nie czuła się

samotną, lecz wszędzie spotykano ją z radością, bo towarzyszący jej nieodstępnie Sen dobroczynny, stał się ulubieńcem wszystkich żyjących istot na ziemi, był oczekiwany przez wszystkich z niecierpliwością, bo niósł ze sobą spokój i wypoczynek. Wkrótce przyłączyły się jeszcze nowe mile istoty, dzieci Nocy i Snu, Senne Widziadła i Senne Marzenia. Razem z Nocą i Snem rozlatywały się one po całej ziemi i stawały się też takimi upragnionymi gośćmi, jak ich rodzice.

Lecz gdy dużo czasu minęło, ludzie, którzy byli dawniej dobrymi i czystego serca, zmienili się teraz. Zbudziły się namiętności, a w duszy ich stawało się coraz ciemniej i ciemniej. A ponieważ zwykle dzieci się psują w złem towarzystwie, to i z dziećmi Nocy stało się to samo. Niektóre Senne Marzenia, będąc w bliskich stosunkach ze złemi ludźmi, stały się lekko-myślne, zwodnicze i nieprzyjazne. Sen zauważył tę zmianę w dzieciach swoich i chciał niektóre odpędzić od siebie, lecz siostry i bracia wstawiły się za nimi i poczęły go prosić: „Zostaw nam naszych braci i siostry, które zawiniły, nie są oni jeszcze tak źli, jak się wydają, obiecujemy ci poprawić ich ogólnymi siłami, nawracać ich ze złej drogi“.

Ojciec zgodził się na prośbę swych dobrych dzieci i w ten sposób zostały w towarzystwie ludzi ciężkie, ponure, senne widziadła, które — rzecz dziwna i doświadczeniem stwierdzona, — trzymają się zawsze tylko złych ludzi, którzy mają własność przyciągać je do siebie.

Tymczasem ludzkość stawiała się coraz gorszą, a życie jej coraz cięższe. Pewnego razu jeden zupełnie zepsuty moralnie człowiek leżał w cudną noc letnią na woniejącej łące. Sen i senne widziadła chciały podejść ku niemu, lecz grzechy jego nie pozwalały im się zbliżyć. Zrodziła mu się w duszy straszna myśl, myśl zabicia swego rodzonego brata. Daremnie sypał na niego Sen swą różdżką czarodziejską, krople uspokojenia, daremnie starały się ukołysać go Marzenia, przesuwając mu przed oczyma rozmaite senne widziadła, — nieszczęsny uchylał się coraz bardziej od ich wpływu dobroczynnego. Wtenczas Sen zwołał wszystkie swe dzieci i rzekł: „Jeśli tak, to odlećmy od niego, dziatki moje, on nie wart jest naszych darów!“ i odlecieli.

Jednak ten niesłychany zawód bardzo podrażnił Sen i odleciawszy daleko od człowieka, który nie chciał mu uleżeć, długo nie mógł się uspokoić. Szczególnie nie chciał wybaczyć swej różdżce czarodziejskiej, że ona tak bezsilną się okazała, i w końcu wsadził ją w gniewie do ziemi. Tymczasem fruwające wkoło niej senne marzenia, otoczyły ją powiewnemi, nadziemskimi widziadłami, chcąc niemi otulić nieszczęśliwego człowieka, który je odtrącił od siebie.

Wszystko to widziała Noc. Zrozumiała błąd, przez Sen popełniony i, ulitowawszy się nad różdżką, która w niczem nie zawiniła, tchnęła w nią życie, żeby mogła puścić korzenie. I różdżka, zatrzymawszy w sobie siłę, którą sen budziła, zazieleniała i zamieniła się

w ładną roślinę, a otaczające ją Senne Marzenia zamieniły się w piękne, pąsowe ładnie wycięte listki. Rośliną tą był „mak”. — Paolo Montegazza zaś inaczej opowiada o pochodzeniu maku. Podług słów jego, rzecz się tak miała :

Pewnego razu zeszedł Pan Bóg na ziemię, by się dowiedzieć, czy zadowolona jest z tego życia, które On niegdyś na niej rozbudził i czy niema wśród żyjących na niej istot skrzywdzonych? Ziemia powitała go z radością, lecz przy tem wskazała na niektóre rzeczy, które jak klątwa ciążyły na wszystkich istotach i roślinach i były nieuniknione.

Najprzód żaliła się na niezbędność pożerania się wzajemnego, przez co cała ziemia miała wygląd olbrzymiej rzeźni, gdzie trawożerne pożerają rośliny, mięsożerne—trawożerne, człowiek zaś wszystkich i wszystko, sam z kolei będąc pożerany, jak na urągowisko, przez najdrobniejsze ze wszystkich istoty, to jest przez mikroby. Potem wskazała na śmierć, która bezlitośnie niszczy na ziemi wszystko, co jest drogie, śmierć, która niweczy najpiękniejsze plany i zamiary i unosi ze sobą szczęście jednej z najwyższych istot przez Niego stworzonych — człowieka, który pomimo swego wysokiego rozumu, jakim został obdarzony, staje przez to w jednym rzędzie z każdą najniższą nierozwiniętą i pozbawioną wszelkich wyższych uczuć istotą. W końcu wskazała na to, co jest najokropniejszym, — na niezliczone cierpienia i na niezliczoną boleść, która jest wszędzie po ziemi rozsianą.

„Na jednego wesołego i szczęśliwego, rzekła Ziemia, wypadają całe setki nieszczęśliwych. Na jeden okrzyk radości odpowiadają setki łkań i płaczów bolesnych. W bóleści człowiek na świat przychodzi, w bóleści też, otoczony smutnemi i płaczącemi, — umiera. Zresztą i tych niewielu, którzy siebie mogą uważać za szczęśliwych, pijąc z kielicha rozkoszy, znajdują jednak na dnie tej czaszy ukryty strach przed śmiercią, — a strach, czyż nie jest cierpieniem?”

Na pierwsze dwie skargi Bóg odpowiedział, że niszczenie jednych istot przez drugie, jest nieodbitem prawem doskonalenia się, i że istoty, które ziemię zamieszkują, nie są w stanie zgłębić tego prawa przez to, iż wzrok ich duchowy nie może jeszcze daleko sięgać, rozum zaś mają ograniczony.

„Dla mnie, — dodał Bóg, — wszystkie istoty na świecie, poczynając od najmniejszych, aż do największych, od najsłabszych, do najsilniejszych, od najgłębszych, do najmądrzejszych, są tylko substancją, cząsteczkami całego olbrzymiego organizmu. Oni wzajemnie zasilają się sokami i przelewają siłę jedno w drugie, tak że jedno pomaga drugiemu, jednocześnie biorąc i oddając. Śmierć zaś jest tylko odpoczynkiem dla zmęczonych i spracowanych i kolebką dla nowo budzącego się życia.

Co się tyczy trzeciej skargi ziemi, — mówi dalej Montegazzo, — to Pan Bóg nic na nią nie odrzekł, lecz tylko ciężko westchnął i głęboko się nad nią zadumał. Jednak pomyślawszy, nie zmienił Swego dawnego

postanowienia i tylko rzekł: „Masz zupełną rację Ziemio, w tem, że musisz dźwigać na sobie zbyt dużo bóleści, lecz Ja włożyłem w duszę człowieka iskierkę Meį wszechmocy i on w przeciagu tych wielu tysięcy lat, które mu się zostało jeszcze być na ziemi, nauczy się w końcu, jak zwalczać ten smutek, tę boleść i troski, i gdy się z nich uleczy, to wolnym od nich będzie. Pragnął być swobodnym, niech więc teraz dźwiga na sobie następstwa tej upragnionej swobody“.

„Lecz, wielki Boże, — odparła Ziemia, — przedtem nim nastąpi ten bardzo jeszcze daleki dzień wyzwolenia, ześlij człowiekowi choć jakąkolwiek pomoc. Daj mu środek kojący, żeby ból nie był tak ciężki, tak długotrwały i śmiertelny!“

Wtenczas Bóg jeszcze na chwilę się zamyślił, a potem dał Ziemi małe ziarenka i kazał je rozrzucać po wszystkich polach uprawnych, wzdłuż drogi i ścieżek, po których człowiek chodzi. Ziemia je porzrzucała, i oto z nich wyrósł mak, który odtąd rozwija swe jaskrawe, pąsowe kwiatki wśród pól zbożowych, na drogach i na łąkach, gdzie człowiek po pracy odpoczywa. Jak jasny płomyk, migocą te kwiatki wśród złotych kłosów zboża i wśród zielonych roślin, jakby zapraszając człowieka, by je zerwał, sok z nich wycisnął i skorzystał z ich własności leczniczych, które ból uśmierzają. I odtąd cudowna ta roślina koi cierpienia duszy, ból ciała uśmierza i czyni życie znośniejszym“...

Takie są podania o pochodzeniu maku, które po-

wstały już w nowszych czasach. Lecz z usypiającą własnością soku, z maku wyciśniętego, obeznani już byli starożytni Grecy i dlatego mieli też swoją legendę o powstaniu maku i mak odgrywał wielką rolę w ich obrzędach i zwyczajach. Oni wierzyli, że mak wyrósł z łez Wenus, które ona wylewała, dowiedziawszy się o śmierci swego ukochanego Adonisa. Uważali też mak za nieodłącznego towarzysza boga snu, Hipnosa i jego rodzonego brata, boga śmierci, Phanthosa. I dlatego bóg snu wyobrażany u nich bywa zawsze w postaci leżącego lub siedzącego młodzieńca, albo anioła z opuszczonemi skrzydłami, niosącego w ręku główki maku. Zaś boga śmierci wyobrażali także w postaci młodzieńca w wieńcu z maków na głowie, lecz z czarnemi skrzydłami i w czarnem ubraniu, gaszącego przewróconą palącą się pochodnię.

Bogini nocy wyobrażaną też była spowitą girlandami kwiatu maku, jako symbolem, spływającego wtenczas na ziemię, spokoju i wypoczynku. A bóg sennych marzeń, Morfeusz, którego mieszkaniem jest państwo snu, miał ten przybytek cały makami usiany.

Owidjusz w swych prześlicznych „Metamorfozach“ tak opisuje ten przybytek :

„Ante fores antri fecunda papaver florent
Innumeraque herbae, quarum lactae saporem
Nox legit, et spargit per opacas humiditas terras.

.

Hunc circa passim, varians imitantia formas.
Somnia vana jacent totidem, quod messis aristas,
Silva gerit frondes, ejectus littas arenas“.

(Wejście do przybytku zasadzone kwiatami maku i mnóstwem roślin, które dostarczają Nocy soków usypiających, a które potem ona roznosi po całym świecie, pogrążonym w pomroce... Tutaj w około (Morfeusza) w tysiącnych postaciach spoczywają tam i ówdzie lekkie Sny, tak liczne, jak kłosy na polu zbożowym, jak liście w lasach, lub jak ziarenka piasku, które morze na brzeg wyrzuca).

Kiedy Morfeusz, mówią starożytni Rzymianie, chce kogoś uśpić lub natchnąć przyjemnem sennem marzeniem, wystarcza mu samo dotknięcie kwiatem maku, tego człowieka.

Mak był też poświęcony bogini żniwa, Ceres, bo rósł zawsze wśród zboża, którem się Ceres opiekowała, — a także na tę pamiątkę, że Jowisz dał jej ziarenek makowych, by zesłać jej sen i ukojenie od cierpień duszy, gdy opłakiwała porwaną przez boga piekła, Plutona, swą ukochaną córkę Prozerpinę. Z kwiatów maku wraz z żytniemi kłosami splatano wieńce, któremi zdobiono następnie jej posągi; kwiaty zaś same przynoszono jej w ofierze w czasie obchodów i uroczystości religijnych, — i wogóle uważano, że mak jest tak miłą dla bogini rośliną, iż samą boginię

nazywano często „Mekoną“, od greckiej nazwy maku „mekon“ albo „makon“. Stąd zapewne powstała i nasza nazwa „mak“. Na posągach Ceres wyobrażoną była zawsze z makiem w ręku. Nakoniec z makiem w ręku wyobrażaną też była bogini nocnego nieba, Persefona, jako zlewająca sen na całą ziemię.

Trudno zbadać, kto pierwszy spostrzegł usypiające działanie maku.

Wiadomem jest tylko, że usypiający wyciąg maku, posiadali już starożytni Egipcjanie, którzy używali go jako lekarstwo i w tym celu uprawiali niedaleko miasta Theb, tę samą odmianę maku (*Papaver somniferum*), która u nas się też zasiewa; że starożytni Grecy obeznali się z jego usypiającą własnością dopiero za 416 lat do Chr., że wśród starożytnych Rzymian użycie maku było bardzo rozpowszechnionem i że sok z maku wyciśnięty, dzielił się już w starożytności na dwa gatunki: na sok, który się dobywał za pomocą nacięć niedojrzałych jeszcze główek maku — i ten się nazywał „opium“ (*opos* — sok po grecku), i na sok, który się dobywał ze wszystkich innych części rośliny — „mekonjum“.

Prawdopodobnie nie zbyt trudno było zauważyć usypiające własności maku, bo każdy mak, jak wiadomo, wydaje z siebie dość silny odurzający zapach, od którego można czasem nawet zasnąć. Stąd w Niemczech powstało nawet wierzenie, że ten, kto zaśnie w polu, makiem zasianem, może zachorować na „senną chorobę“. Opowiadanie o tem wierzeniu znajdujemy

w ślicznych wierszach znanego niemieckiego poety,
Uhlanda, który mówi:

Zur Warnung hört ich sagen,
Das der im Mohne schlief,
Herunter war getragen —
Im Traume schwer — und tief.
Dem Wachen selbst geblieben
Sei irren Wahnes Spur:
Die Nahen und die Lieben.
Hält er für Scheinen nur“

(Ostrzegano mnie, że tego, kto zasnął w polu makowym, przynoszono do domu, pogrążonego w głęboki, ciężki sen, a gdy się nawet obudził, to robił wrażenie człowieka lekko obłąkanego, który nawet krewnych i blizkich przyjmował za mary).

Drugi niemiecki poeta U. Zygmund, tak opisuje
zapach, jaki mak wydaje.

„Süss ist des Veilchen Hauch, herrlich der Rose
[Duft,
Heiss, wie der würzige Wein lodert der Nelke
[Arom,
Doch gleich Lethe's Fluth, die des Lebens Erin-
[nerungen tilget,
Streust du betäubenden Duft aus“.

(Śłodką jest woń fiołka, cudny jest zapach róży,
gorący jak wino korzenne jest aromat goździków,

lecz ty wydajesz odurzający zapach, który jak wody rzeki Lety, pogrążają w nicość wspomnienia życia przeżytego).

Co się tyczy dobywania w starożytności opium z maku, to sposób był ten sam, co i dzisiaj. Brano niedojrzałe główki maku i ostrym nożykiem robiono na nich wpółokrągłe ukośne nacięcia. Z tych nacięć wypływał sok (mleko), który się zgęszczał pod wpływem gorących promieni słonecznych. Ten sok zgęszczony jest właśnie substancją, którą „opium“ nazywają.

Opium, jako produkt do palenia, starożytni Grecy i Rzymianie jeszcze nie znali i używali go tylko, zarówno jak i współcześni lekarze, jako środek ból uśmierzający i usypiający, przyczem się zdarzało, że od zbyt wielkiej dawki tego lekarstwa chory umierał. Plinjusz zaś pisze, że w starożytnym Rzymie, bywały nieraz wypadki, że się za pomocą opium dobrowolnie zatruwano. Lecz najbardziej rozpowszechnione było opium, jako lekarstwo, w wiekach średnich. W tym czasie Karol Wielki wydał nawet rozkaz w swych kapitułariuszach, żeby mak był uprawiany w każdym wiejskim ogrodzie i żeby przy opłacaniu podatków, każdy dwór dostarczał korzec maku. Zawdzięczając temu, zatrucia się stały się jeszcze częstsze i doszły nawet do takich rozmiarów, że znany średniowieczny lekarz, Tabernemontanus, napisał nawet całe dzieło pod tytułem „Magsamensaft“ — sok z nasion maku,

(starożytni Germanie nazywali mak za jego dobroczynne działanie na żołądek „Magenkraut“, a ziarna „Magensamen“ — żołądkowymi nasionami) w którym on wskazuje na niebezpieczeństwo zbytniego używania tego narkotyku i radzi go używać tylko w ostatecznym razie. Obwinia też hebrajskich lekarzy o to, że zachwyceni szybkim leczniczym działaniem tego lekarstwa, nie myślą o dziwnych skutkach, jakie, przy nadmiernem jego użyciu, grożą ich pacjentom.

Opium używane jest w medycynie i w naszych też czasach, lecz najczęściej tylko w postaci otrzymanego zeń alkaloidu — morfiny, którą wynaleziono w 1804 r. przez hannowerskiego aptekarza, Sertiurnera. Morfinę zastrzykują pod skórę, przez co uśmierza się najstraszniejszy ból i cierpienie. Lecz zbytne używanie tego środka może wywołać niemniej opłakane skutki, jak opium. Korzystając z jej dobroczynnego działania, chorzy tak często jej nadużywają, że w końcu nie są w stanie bez niej się obejść i oczekują, zastrzykiwania, jak pijany wódki. Takich ludzi nazywają morfinistami. Skutki takiego częstego zastrzykiwania są opłakane. Nie mówiąc już o szarozielonej barwie twarzy, jaką ci ludzie mają, ciało ich okrywa się straszными wrzodami, umysł zaczyna stopniowo słabnąć i w końcu jako półdyocy umierają. Lecz działanie tej samej morfiny w wielu strasznych chorobach jest tak cudowne i tak dobroczynne, że można ją nazwać

wraz z poetą Zygmuntem „boską lekarką wszystkich ludzi, których cierpi dusza i ciało“.

„Trzeba doświadczyć bezsenności, — mówi francuzki profesor Rische, — żeby mózg ocenić dobroczynne działanie opjum. Słyszeć, jak wśród przygnębiającej ciszy nocnej upływa jedna minuta po drugiej, przewracać się z boku na bok na łóżku, walczyć z nieprzyzwyczajonem podrażnieniem wewnętrznem, czuć jakieś straszne, nie dające się opisać, zamieranie serca, jest to taką męczarnią, którą tylko może pojąć ten, kto ją sam przeżył. Makbet zapewne taką mękę przeżywał, gdy po zabiciu Dunkana, obawiał się bezsenności, którą zrodziły wyrzuty sumienia. Przy zażyciu opium można się nie obawiać bezsenności: za godzinę, lub dwie najwyżej, chorobliwe rozdrażnienie zamienia się w przyjemne, lekkie podniecenie, które następnie przechodzi w miłą drzemkę. Bólu fizycznego niema już zupełnie, straszna newralgia, męczące rany, spazmy albo konwulsye mięśni, wszystko opium zwycięża i łagodzi“.

Opium służy też w niektórych zdarzeniach dla zaspokojenia głodu, i praktyczne zastosowanie tego środka spotykamy u Muzułmanów w czasie ich surowego postu zwanego „ramadan“. W czasie tego postu, który trwa u nich przez 28 dni, wzbronionem jest używanie pokarmu, jak również picie i palenie codziennie od wschodu do zachodu słońca. Można sobie wyobrazić, jak ciężko przenieść takie głodzenie się, które trwa od 18—19 godzin! I oto, żeby, choć trochę

ulżyć cierpieniu, które powstaje od takiego głodu, niektórzy mahometanie, szczególnie Turcy, używają opium. Po posiłku, który otrzymują tylko wieczorem o wschodzie księżyca, spożywają małe pigułeczki zrobione z opium, zawinięte w cienki papier, w miarę tego jak głód poczują, i w ten sposób post ten nie jest dla nich bardzo męczący. Ilość opium, którego zażywają w ten sposób, dochodzić może do 3-ch gramów, lecz dłuższe przyjmowanie może się szkodliwie odezwać na zdrowiu.

Inny użytek opium jest palenie takowego. Zwyczaj ten powstał najpierw u Muzułmanów, szczególnie w Arabii. Palenie to było jakby zamianą, wzbronionego w tych krajach podług przepisu Mahometa, używania wina i wogóle rozmaitych trunków upajających. Lecz w tym razie można słusznie powiedzieć, że djabła zamieniono na Belzebuba, bo opium, nazwane przez mahometan „*Masz — Alla*“, darem bożym, jest w istocie w skutkach swych, o wiele gorszy od wszelkich win.

Palenie opium w krótkim bardzo czasie rujnuje zdrowie i zamienia miliony ludzi w idiotów i niewolników swej namiętności. Żeby pojąć całą okropność tej strasznej trucizny intelektu, trzeba przeczytać wiersze dwóch znanych poetów angielskich, Kolridża i de- Kinse, którzy ulegli wpływowi tej siły demonicznej, przeczytać opis tej strasznej walki, jaką toczyć musieli, żeby się z pod jej wpływu wydobyć, i tych mąk straszliwych, jakie przeżywali wskutek stopniowego zanikania sił i zdrowia.

Z początku przygotowaniem opium do palenia zajmowała się Turcyja i po części Arabia, lecz następnie głównem środowiskiem jego wyrobu stały się Indie, gdzie praktyczni Anglicy, pojmując jaki olbrzymi zysk mogą mieć, handlując tą trucizną, poczęli ją produkować w ogromnej ilości i wywozić w kraje mahometańskie, szczególnie do Chin, których mieszkańcy, zaznawszy przyjemności tego palenia, poczęli ją uprawiać. Było to około 1740 roku, za panowania prezydenta Wellera i pułkownika Watsona, których imiona wstawiły się w historyi przez prowadzenie tego najsromotniejszego handlu, po handlu niewolnikami.

Samo palenie odbywało się w ten sposób: kulka, ważąca 10—15 centygramów opium, wkłada się do fajki z długim cybuchem. Paląc się, opium podnosi się aż do samych brzegów fajki, tak że trzeba co chwilę przepychać je igłą, żeby dać dostęp dla powietrza. Oprócz tego, ponieważ opium pali się z trudnością, więc trzeba wciąż podnosić do niego płomień świecy i w ten sposób podtrzymywać palenie.

Dym wciąga się powoli i wypuszcza się, zatrzymawszy go jak można najdłużej w sobie. By taką kulkę wypalić, potrzeba na to od 20 — 30 pociągnięć, spali się zaś mniej więcej w jedną minutę.

Ilość palaczy opium w Chinach jest obecnie olbrzymia. Najbogatsi mandaryni palą go zarówno jak i biedni tragarze. W paleniu opium znajdują tę samą przyjemność, jak my w paleniu tytoniu i powiadają,

że umiarkowane palenie opium nie jest nawet zbyt szkodliwym. Inaczej niestety dzieje się z tymi, którzy dziennie wypalają do 200 fajek. Palenie takie odbywa się zwykle w fajczarniach, urządzonych dla prostego ludu, który może namiętność swą zadowolnić za niską stosunkowo opłatą. Fajczarnie te, zwane przez Anglików „opium shops“ buduje rząd chiński, zniewolony przez Anglików pod groźbą wojny. Szyldem dla tych fajczarni jest przyklejony u wejścia arkusz żółtego papieru, który używa się do filtrowania opium. Wnętrze tej knajpy jest wprost odrażające.

Proszę sobie wyobrazić, — mówi Rambossen, — ciemną, ponurą wilgotną szopę, której drzwi są zamknięte, a okna szczelnie zakryte okiennicami. Jedyne oświetleniem tej budy są słabo migocące światła lampek, któremi opium się rozpala. Na ścianach porozwieszane są świstki, na których są wypisane zdania Konfucjusza.

Wszędzie rozstawione są przenośne łóżka, na których palacze się kładą, żeby się oddać swym marzeniom. Wchodząc do takiej budy, czuje się gryzący, dławiący dym palącego się opium.

W takiej knajpie można się spotkać z całemi dziesiątkami palaczy, przed którymi stoją filiżanki herbaty. Jedni o mętnych oczach i błędnym wzroku, zdają się przebywać w innym zupełnie świecie, inni przeciwnie są niezmiernie gadatliwi i są jakby pod wpływem silnego podrażnienia. Twarze ich okryte są chorobliwą bladością, oczy zapadłe, podkrążone

sinemi obwódkami, język się płacze, nogi wypowiadają posłuszeństwo, jak u pijanych. Jedni leżą, gasząc od czasu do czasu herbatą palące ich pragnienie; inni ruszają się jeszcze trochę, wymachując rękami i krzycząc. Po pewnym czasie wszyscy zapadają w sen głęboki, który trwa, zależnie od ilości wypalonego opium i od organizmu palacza, od 2 — 12 godzin. Sen zaś ten podobno budzi rozmaite senne widziadła, przyjemne lub straszne.

Zbudzenie się ze snu takiego bywa zwykle bardzo ciężkiem i głowa jest jakby ołowiem nalana, język zbieleły i opuchnięty, czuje się brak apetytu i ból w całym ciele. I jak pijak, tak i palacz opium, czuje natychmiast po przebudzeniu potrzebę nowego podrażnienia nerwów za pomocą palenia opium. Znowu więc zapala fajkę i znowu z nim się dzieje to samo, i tak bez końca. Taki palacz namiętny kończy paraliżem, albo rozdrażnienie nerwów dochodzi do tego stopnia, że staje się niebezpiecznym w tym szale, którego symptomata są podobne do białej gorączki. Podobno na wyspie Jawie, władze zmuszone były wydać rozkaz zabijania takich niebezpiecznych palaczy. Starożytne narody zwróciły jeszcze uwagę na nadzwyczajną płodność maku (główka makowa zawiera przeciętnie 30.000 ziarenek) i z tej przyczyny mak służył u nich jako symbol urodzaju. I dlatego był on nieodstępnym towarzyszem Hery (Junony), bogini urodzaju i małżeństwa, której świątynie i posąg na wyspie Samos były zawsze ozdobione główkami maku.

Oprócz tego, z makiem wyobrażany był jeszcze Merkury, który trzymał go zawsze w lewym ręku.

W Niemczech jest zwyczaj w niektórych miejscowościach sypać do bukiecików młodej mężatki ziarna makowe, jako życzenie, żeby nie była bezdzietną. Oprócz tego zwyczaju, są jeszcze inne przesady i wierzenia, w których mak rolę odgrywa. Tak na przykład, w Niemczech powiadają, że jeżeli o północy przed Bożem Narodzeniem stanąć na rozstaju z moździerzem, w którym jest mak nasypany i trzy razy uderzyć tłuczkiem, to z tych głuchych dźwięków można wywnioskować co będzie w następnym roku. W Poznaniu przygotowują z maku, mleka i sucharów z chleba coś w rodzaju klusek i jedzą je potem, bo wierzą, że to przynosi szczęście na cały rok w domowej gospodarce. Zwyczaj ten jest tak rozpowszechniony wśród wieśniaków, że tego wieczoru niema ani jednej wieśniaczej chaty, w którejby nie podano tej potrawy z gęsią i smażoną szwininą. W Niederzeidlitz'u złożyło się nawet przysłowie: „So viel Pilchen, so viel Hülchen“, ile klusek tyle gęsiąt.

Wierzą też w Niemczech, że makowe ziarnka mogą uczynić fuzyę taką, iż z niej ani jeden strzał nie chybi. W tym celu, podług przepisu, który się znajduje w pewnej książce, wydrukowanej w XVII stuleciu, trzeba tylko włożyć do paszczy pierwszej żmiji, którą się zabiło w tym roku, jedno makowe ziarnko i zakopać do ziemi tę głowę tak, żeby z ziarna tego mógł znowu mak wyrosnąć. Wtenczas każde ziarnko,

które się otrzyma z główek makowych, będzie tę moc posiadało. Jeżeli się takie ziarno włoży do fuzyi razem z kulą, to można być pewnym, że ani jeden strzał nie chybi.

W Niemczech, jak również i w Małorosyi wierzą, że mak jest środkiem, który więdźmy odpędza; i jeżeli, — mówi to wierzenie, — nasypać maku koło domu lub chlewu, to ani jedna więdźma nie będzie mogła tam wejść, dopóki wszystkich ziarenek nie zbierze. Więc im więcej maku się nasypie, tem lepiej.

Mak służy również w Niemczech, jako środek do zaklęć. W Turynгии naprzykład jest podanie, że zawdzięczając temu zaklinaniu, zginęły znane niegdyś bogate kopalnie złota. Podanie to mówi, że matka jednego górnika, niewinnie oskarżonego okradzież złota i za to ściętego —, napełniła pół kubka ziarnami maku i udawszy się na miejsce, które najbardziej było w złoto obfite, wysypała na nie swe ziarna. Wysypując, rzuciła przekleństwo, żeby wszystkie kopalnie złota zginęły i zostawały opuszczone tyle lat, ile ziarenek maku kubek zawierał. I natychmiast, mówi podanie, potoki górskie zatopiły całą miejscowość, kwitnący zaś przez czas długi przemysł złotodajny zginął na zawsze.

Jest także ciekawe wierzenie w niektórych miejscowościach Niemiec, że mak rośnie zawsze obficie na polach bitew. Za tło do tego ludowego podania posłużyła barwa kwiatu. W rzeczywistości jednak, obfitość maku na takim polu łatwo daje się objaśnić

tem, że na takich pobojuwiskach wieśniacy niezbyt chętnie bydło paszą i wskutek tego mak ma więcej czasu na dojrzewanie, następnie zaś rozsiewając co roku obficie swe liczne nasiona, okrywają z czasem całkowicie te pola swymi jaskrawymi kwiatami. Lud jednak powiada : „To nie są kwiaty, lecz krew zabitych, która się ku nam z ziemi podnosi i, zamieniwszy się w krwawe kwiaty maku, prosi, byśmy się za ich grzeszne dusze modlili“. Widocznie stąd też pochodzi we Flandryi i Brabancie straszenie dzieci, by nie chodziły po polach makowych dlatego, że kwiaty maku krew wysysają. Sam kwiat nazywa się tutaj „*sprokelloem*“ — kwiaty duchów.



NIEZAPOMINAJKA.

(*Myosotis palustris*).



RZEŚLICZNA, Z NIEBIE-
skimi, jak 'turkus, listka-
mi i z jaskrawym żółtym,
jakby ze złota ulanym śro-
deczkiem, niezabudka jest naj-
milszym naszym kwiatem wio-
sennym. Najbujniejsze, o bar-
wie najpiękniejszej, są tak
zwane błotne niezabudki, które rosną na łąkach wil-
gotnych i nad rowami. Bukiet, z takich prześlicznych
niezabudek ułożony, jest nadzwyczaj piękny, i kwiaty
stają się jeszcze piękniejszemi, gdy je rozwiązać i uło-
żyć w postaci wianka na głęboki talerz z wodą, umie-
ścić w środku kamień, któryby ich gałązki zlekka
przyciskał. Tak umieszczone niezabudki mogą trwać
całemi tygodniami, należy tylko często zmieniać
wodę.

Swą dziwną nazwę naukową „*Myosotis*“, która
w przekładzie oznacza „Mysie uszko“, prześliczny ten

kwiatek otrzymał od kształtu swych listków, włoskami okrytych, które przy rozwijaniu się z pączka, mają w istocie niejaki podobieństwo do mysiego uszka. O pochodzeniu niezapominajki, starogrecka legenda głosi co następuje:

Likas i Egla byli najpiękniejszą parą ze wszystkich pasterzy i pasterek Arkadyi, na wybrzeżu rzeki Alfy, — miłość zaś ich i wierność weszły nawet w przysłowie. Lecz oto, pewnego razu Likas otrzymał surowy rozkaz od ojca, wrócić natychmiast do domu, by objąć spadek, który mu umierający wuj zapisał. Wtenczas w sercu biednej Egli budzi się nagle trwoga, by Likas jej ukochany o niej nie zapomniał, stając się bogatym, i nie zakochał się w którejś ładnej mieszczce, tembardziej, że dużo już o tem słyszała od starych pasterzy, którzy w mieście bywali. Lecz ona niechce się z nim dzielić swemi przypuszczeniami i nie ostrzega go przed niebezpieczeństwem dlatego, że boi się go obrazić brakiem zaufania, tymczasem jednak ból jej serce rozrywa....

Nadeszła chwila rozstania. Likas ściska mocno rękę Egli i przytula ją czule do siebie. Wzruszona do głębi duszy Egle, nie może od płaczu się powstrzymać i kilka łez spływa z jej cudnych oczu, a lzy te padają u stóp jej na trawę. I o cudo! Każda z tych łez zamienia się w niebieski, jak jej oczy, kwiatek. Były to pierwsze niezabudki. Egle poczyną je zrywać i milcząc oddaje je swemu ukochanemu, lecz Likas pojmuje dobrze ich znaczenie, bo nazywa je „nie zapomnij o mnie“.

O działaniu tego kwiatka na serca zakochanych
Göthe tak mówi :

„Wenn sie ein blaues Blümchen bricht
Und immer sagt : Vergiss mein nicht!
So fühl ich's in der Ferne.
Und wenn mir fast das Herze bricht,
So ruf ich mir : Vergiss mein nicht!
Da komm' ich wieder in's Leben.

(Gdy ona zrywa niebieski kwiatek i mówi : nie zapomnij o mnie, to ja odczuwam to zdaleka. A gdy serce mi się rozrywa i mówię „nie zapominaj o mnie“, to czuję się jakby na nowo odrodzonym).

Pewne austriackie podanie opowiada co następuje :

Dawno już, bardzo dawno, w piękny poranek wiosenny, poszli sobie narzeczeni na przechadzkę i doszli aż nad brzeg Dunaju. Nagle młoda dziewczyna ujrzała na brzegiem urwiska nieznany jej dotąd prześliczny kwiatek, który dopiero co rozkwitł i poprosiła narzeczonego, by jej go zerwał. Młody chłopak nachylił się nad urwiskiem, zerwał kwiatek, lecz w tej chwili, gdy się podnosił, noga mu się pośliznęła i, straciwszy równowagę, wpadł do rzeki. Woda była głęboka, pomocy zaś nie było żadnej. Daremnie biedna dziewczyna, dobywając sił ostatka, wołała o pomoc, daremnie młodzieniec walczył z prądem, trzymając się na wo-

dzie, — nikt się nie odezwał. Wynurzywszy się raz jeszcze z wody, biedny chłopak zdążył tylko zawołać swej ukochanej: „Nie zapomnij o mnie“ i poszedł na dno. Gdy w kilka dni później wydobyto jego ciało, to w zaciśniętych kurczowo palcach znaleziono zerwaną roślinę o prześlicznych niebieskich kwiatach. Młoda dziewczyna, nieutulona w rozpacz, pochowała narzeczonego, a na mogile jego posadziła ten kwiatek, który odtąd otrzymał nazwę, złożoną z ostatnich słów tego, który tak młodo w falach rzeki zginął.

Takie są podania o pochodzeniu nazwy tego prześlicznego kwiatka, lecz prawdopodobnie otrzymał on swą nazwę od cudownej swej barwy niebieskiej, która tak żywo przypomina barwę niebieskiego sklepienia, rozciągającego się w nieskończoność, i wśród którego umysł mistycznie nastrojony wierzącego człowieka, stara się wyszukać miejsce pobytu dla swej duszy nieśmiertelnej; bo nie należy zapominać, że w człowieku żyje idea nieśmiertelności, jako spełnienie obietnicy, włożonej przez Stwórcę w jego duszę, tej obietnicy, której spełnienia on oczekuje i o której nigdy „nie zapomina“. Podobne tłumaczenie najlepiej objaśnia to ciekawe zjawisko, że kwiatek ten u wszystkich chrześcijańskich narodów nosi ogólną nazwę „niezabudki“.

W Niemczech, w wierzeniach ludowych, niezabudka odgrywa tę samą rolę, jaką przypisują wielu innym kwiatom, a mianowicie, że ona odnajduje skarby ukryte.

Jeżeli ktokolwiek, sługa czy rycerz, lub nawet dziecko, znajdzie wypadkowo ten kwiat na drodze, to wystarczy mu podejść do najbliższej skały i dotknąć się do niej znalezionym kwiatkiem, a skała wnet się otworzy i przed zdumionym wzrokiem jego ukaże się cudowna jaskinia cała złotem, drogimi kamieniami i różnemi innemi skarbami napelniona. W tym czasie tajemniczy głos jakiś mówi, że wszystko to można zabrać, że wszystko to jest własnością tego, kto ów kwiatek posiada, lecz że nie należy zapominać zabrać to, co jest najlepsze, a jest nim właśnie zerwany kwiatek „niezabudka“. Lecz chciwy na bogactwo człowiek stara się zwykle wypchać kieszenie złotem i kosztownościami, a upojony niespodzianem szczęściem, wychodzi, zapominając o ostrzeżeniu, — nie zapomnieć kwiatka.

„Nie zapominać tego, co jest najlepsze“, — powtarza mu znowu głos tajemniczy w chwili wyjścia jego z jaskini. I wtenczas dopiero przypomina on błąd popełniony i, chwytając się z przerażeniem za głowę, śpieszy z powrotem do jaskini. Lecz jest już zapóźno: skała się zamyka, a od wejścia do groty nie zostaje już ani śladu. A tymczasem okazują się skutki tego nieposłuszeństwa i nie zważania na słowa przestrogi: zamiast złota, z kieszeni sypią się śmiecie, a zamiast drogich kamieni — żwir i piasek.

Innem niemieckiem wierzeniem jest pewien przesądny zwyczaj, który dotąd jeszcze w Styryi się pra-

ktykuje, — a mianowicie, jest to zamawianie smutków serdecznych za pomocą niezabudki.

Jeżeli zakochany młodzieniec nie może dla jakichś przyczyn ożenić się z ukochaną dziewczyną, a tymczasem miłość jego jest tak silna, iż on jej zmódz nie może, to na tę biedę poradzić może niezabudka. Powinien tylko wieczorem, po zachodzie słońca, w dzień św. Jana Chrzciciela, wziąć pasmo włosów ukochanej dziewczyny, lub darowany przez nią kwiatek zasuszony (przeważnie niezabudkę), albo wogóle jakąś rzecz przez nią na pamiątkę mu ofiarowaną i zrobiwszy dół w ziemi gwoździem od trumny, zakopać ten przedmiot, powtarzając :

„O, miłości moja, oto trzymam cię w ręku i zakopuję. Odejdź precz z mego serca wraz z wiernością i smutkiem“.

Zwykle, pochowana w ten sposób miłość, — mówi dalej to wierzenie, — mija szybko i opuszcza serce. Nieraz jednak w lesie, w tem miejscu, gdzie była pochowana, wyrasta niezabudka. To już zły znak. To znaczy, że miłość źle została pogrzebaną i znowu zbudzić się może.

Podług rozpowszechnionego w południowych Niemczech wierzenia, niezabudki wyrastają też na mogiłach dzieci niechrzczonych, jakby przypominając im, czyli raczej ich rodzicom, że zapomnieli spełnić ten niezbędny dla wszystkich obowiązek. Mówią też, że te kwiaty pojawiały się na mogiłnych kurhanach, pod którymi spoczywali rycerze, zabici w bitwie przy

Lucenie w czasie 30-letniej wojny, i że te kwiaty prosiły tych, co przy życiu pozostali, by niezapominali modlić się za poległych.

Niezapominajkę uważają też w wielu okolicach Niemiec, jako kwiatek czarodziejski, za pomocą którego można się dowiedzieć, jak będzie na imię przyszłej narzeczonej lub narzeczonemu. W tym celu nie należy szukać niezabudki, lecz skorzystać z tej, którą się wypadkiem znalazło na drodze. Taką niezabudkę należy położyć na ciało pod pachę i nie mówiąc ani słowa, iść do domu. I oto imię pierwszego mężczyzny, lub kobiety, których się spotka na rozstajnej drodze, będzie imieniem przyszłego lub przyszłej.

W wiekach średnich, niezabudce przypisywano też i religijne znaczenie. Imię tego kwiatka było nieustannym wspomnieniem o Bogu. Myśl ta wyrażoną była często symbolicznie na wycięciach z drzewa, które wyobrażały z siebie Oko Opatrzności, wiankiem z niezabudek otoczone, wraz z napisem: „Pamiętaj o mnie“. Wogóle ten malutki, niebieski kwiatek ma w sobie dziwny urok, któremu podlega mimowoli każdy człowiek, skłonny do uczuciowości. Jest to kwiatek tęsknoty, symbol wiernej miłości pomiędzy mężem, a żoną, i dlatego stara pieśń ludowa tak o nim śpiewa:

„Oto kwiatek niebieski, zowią go niezabudką. Połóż ten kwiatek na sercu i myśl o mnie. Jeżeli zginie kwiatek, to zginie i nadzieja, bo my tak pełni jesteśmy wzajemnej miłości, iż możesz mi wierzyć, że ona nigdy w mem sercu nie zgaśnie“.

Dlatego więc niezabudka cieszy się w Niemczech wielką miłością ludu, i w wielu okolicach Niemiec, w szkołach ludowych jest zwyczaj robić wycieczki całem towarzystwem do lasu po niezabudki. Zwykle w tym dniu zajęcia trwają w szkole tylko do południa, poczem wszystka dziatwa z wesołym gwarem i piosnkami, pod opieką nauczyciela, udaje się do pobliskiego lasu, w którym najobficiej rosną i kwitną niezabudki. Potem każdy chłopiec i każda dziewczyna starają się zbierać jak najwięcej kwiatów i ozdabiają nimi włosy, czapki i ubrania. Cały dzień ten dziatwa spędza na śpiewach i zabawach. Wieczorem zaś o zachodzie słońca cała szkoła wraca uroczyście do domu, i każdy uczeń niesie zbierany przez siebie bukiet, który natychmiast stawia do naczynia z wodą.

Dorośli urządzają też często podobne przechadzki, w których biorą udział całe rodziny, i starzy i młodzi, gospodarze i służba, słowem, wszyscy bez wyjątku. Spacery zaś takie odbywają się co rok od niepamiętnych czasów, a zbierane na tych wyprawach niezapominajki i potem zasuszone, przechowują się troskliwie aż do następnej wiosny.

Na tych przechadzkach wszyscy starają się zbierać jak najwięcej kwiatów. Robią z nich bukiety, wija wianki i girlandy i zdobią nimi siebie i dzieci. Piją kawę, jedzą ciastka i całe towarzystwo tak się mile zabawia, że przyjemne wspomnienie o tym wieczorze zostaje potem na długo. I na podobnych prze-

chadzkach zapomina się zwykle o troskach życiowych i każdy z całego serca oddaje się tej milej rozrywce. Lecz najsympatyczniejszą cechą tych przechadzek jest, że tu niema ani panów, ani sług, — że w tym dniu wszyscy są braćmi.

Lecz nietylko w Niemczech cieszyła się niezabudka miłością ludu, lubiano ją i w innych też krajach. I tak np., w okolicach Luksemburgu, jest malutka, nadzwyczaj bystra i jak kryształ przeźroczysta rzeczka, która nosi nazwę: „wodospadu czarodziejskiego dębu“, albo „kąpieli piękności“. Pierwszą nazwę otrzymała dla tego, że źródło, które jej daje początek, wypływa ze szmerem z pod korzeni starego, kilkusetletniego dębu. Brzegi tej romantycznej rzeki od lipca aż do sierpnia całe są okryte niezliczoną mocą prześlicznych, bujnych, jasno-niebieskich niezabudek, których liczba jeszcze się powiększa przez odbicie w kryształowej jej wodzie. I oto, w to urocze miejsce zbierają się zwykle w wolne chwile młode dziewczęta z miasta i, ozdobiwszy siebie wiankami z niezabudek, kąpią się, pluskają i krążą ze śpiewami, jak jakie nimfy z bajki; w ten sposób obchodzą uroczystość na cześć najad i rusalek dębu zaczarowanego.

Niezabudkę lubią też w Anglii, gdzie z nią jest połączona popularna bardzo uroczystość, znana pod nazwą święta „Królowej maju“.

Uroczystość „Królowej maju“ wiecie swój początek od czasów starożytnych, kiedy ludzkość młodsza jeszcze, więc bardziej poetyczna, niż za naszych

czasów, spotykała z radością i weselem, coroczny rozkwit przyrody po długiej, ciężkiej zimie i urządziła święto w cześć powrotu wiosny. Dla podobnej uroczystości był zwykle obierany dzień pierwszego Maja, jako dzień, w którym najczęściej przyroda cała przyodziewa swą cudną szatę wiosenną. W starożytnym Rzymie młodzi ludzie w wigilię dnia tego wychodzili o północy za miasto, w pola i do lasu i ponacinawszy zielonych gałązek, splatali z nich wianki, robili bukiety i przynosili je do miasta, żeby od rana ozdobić niemi drzwi domów, by miasto też mogło się cieszyć tą wiosną, która nawiedziła już pola i lasy.

I cały dzień tańczono i weselono się wokół wielkiego drzewa, posadzonego na cześć bogini kwiatów — Flory.

W wiekach średnich uroczystość ta nie straciła swego znaczenia, lecz inną trochę przybrała cechę. Zawierała się w ozdobieniu kościołów zielonemi gałązkami, w dziękczynnych modlitwach, które wznoszono do tronu Stwórcy za to, że pozwolił znowu doczekać radosnych dni odnowienia całej przyrody.

W Anglii, dokąd uroczystość ta przeszła razem z chrześcijaństwem, odprawiano ją bardzo wspaniale za panowania Henryka VIII-go, kiedy 1-go maja sam król i królowa z całym dworem, nie wyłączając nawet kardynała, opuszczali swój pałac i wraz z pojawieniem się pierwszych kwiatów, wyjeżdżali za miasto. W tym samym prawie czasie weszło we zwyczaj sadzić po wsiach i nawet po miastach „majowe drzewo“

przed domem najpiękniejszej dziewczyny, którą ogłaszano „królową maju“.

Stopniowo jednak zwyczaj ten począł zanikać i znikłby może zupełnie, żeby nie przyszło na myśl znakomitemu angielskiemu myślicielowi, Dżonowi Beskinowi, wskrzesić go znowu w szkołach. Za jego to inicjatywą święci się teraz uroczystość „Królowej maju“ we wszystkich żeńskich szkołach w Anglii i Irlandyi. Uroczystość zawiera się w wyborze „królowej maju“, którą obiera się nie tyle za piękność, ile za postępy w naukach, najbardziej zaś za ogólną miłość, na którą dobrym swym sprawowaniem się zaślubiła. Już od samego rana kaplica szkolna, podwórze i wszystkie pokoje są ozdobione kwiatami, przysłanymi ze wszystkich krańców Anglii. Gdy już wszystko jest gotowem, uczennice śpiewając: „Wszystko się w około zieleni i weseli“, wchodzi w uroczystej procesyi do kościoła. Królowa jest już ubraną, lecz imię jej zostaje jeszcze w tajemnicy. W czasie śpiewów zjawia się przeszłoroczna królowa, którą zeszłego roku na wiosnę obrano. Jest ona z wiankiem kwiatów na głowie, w stroju, który się zwykle na tę uroczystość wkłada. Koleżanki witają ją radośnie i, stojąc w dwa rzędy i trzymając w ręku girlandy z kwiatów, przepuszczają ją pod arką kwiecistą, na miejsce dla niej przeznaczone. Jeszcze chwil kilka mija, jeszcze kilka ostatnich akordów kona w powietrzu i procesya się zatrzymuje, ostatni hymn daje się słyszeć... i już się kończy panowanie tej, która przez rok cały była

królową. Wtenczas królowa, zwracając się do swych poddanych z przemową, dziękuje im i wychwala ich dobre cechy charakterów; potem jedna z najbliższych jej towarzyszek zdejmuje z jej głowy zwiędły królewski wieniec — koronę i zamienia go na wianek z niezapominajek, bukiet zaś z tych kwiatów daje jej do ręki. Niech nie zapomina roku swego panowania, niech jej na wieki zostanie w pamięci to, że zaszczytny tytuł nosiła za swe cnoty i za miłość wszystkich swych towarzyszek.

Po ukończeniu tej ceremonii ogłasza się koniec dawnego panowania. Nowa królowa przy głośnych okrzykach i ogólnej radości, wchodzi uroczyście na tron dla niej przeznaczony, a towarzyszki jej przechodzą przed nią, witając ją i otrzymując z jej rąk nagrodę — prześlicznie oprawione dzieło D. Rëskina. Nagrody rozdają się nie podług konkursu, lecz podług woli królowej. Jednej daje za to, że zawsze wierną była dla swych towarzyszek, innej znowu za to, że dobrze muzykę posiada, trzeciej — za jej wesołość i miły charakter i t. d.

Przyjmując podarunki, towarzyszki całują królowę w rękę.

Potem następuje Msza św., a po jej ukończeniu, urządzi się, aż do wieczora trwająca, wesoła zabawa, na której pierwsze miejsce zajmuje królowa.

Lecz o wiele wcześniej przed wprowadzeniem uroczystości „królowej maju“, niezabudka miała już w Anglii swe znaczenie. Mówią, że jeszcze w 1405 r.

Henryk Lancaster wybrał ten kwiatek jako swój emblemat i będąc na wygnaniu, kazał go wyryć na łańcuchu „Orderu podwiązki“, wraz ze słowami: „Souvenez-vous de moi“.

Tak samo więc, jak róża jest historycznym kwiatem dla rodu Jork'u, jak lilia dla Stuartów i Burbonów, fiołek dla Napoleonów, tak niezabudka jest heraldycznym kwiatkiem dla Lancastrów.

Podług innych źródeł, pierwszy do Anglii wprowadził niezabudkę lord Skels, brat Elżbiety Woodwill, żony Henryka IV-go, któremu na turnieju, po jego zwycięstwie odniesionem nad rycerzem Burgundyi, obecne damy dworskie ofiarowały złoty łańcuch, ozdobiony niebieskimi emaljowanymi niezabudkami, na pamiątkę jego odwagi.

W Anglii też, jak również w innych krajach, obfite pojawienie się niezabudki na miejscu grzebania umarłych, uważanem było wśród ludu, jako upomnienie, przysyłane z tamtego świata przez zmarłych, by o nich nie zapomniano, — i mis Pratt w swym artykule o „bitwie pod Waterloo“ opowiada, że w rok po tej bitwie, niezabudki pokryły całemi masami pole walki, szczególnie w tych miejscach, które były przecone krwią angielską. Kwiaty te zdawały się chcieć mówić: „nie zapominajcie swych wiernych synów i braci, którzy za was głowy swe tu złożyli“! W Anglii o niezabudce pisano bardzo wiele, i prawie wszyscy pierwszorzędni poeci ofiarowali jej chociażby jeden ze swych utworów.

Nie mniejszą rolę odegrała niezabudka we Francyi, jako kwiat wspomnienia. I tutaj dają ją i chowają na pamiątkę. Znany pisarz francuzki, Hector Malot, w swym pamiętniku z krymskiej kampanii, którą jako wolontaryusz odbywał, opowiada następujące ciekawe zdarzenie: Było to w czasie bitwy przy Almie i Inkermanie. Idąc do ataku dla zdobycia silnej twierdzy nieprzyjacielskiej i myśląc o tem, że dzisiaj umrzeć może, wspomniął, że to był też dzień urodzin jego żony i przyszło mu na myśl, jakby się czuł szczęśliwym, żeby mógł ją powinszować. Nagle ujrzał tuż u nóg swoich w wilgotnym rowie, ogromną ilość prześlicznych niezabudek w pełnym rozkwicie. Zapominając o grożącym mu co chwila niebezpieczeństwie, nachylił się, by je zerwać. W tej chwili nad głową jego dał się słyszeć straszny świst, i on został od stóp do głowy obasypany ziemią i błotem. Podnosi się i widzi wszystkich prawie swych towarzyszy zabitych lub okaleczonych. Stało się to wskutek pęknięcia bomby, rzuconej ręką nieprzyjaciela. Żeby się nie nachylił po niezabudki, nie byłoby go już przy życiu, tak jak i jego towarzyszy...

We Francyi dużo poezyi jest poświęconej temu kwiatkowi, lecz najładniej mówi o nim poeta Aimé Martin w swych „Lettres á Sophie“.

Pour exprimer l'amour ces fleurs semblent éclore,
Leur langage est un mot — mais il est plein d'appas,
Dans la main des amants elles disent encore :
„Aimez — moi, ne m'oubliez pas“.

(Kwiaty te rozkwitły jakby dla wyrażenia miłości. Mowa ich zawiera się tylko w jednym słowie, lecz to słowo tyle ma uroku w sobie. W ręku zakochanych one mówią: „kochaj mnie i nie zapominaj!“) Na zakończenie dodać należy, że sok z niezabudek posiada dziwną własność hartowania stali. W tym celu trzeba tylko rozpalone do czerwoności stalowe ostrze noża, lub innego narzędzia, zanurzyć kilka razy do tego soku i trzymać dotąd, aż nie ostygnie zupełnie. Wtenczas stal robi się tak twardą, że można kroić nią żelazo i kamień do ostrzenia.

Powiadają, że w ten sposób przygotowywano stal, dla znakomitych toledskich i damasceńskich szabli.

W Hollandyi z tego soku przyrządzają syrop, który się używa, jako wyborny środek od kaszlu suchotniczego.



BARWINEK.

(*Vinca major*).



IE WIEM, CZY JEST NA świecie taka roślina, któraby była tak powszechnie znaną i miała w swym czasie taką sławę, jak niewielki, skromny, niebieski, o twardych, błyszczących jak u borówki, liściach, leśny kwiatek, który u nas nosi nazwę barwinka, Francuzi zaś nazywają go „*la pervenche*“. Żeby zerwać ten kwiatek i nim się nacieszyć, w końcu XVIII stulecia, szli do lasów i ogrodów młodzi i starzy, mieszczenie i mieszczeni, nadworni kawalerowie i damy, wyżsi urzędnicy i ministrowie, a nawet sami królowie. — A dla czego? Bo to był kwiat ulubiony Jean Jacqu'a Rousseau.

Biczujący bez litości całą ludzkość, nienawidzący w duszy najbliższych swych przyjaciół i widzący wszędzie tylko prześladujących go nieprzyjaciół,

stawał się on łagodnym, stawał się dzieckiem prawie, gdy tylko się przenosił w świat roślin.

Życie wśród nich, wśród przyrody, było ukojeniem, wypoczynkiem, odrodzeniem dla jego ducha zmęczonego i ciała. W roślinach widział on twór czysty i doskonały, jaki wyszedł z rąk bożych, twór jeszcze nie zepsuty, nie skażony dotknięciem człowieka. Wśród roślin dusza jego wypoczywała.

Lecz barwinek szczególnie był mu drogim, jako wspomnienie najszcześniejszych lat jego młodości, wspomnienie szczęścia straconego.

Będąc jeszcze młodzieńcem, prawie chłopcem, Rousseau, przygarnięty i ukryty od prześladowających go władz Szwajcaryi, przez miłą, serdeczną panią de Waran, zakochał się w niej bez pamięci i, stawszy się następnie jej kochankiem, uważał czas ten za najszcześniejszy w całym swym życiu. I oto, pewnego razu, gdy podróżowali razem z Chamberi de Le-Charmette na jednej spadzistej górze, chcąc dać odpocząć tym, co ją nieśli, pani Waran opuściła nosze i poszła z nim pieszo.

Nagle wydało jej się, że w krzakach mignął jakiś niebieski kwiatek. Był to śliczny barwinek. Pani de Waran podeszła bliżej i spojrzawszy na niego, zawołała: „Ah! voilà de la pervenche en fleurs!” W tym czasie Rousseau mało zwrócił uwagi na ten wykrzyknik i, cały zatopiony w rozmowie, poszedł dalej. Lecz chwila ta, jak to nieraz z nami bywa, widocznie głęboko do duszy mu zapadła, bo gdy w wiele lat pó-

źniej, herboryzował ze swym przyjacielem Dupayroux na malowniczej górze, niedaleko Newszatelu w Szwajcaryi, i spotkał w zaroślach ten kwiatek, to cała przeszłość szczęśliwa stanęła mu przed oczyma i zawołał z zachwytem: „Ah! voilà de la pervenche!“

Ten okrzyk radości wyrwał mu się z piersi z taką siłą dlatego, że te chwile szczęścia, o których wspomina, były w całym jego życiu bezbarwnem jedyne, które podług słów jego, dawały mu prawo mówić: „I ja też żyłem!“

Wszystko to Rousseau opisał w swej „Spowiedzi“, i kiedy to znakomite dzieło druk opuściło, i przeczytano w niem tę rzewną historję jego miłości, to cały Paryż udał się do znakomitego botanicznego ogrodu „Jardin des plantes“, gdzie rósł obficie barwinek, żeby napatrzeć się na ten błękitny kwiatek Rousseau, na ten kwiatek, który przypominał jego szczęśliwe chwile miłości. Tymczasem sława książki Rousseau rosła coraz bardziej. Czytano ją w miastach, na prowincyi i na wsi, czytała szlachta i prości mieszczanie, czytał każdy, kto umiał czytać we Francyi i razem z tem oczywiście, rosła sława barwinka. Każdy, kto książkę przeczytał, chciał choć raz spojrzeć na znakomity kwiatek utalentowanego pisarza, i wszyscy szli szukać go albo w lasy okoliczne, albo do ogrodów, lub na pola, — słowem wszędzie, gdzie miano nadzieję go znaleźć. A ponieważ sława „Spowiedzi“ przeszła granice Francyi i trafiła do innych krajów, więc i tam zaczytywano się tem dziełem, przejmowano się wzrusza-

jącą historią miłości Rousseau i jednocześnie interesowano się barwinkiem...

I oto w ten sposób nasz kwiatek stał się sławnym.

Lecz wszystko mija na świecie, i z czasem musiałaby też zgasnąć sława barwinka, musiałaby być zapomnianą łączność tego miłego kwiatka z losem wielkiego geniusza, żeby nie to, iż Szwajcarzy, czyli właściwie mówiąc mieszkańcy Genewy, postarali się o to, by przechować to wspomnienie. Żałując swego obojętnego zachowania się względem swego znakomitego rodaka, postanowili uwiecznić jego pamięć za życia jego, stawiając mu w jego rodzinnem mieście, Genewie, pomnik. Pomnik ten postawiono wśród cudnego jeziora, na malowniczej wysepce, która odtąd otrzymała nazwę wyspy J.J. Rousseau i postarali się otoczyć go tem, co mu za życia było drogiem.

Lecz cóż mogło mu być drogiem na świecie? Oczywiście, że tylko kwiaty dziko rosnące, a wśród nich, najbardziej kochany przez niego, barwinek. I oto mieszkańcy Genewy zasadzili barwinkiem całą przestrzeń u stóp pomnika i otaczające go klomby. I odtąd każdy, kto bywa w Genewie, odwiedza wyspę Rousseau (to jest obowiązkiem każdego turysty), podziwia ten kwiatek, wspomina historię miłości Rousseau i bierze jeśli chce, za pozwoleniem znajdującego się tutaj stróża, jeden kwiatek, na pamiątkę o wielkim myślicielu. Nie znać kwiatka Rousseau „la pervenche“, uważa się w Szwajcaryi za brak wykształcenia.

Barwinek cieszył się zawsze miłością niemieckiego narodu i był nawet rywalem niezapominajki, bo posiadał śliczną niebieską barwę i był też zwiastunem blizkiej wiosny, był jakby pierwszą jaskółką wśród kwiatów. A ponieważ oprócz tego, jego skórkowate, błyszczące, zielone liście były tak trwałe i odporne, że nie ginęły od chłodu i zachowywały swój świeży wygląd nawet pod śniegiem, to wkrótce z lasu był przeniesiony do ogrodu, jako symbol siły życiowej, a następnie na cmentarze, na drodze mogiły, jako znak wiecznej miłości i wiecznego wspomnienia.

Dlatego to nieustannie pragnący szczęścia, zawsze dążący do spełnienia pragnień człowiek, już oddawna przypisywał barwinkowi szczególniejszą czarodziejską siłę. Tak na przykład, Austriacy dotąd wierzą, że jeśli w nocy przed św. Mateuszem (24 lutego) dziewczyna rzuci wianek z barwinku do płynącej wody, a potem okręciwszy się parę razy na brzegu, złapie go z zawiązanymi oczyma, to wieniec ten będzie jej wiankiem ślubnym. Mieszkańcy zaś Hannoweru wróżą trochę inaczej. Wróżba ta też się odbywa w nocy przed św. Mateuszem, lecz hanowerskie młode dziewczęta splatają nie jeden, ale dwa wianki: jeden z barwinku, drugi ze słomy, i puszczają na wodę w dużym naczyniu. A oprócz tego na dno tego naczynia kładą jeszcze garść popiołu. Potem tej, która wróży, zawiązują oczy i ona musi się obrócić parę razy, a potem omackiem złapać płynące na wodzie wianki. Jeżeli złapie wianek z barwinku, to oznacza, że w tym roku wyjdzie

za mąż, jeżeli złapie wianek ze słomy, to jej grozi jakieś nieszczęście, jeżeli zaś dotknie się popiołu, to — śmierć.

Barwinek posiada też, według zdania Niemców, własność odpędzania złych duchów. Lecz w tym celu trzeba go zbierać w jesieni pomiędzy dwoma świętami na cześć Najświętszej Bogarodzicy, między 15 sierpnia, t. j. dniem Wniebowzięcia N. M. P. a 8-mym września t. j. dniem Narodzenia N. P. M. Jeżeli zerwany w tym czasie barwinek nosić przy sobie, to nad tym, kto go nosi, nie będzie miał żadnej mocy djabeł, ani żadna siła nieczysta, jeżeli zaś powiesić go w domu u drzwi, to wszystkie złe duchy nie będą miały siły dostać się do domu. I dlatego zerwany barwinek nie należy nigdy rzucać na podwórze do śmieci, lecz zawsze do ruczaju, żeby nie zginął od pragnienia. Posadzony w ogrodzie, barwinek przynosi szczęście, a włożony do bukietu — miłość niezmienną. Na tej zasadzie sadzą barwinek na mogiły drogich zmarłych, a splecione z niego wianki kładą w głowach zmarłych, bo wianki te mają jakoby moc zachowania ciała zmarłego od zepsucia.

Barwinek odgrywał też niemałą rolę i w średnich wiekach, gdy sądzono ludzi, obwinionych o konszachty z diabłem. Sędzia musiał, przyzywając diabła, zerwać listek barwinku i wymawiając imię obwinionego, lub podejrzanego, rzucić ten listek na patelnię z wrzącym tłuszczem. I oto, jeśli listek zostawał na patelni w tłuszczu, to podsądnego uniewinniano,

a jeżeli listek zeskakiwał z patelni, to znaczyło, że obwiniony sprzedał duszę swą djabłu i był zdolny do popełnienia różnych złych uczynków. W tem ostatniem zdarzeniu zakończenie sądu było okropne. Podsądnego obwiniano o czary, oddawano go na męki, a w końcu palono na stosie.

Wszystkie własności, przypisywane przez Niemców barwinkowi, są osnute przeważnie na jego dziwnej mocy i trwałości. Wszystkie kwiaty w bukiecie, w którym znajduje się gałązka barwinka, mogą zupełnie zeschnąć i zgnieć, lecz jeśli w naczyniu, w którym on stoi, zachowała się choć kropla wody, to gałązka barwinku będzie zupełnie świeża, a jeśli ją wyjąć i wsadzić do ziemi, to ona natychmiast wypuści korzenie i rozwinie się następnie w pyszną roślinę. Oto dlaczego Niemcy zowią go „Immergrün“ (wiecznie zielony) albo „Singrün“ — myśl niewiedząca). O pochodzeniu tej ostatniej nazwy opowiadają, co następuje:

Pewnego razu, kilka gałązek barwinku były włożone do flakonu z wodą razem z przepysznym bukietem róż. Róże kwitły, wydawały cudny aromat i budziły ogólny zachwyt, lecz wkrótce straciły barwę, zwędły i osypały się. Wtenczas szczątki tych róż wyjęto i zostawiono same tylko gałązki barwinku, które wciąż były zielone i wcale wędnąć nie chciały. Minął czas jakiś, gałązki puściły korzenie i poczęły rosnąć. Wtenczas wyjęto je z wody i posadzono do drewnianej podłużnej skrzynki z kwiatami, która stała na balkonie, a potem zupełnie o nich zapomniano.

Minęło lato, przeszła jesień, zima nadeszła. Kwiaty na balkonie straciły barwę, a skrzynka została śniegiem przypruszona. Zaczęły się zawieje i mrozy, ziemia stężała, wszystko zamarzło. Zdawało się, że i gałązki barwinku też zamarzły, i gdy wiosna nadeszła, to chciano je wyrzucić, wraz z innymi zmarzłymi kwiatami.

Lecz jakież było zdziwienie, gdy się okazało, że gałązki barwinku, nie tylko że były zupełnie zielone, lecz prawie całe były okryte prześlicznymi, niebieskimi kwiatkami. Wtenczas obecni zawołali: „One są wieczne, jak wieczną jest myśl“. (Sinn).

Znany niemiecki filolog, F. Sons, tłumaczy inaczej to słowo: „Sinn“. Według jego zdania, należy je pisać przez jedno „n“, jako staro-germańskie słowo „Sin“, które oznacza „wiecznie“, „trwale“.

Z barwinkiem połączonych jest niemało innych przesądów. W niemieckich Alpach wiją z barwinku wianki i wieszają nad oknami. Mówią, że to chroni od piorunu. Zaś w „Dreissigtage“, t. j. w przeciągu 30 dni od Wniebowzięcia do Narodzenia Najśw. Panny, według zdania Tyrolczyków, którzy dotąd wierzą w egzystencję wiedźm, barwinek pomaga do ich wykrycia. Wiedźmy, według ich zdania, chodzą zawsze z podniesioną do góry głową, czego jednak nikt widzieć nie może.

A więc jeśliby kto chciał ujrzeć taką wiedźmę, to powinien tylko powiesić wianek z barwinku nad drzwiami i wtenczas, jeżeli między obecnymi znajduje

się wiedźma, to ją łatwo odróżnić, bo będzie miała głowę zadartą do góry. Tylko w tym celu trzeba brać nie duży barwinek (*Vinca major*) lecz mały (*Vinca minor*), który nazywa się w Alpach także fiołkiem umarłych (*Todtenveilchen*), bo z niego zwykle wiją się wianki na mogiły. Barwinek taki, który ma posiadać moc wyżej wymienioną, musi oprócz tego leżeć jeszcze przez czas jakiś w kościele pod brewiarzem pastora.

Jeżeli zaś zerwać go w innym czasie, a nie w przeciągu tych trzech tygodni, to wiedźmy mogą go użyć dla siebie, żeby przyczynić śmierć bydłu domowemu, albo siać między ludźmi niezgodę.

Fiołkiem, albo kwiatkiem śmierci, nazywają barwinek może jeszcze dla tego, że w niektórych miastach szwajcarskich, na przykład w Zurichu, egzystuje jeszcze następująca bardzo dziwna, praktykowana przez dzieci, gra we wróżbę. Biorą kwiatek i ściskają go leciutko, w ten sposób, żeby pylniki wysunęły się z korony. Czyniąc to, dzieci powtarzają: „Śmierć, śmierć, wychodź natychmiast“.

I wiele razy ten, co wróży, wymówi słowo „śmierć“, nim pokaże się pylnik, tyle lat będzie żyć. Słowem jest to coś w rodzaju tego, jak u nas liczą, ile razy kukulka zakuka.

Barwinek, oprócz symbolu trwałości, uważany jest przez wielu za kwiatek zazdrości, zaś przyczynę takiego mniemania, Paolo Montegazza objaśnia następującą legendą:

„Kwitnąc najwcześniej — mówi Montegazza, — i zwiastując wiosnę, zarówno jak pachnący fiołek, barwinek uważał siebie za skrzywdzonego przez to, że wszyscy ludzie i bogowie zwracają uwagę tylko na fiołek, na niego zaś nikt nie spojrzy prawie, chociaż zawdzięczając ładnej formie listków i piękności kwiatów, wcale nie czuje się gorszym od fiołka i jeśli mu czego w porównaniu z fiołkiem brakuje, to tylko jego miłej woni. I oto, pewnego razu, kiedy Flora w postaci wiosny spuściła się na ziemię i, zachwycona subtelną wonią fiołka, poczęła go pieścić i nadać mu chciała wzrost większy, żeby mógł górować nad innymi kwiatami, nie zaś wonieć skromnie w cieniu innych roślin, nagle usłyszała cieniuchny, żałosny głosik:

„Kto tam się skarży?“ spytała Flora,

„To ja“, odrzekł barwinek.

„Cóż ci potrzeba, — czego tak lamentujesz?“

„Ja się skarzę na to, że ty, matka kwiatów, nie chcesz obdarzyć mnie swem łaskawem spojrzeniem i zapominasz o mnie, obsypując jednocześnie pieśczołkami fiołek, czyniąc mu tak zaszczytne propozycje“.

Flora spojrzała na malutką roślinę, której wcale nie знаła, a może poprostu o niej zapomniała, bo wszak nawet bogowie nie mogą zapamiętać wszystkie do życia powołane stworzenia — i spytała:

„A jak się nazywasz?“

„Mnie wcale nie nazywają, odrzekł barwinek, — ja nie mam jeszcze żadnego imienia“.

„W takim razie czegoś chcesz?“

„Ja chciałbym też mieć miłą, subtelną woń, jak fiolek. Daj mi ją, Floro, a będę ci za to bardzo, bardzo wdzięcznym“.

„No, tego, niestety, dać ci nie mogę, odrzekła Flora. — Cudną tę własność otrzymuje roślina w tę tylko chwilę, kiedy powstaje na świat z rozkazu Stwórcy i otrzymuje ją wraz z pierwszym pocałunkiem tego geniusza, któremu ją strzedz rozkazano. Ty zaś urodziłaś się bez zapachu“. „No, to w takim razie, udziel mi jakiegoś daru, któryby mnie zrównał z fiołkiem, do którego jestem nawet trochę podobny barwą swych kwiatów. On jest przez wszystkich lubiany, mnie zaś najczęściej mijają obojętnie“.

„Dobrze, odrzekła bogini, — kwitnij więc dłużej, niż fiolek, kwitnij nawet wtenczas, kiedy fiolek już dawno żyć przestanie“.

„Dziękuję, Floro, jest to dar wielki. Teraz gdy zakochani w cienistych ustroniach w ogrodzie, nie znajdują więcej fiołka, to może na mnie zwrócą uwagę i, zwrawszy mnie, przypną zrobione ze mnie bukieciki do swej piersi, do serc swych tętniących miłością“.

„Być może“ — odrzekła bogini.

„Lecz o jedno jeszcze chciałbym cię prosić, — ciągnął dalej barwinek, uczyni me kwiaty bujniejszymi, niż kwiaty fiołka“.

„Dobrze, i to też mogę uczynić. Niech twe kwiaty będą bujniejsze od kwiatów fiołka. Wielkość jest przeciwieństwem głębokości. Zewnętrzna wielkość jest przeciwieństwem głębokiej treści wewnętrznej“.

I mocno poruszona natrętnem naleganiem małej rośliny, Flora chciała się oddalić, lecz kwiatek zdawał się być jeszcze nie zupełnie zadowolonym.

„No, czegoż chcesz jeszcze? — rzekła Flora, — wszak otrzymasz bujniejsze kwiaty, niż fiołek, będziesz kwitł dłużej niż on, czy ci tego jeszcze za mało?”

„Nie Floro, — jeżeli już jesteś tak na mnie łaskawa, to daj mi jeszcze imię, — daj jakąś nazwę. Wszak bez imienia jestem jak włóczęga”.

Zamiast tego, żeby się rozgniewać, Flora uśmiechnęła się tylko.

„Dobrze, roślinko — rzekła — to jest bardzo łatwe, — będziesz się nazywała „*Pervinca*“ „zwycięzka“, od łacińskiego słowa „zwyciężam“, bo ty chcesz koniecznie zwyciężyć skromniejszą i piękniejszą swoją sąsiadkę. Niech więc imię twoje będzie określeniem twego zazdrośnego charakteru”.

I odtąd nasz barwinek nosi nazwę „*Pervinca*“, albo *Vinca*, która następnie przeszła do nauki.

Barwinek grał jeszcze rolę w wierzeniach ludów słowiańskich. Legendy niektóre mówią naprzykład o tem, że czasem kwiaty i rośliny, urosłe z pogrzebanych trupów zabitych osób, głoszą o zbrodni spełnionej. Tak, naprzykład, w pewnej legendzie mówi się o tem, że boże drzewko, mięta i barwinek wyrosły z popiołów trzech sierót, zabitych i spalonych przez złą macochę.

O tej macosze zmarłe dziatki tak mówią:

„Spaliła nas na drobny popiołek,
„Posiała nas w ogródku,
„A z nas trzy roślinki wyrosły :
„Pierwsza roślina — była boże drzewko,
„Druga roślina — mięta pachnąca,
„A trzecia roślina, barwinek zielony“



CHRYZANTEMA.

(*Chrysanthemum*).



AŁO MOŻNA ZNALEŹĆ kwiatów, któreby tak szybko potrafiły zdobyć sobie ogólną sympatię, jak japońska chryzantema. Nie tak dawno jeszcze chryzantema była ulubionym kwiatem tylko Chin i Japonii, my zaś posiadaliśmy najwyżej dwie lub trzy odmiany. A teraz ile już mamy odmian i gatunków najrozmaitszych odcieni! Kwiaty są albo zwinięte, jak kędziory, albo płaskie jak astry, albo kosmate, to znów gładkie, malutkie, jak guziczek, lub ogromne, jak słonecznik, słowem, różnorodność bez końca. Barwa ich, co prawda, jest bardzo skromną i graniczy pomiędzy żółtawo-białą i ciemno-pąsowo-brunatną, lecz odcieni jest bardzo dużo. Są paljowe, słomkowo-żółte, bladoróżowe, brązowe, bure, ciemno-pąsowe i tak bez końca...

Chryzantema jest ulubienicą Japonii, gdzie ją uprawiają od niepamiętnych czasów. Jest to kwiatek narodowy i wszyscy go kochają, poczynając od mikado, aż do dżinrikszów, którzy służą jako konie pociągowe.

Wyobrażenie tego kwiatu jest świętością i może być odbite tylko na tych materyach, z których się robią szaty cesarskie. Jeżeli kto ze zwykłych śmiertelników odważy się to prawo przestąpić, śmiercią zwykle bywa karany. Śmiercią bywa karany i ten, ktoby dla swych celów pozwolił sobie użyć tego emblematu państwa japońskiego i symbolu władzy królewskiej, i dlatego rząd japoński używa wyobrażenia tego kwiatu, by zapobiedz podrabianiu pieniędzy i papierów państwowych.

Tak, na przykład, kilka lat temu, dyrektor rządowej drukarni marek państwowych kazał odbijać na markach chryzantemy, żeby nie dopuścić do fabrykowania starych marek pocztowych, które chętnie i za wielkie pieniądze nabywają cudzoziemcy, amatorowie urządzania kolekcji z marek. Lecz chytry podrabiacze zręcznie rząd oszukali.

Wiadomem jest to, że rząd ma pod swą wyłączną opieką symboliczną chryzantemę o 16-tu listkach. Japońscy zaś malarze, bardzo zręczni w podrabianiu, stworzyli doskonałą seryę starożytnych marek pocztowych, lecz wyobrażali kwiatek tylko o 14 i 15-tu listkach. Jeśliby kwiat posiadał 16 listków, to podrabiaczom groziłoby „charakiri“, lecz za chryzantemy o większej lub mniejszej ilości listków, nikt nie miał

prawa ich prześladować — i oni najspokojniej w świecie zbywali za dobre pieniądze podrabiane marki niedoświadczonym amatorom marek japońskich.

Co się tyczy podrabiania prawdziwej państwowej chryzantemy o 16 listkach, to Japończycy, mając głęboką cześć dla wszystkich praw swej ojczyzny, nie starali się nigdy je złamać, i nie było dotąd przynajmniej przykładu, by chciano próbować podrabiać ten święty dla nich kwiatek. Wyobrażenie tego kwiatu znajduje się na sztandarze narodowym, na monetach i na najwęższym japońskim orderze, który nosi nawet nazwę „orderu chryzantemy“.

Przyczynę wysokiej czci, jaką Japończycy mają dla tego kwiatka, objaśnia nam najlepiej sama jej nazwa japońska, „kiku“ słońce. Chryzantema jest dla nich symbolem tej gwiazdyiennej, która budzi do życia wszystko, co się na ziemi znajduje.

Symbolem władzy chryzantema była w Japonii widocznie już od bardzo dawna, bo jeszcze w XII wieku, dowodzi to pierwsze jej wyobrażenie na szablach mikado, który w tym czasie panował.

Wraz z tym kwiatem połączona jest w Japonii ulubiona uroczystość narodowa — święto chryzantemy. Żeby wyjaśnić przyczynę tej uroczystości, trzeba wiedzieć, że w Chinach i w Japonii niema wcale niedziel, dni więc powszednie, dni pracy, następowałyby po sobie bez przerwy, z nużącą jednostajnością, żeby sam naród nie ustanowił sobie świąt, które przerwały tę jednostajność i wniosły w ich życie

prąd ożywczy wesela i radości, oraz dały wytchnienie w pracy.

Otóż wśród tego rodzaju uroczystości, pierwsze miejsce zajmują tak zwane święta kwiatów. W lutym Japończycy urządzają takie święto, gdy kwitną drzewa śliwkowe, w marcu, gdy kwitną brzoskwinie, w kwietniu — wiśnie, w maju — glicynje (u nas nazywa się ajer), w czerwcu — powoje i piwonie, w październiku zaś, gdy kwitnie ulubiona ich chryzantema. A w jesieni lud porzuca robotę i biegnie nacieszyć się piękną żółtą i pąsową barwą japońskich klonów.

Najpiękniejsze i owiane czarem poezji jest wiosenne święto kwitnięcia wisien, a jesienne—chryzantemy. To ostatnie święto urządzano już od niepamiętnych czasów i zawsze ono zwracało powszechną uwagę. Z bardzo dawnych czasów zbierały się zwykle w tym dniu całe tłumy; zrywano prześliczne te kwiaty i ozdabiano nimi swe mieszkania, a ludzie zamożni odbywali spacer w łodziach, ozdobionych chryzantemami, przy dźwiękach muzyki, przy deklamowaniu chińskich lub japońskich wierszy, które układali najlepsi tegocześni poeci. Wiersze były pisane i piszą się teraz tuszem na długich papierowych paskach i do drzew się przyklejają, tak żeby nie tylko ludzie je czytali, lecz żeby wiatr je wszędzie po świecie roznosił.

Uroczystość ta odbywa się bardzo wspaniale i w obecnych czasach, przyczem bierze w niej udział nie tylko naród, dla którego się urządzają specjalne

wystawy najpyszniejszych chryzantem, lecz także sam mikado i cały dwór jego.

Współcześni kronikarze opowiadają, że goście, zaproszeni na to święto przez cesarza, muszą się zjawiać koniecznie w cylindrze i we fraku. Wszyscy zbierają się do wybudowanego w stylu staro-japońskim pałacu Dango-Caka, którego ruchome ściany i pokrywające posadzkę słomiane maty, stanowią dziwny bardzo kontrast z temi gośćmi, przebranymi po europejsku. Tłumy publiczności zalewają groty, aleje i kioski ogromnego parku. Rozlegają się dźwięki marszu japońskiego i zjawia się w otoczeniu swej świty sam mikado, za nim króczy imperatorowa ze swemi damami dworu. Mikado obchodzi wszystkich zaproszonych, podaje rękę każdemu i przemawia do niektórych kilka słów łaskawych, lecz mówi tak cicho, że mogą go usłyszeć zaledwie ci, którzy stoją najbliżej.

Po tem przywitaniu, mikado, w towarzystwie wszystkich zaproszonych, udaje się do cieplarni, gdzie są wystawione najbogatsze kolekcje wyhodowanych przez lato chryzantem. Wśród nich znajdują się niewielkie egzemplarze, całe tak obsypane kwiatami, że ilość ich dochodzi nieraz do 800 i więcej. Dziwne są i nadzwyczaj pięknie urządzone z tych kwiatów grupy ludzi i nawet całe sceny z życia japońskiego. Pióro nie jest w stanie opisać te zadziwiające, pełne ruchu i jakby ożywione grupy ludzi z kwiatów. Jest to nadzwyczajna, nie mająca współzawodnictwa sztuka

i umiejętność, o jakich europejczycy nie mają nawet pojęcia.

„Nadzwyczaj trudno, — niepodobna prawie — mówi pewien niemiecki korespondent, — dać europejczykom pojęcie o tych — jeżeli się tak można wyrazić, żywych obrazach z kwiatów“.

I u nas wprawdzie z kwiatów robią napisy, portrety, herby państwowe, figury geometryczne i postacie zwierząt, czasem nawet wypukłe, odbijające od tła ogólnego, jakby rzeźbione postacie, — robią z bukszpanu lub innych krzaczków, o drobnych listkach, postacie ludzi, lwów, drakonów, wogóle rozmaite żyjące i mityczne postacie, lecz wszystko to jest dziecinną zabawką w porównaniu ze zdumiewającą sztuką japońskich ogrodników, z nadzwyczajnym, wyszukany gustem, z jakim grupowane są figury z kwiatów, które są wystawione w tym dniu w parku Dango — Caka.

Można tu widzieć całe sceny bitew, w których krew płynie strumieniami, zabarwiając (sceny te przedstawiają zwykle zimowe krajobrazy) śnieg, ziemię pokrywający; konie, jeźdźcy są jakby żywi, okręty z masztami zdają się płynąć, bohaterowie którzy zwyciężają, potwory, wylazące ze szczelin skał pękniętych, są pełni życia; świątynie, pałace, mosty wygięte, szumiące wodospady i t. d. — wszystko to jest tak naturalne, iż mimowoli się zapomina, że jest to zrobione tylko z kwiatów.

Zapewne, że nie wszystko w tych figurach jest

z kwiatów ułożone. Twarz, ręce, nogi, zrobione są z pewnego rodzaju bibuły, lecz tak subtelnie i tak sztucznie, wyraz wszystkich twarzy jest tak żywy, że żadne nasze woskowe figury nie mogą z nimi iść w porównanie. Miecze i inne przedmioty, które do tych figur należą, są zwykle zrobione z odpowiedniego materiału; lecz można też spotkać okręty i konie, wejścia do świątyń, skały, wodospady, które są zrobione tylko z chryzantem. Podobne rysunki są oczywiście szczytem sztuki japońskich ogrodników, bo tu barwy są dobrane w ten sposób, by wiernie oddać wszystkie odcienia, wszystkie najdrobniejsze szczegóły rysunku.

Co najbardziej jest zdumiewajícím i pięknem w tych wszystkich żywych obrazach, to są suknie figur, zrobione zawsze z samych tylko kwiatów. Jakie tu jest skojarzenie barw przeróżnych, jaka subtelność, jaka rozmaitość deseni materiałów, z których suknie są ułożone, to wprost nie daje się opisać. Tłem dla tych sukien służą trzciny, w które wplatają nie ścięte chryzantemy, lecz te, które się znajdują na krzaku, tak, że one w dalszym ciągu mogą rosnąć i kwitnąć. I wszystkie te szerokie, bufiaste, z fałdzistymi rękawami kimono, tak zadziwiająco są przedstawiane nieraz w pozach bardzo wyszukanych, że widz zdumiony zapomina prawie, iż one zrobione są tylko z żywych kwiatów.

Wogóle, w układaniu tych scen, pełnych życia i ruchu, Japończycy wykazują taką wprost genialną

zdolność przy połączeniu przyrody ze sztuką, jakiej my wcale nie posiadamy, a więc łatwo zrozumieć, dlaczego wystawa cesarskich chryzantem sprawia tak głębokie wrażenie nie tylko na samych Japończykach, lecz na wszystkich Europejczykach, którzy mieli sposobność oglądać to arcydzieło sztuki japońskiej.

Zrozumiałem jest więc najzupełniej, dlaczego sam mikado temi kwiatami tak się interesuje.

Lecz podobne ciekawe obrazy, zrobione z kwiatów chryzantemy, pokazują się nie tylko na cesarskich wystawach w parku Dango-Caka.

Można je widzieć w tym czasie również na prywatnych wystawach w wielu innych miastach japońskich i nawet w niektórych, sławnych ze swego ogrodnictwa, wioskach japońskich. Lecz tam zwykle figury robią się z drzewa, lub z pokładu gliny, w którą kwiaty wtykają. I tam też wyobrażane są figury i sceny rozmaite, lecz treść tych ostatnich nie jest dramatyczną, lecz czerpaną z życia codziennego, które nie wymaga tyle subtelного artyzmu w wyrazie twarzy i pozach osób działających.

Tutaj, na przykład, widzieć można jakiegoś kupca z towarem, handlarke z herbatą, grupę kobiet, siedzących w ogrodzie i gotujących herbatę, dzieci, które łapią na wędkę lub karmią ryby i t. d. Jednakże i tu, tak samo jak na cesarskich wystawach, najbardziej czarującym jest ugrupowanie i subtelny dobór barw i deseni na sukniach. Wszystkie postacie są naturalnej wielkości i pomieszczone w niewielkich bu-

dach, do których napływa tłum, by je zobaczyć, płacąc kilka groszy za wejście. Publiczność bywa zwykle tak liczna, że buda z trudnością może ją całą pomieścić.

Niemniej lubianą jest chryzantema w Chinach, gdzie miłość do kwiatów wogóle, szczególnie zaś wśród kobiet jest rozpowszechnioną. Chinka uważa swój strój za niezupełny, jeżeli nie ozdobi swych czarnych, lśniących włosów kwiatami i jeżeli nie można dostać żywych kwiatów, to wpina sztuczne. Jedyne kobiety, którym nie wypada w Chinach nosić kwiatów, są wdowy od lat 40-tu, lecz gdy tych lat dochodzą, wtenczas znowu pozwala się im nosić tę ozdobę. Japonki zaś przeciwnie uważają noszenie kwiatów we włosach za nieprzyzwoite i przeważnie mogą je nosić tylko dzieci. Jeżeli zaś Japonka musi w jakimś wypadku ozdobić głowę kwiatami, to używa tylko sztucznych.

W Chinach chryzantema jest najulubieńszym kwiatem po piwonii i jej imieniem nazwany został nawet dziewiąty miesiąc chińskiego roku. Jej też jest poświęcony dziewiąty dzień tego miesiąca. Zerwany w tym dniu, kwiatek ten ma, podług wierzeń ludowych, szczególną siłę magiczną. Wraz z żywicą sosnową przyrządzają z niego tajemniczy środek, który chroni od starości. W Czemgu, mieście głównem Seczuenu, jest świątynia z wyobrażeniem geniusza, opiekuna chryzantem. Duch ten przedstawiony jest w postaci

młodej dziewczyny, która wypila wino z kwiatkiem chryzantemy i przez to stała się nieśmiertelną.

Z kwiatów chryzantemy Chińczycy przyrządzają bardzo smaczną leguminę, którą się podaje nie tylko w chińskich restauracjach, lecz i w domach prywatnych. Legumina ta jest coś w rodzaju kompotu i przygotowuje się podług słów francuskiej gazety „Gaulois” następującym sposobem:

Biorą świeży kwiatek, zmywają go starannie, obrywają listki i zanurzają je do mieszaniny zbitych jaj i mąki, potem wybierają je stamtąd, zanurzają szybko do gorącego masła, rozkładają na pół minuty na papierze, żeby doń wsiąkło zbyt wiele masła, potem posypują je cukrem i podają. Potrawa ta przypomina trochę wyborne ciastka, przyrządzane w Małorosji z kwiatów jarzębiny, — jest podobno bardzo smaczna i obecnie weszła w taką modę w New-Yorku, że chińskie restauracje są tam zawsze przepelnione amerykańcami i wogóle gośćmi rozmaitych narodowości, którzy przychodzą kosztować tego przysmaku.

Do Europy, a mianowicie do Anglii, chryzantema była przywieziona jeszcze w XVII stuleciu (1676 r.) przez hollendra Reede, lecz widocznie zostawała tam przez czas dłuższy i mało komu była znana.

Właściwym zaś rokiem, kiedy chryzantema przywieziona została do Europy, trzeba uważać rok 1789-ty, kiedy kapitan Pierre Blanchard przywiózł ją do Marsylii. Kwiaty, które on naówczas przywiózł, były oczywiście nie te prześliczne, pyszne od-

miany, które my obecnie podziwiamy, lecz należały do prostego gatunku, przypominającego rumianek, i dlatego nie zwróciły na siebie prawie żadnej uwagi.

Lecz już w 1829 r., Bernet, ogrodnik z Tuluzy, próbował wyhodować je z nasion i otrzymał kilka nowych, pięknie zabarwionych odmian.

Za jego przykładem poszło wielu innych ogrodników. Postęp był wielki i już w połowie XIX wieku otrzymano około 300 odmian, odznaczających się pięknością nie tylko barwy, lecz i formy samych kwiatów.

Minęło jednak jeszcze prawie pół wieku, zanim kwiat ten, stając się coraz piękniejszym, wszedł u nas w modę i został jednym z najulubieńszych kwiatów zimowych. Późne jego kwitnięcie, przytem właśnie w tym czasie, kiedy już wcale prawie nie mamy kwiatów, nie mało się przyczyniło do jego rozpowszechnienia. Obecnie chryzantemy są tak poszukiwane, iż co roku w jesieni, w Paryżu, Londynie i w wielu miastach niemieckich bywają urządzone całe wystawy chryzantemowe, gdzie płacą za najbardziej oryginalne gatunki ogromne pieniądze.

Wśród europejskich narodów, najbardziej lubią chryzantemy Anglicy, i teraz w Anglii niema prawie ogrodu, w którymby się nie spotkało chryzantemy. Kwiaty te wybornie znoszą mgły angielskie i kwitną nawet do przymrozków. Anglicy z ogromnem zamiłowaniem uprawiali ten kwiat nawet wtenczas, kiedy w innych państwach europejskich wcale nań nie zwracali uwagi.

cano uwagi. Jako przykład tego może służyć uczczenie w Kryształowym dworcu w Londynie w 1859 r. dnia urodzin Szyllera, gdzie popiersie tego wielkiego poety było otoczone tysiącami chryzantem najrozmaitszych barw, odcieni i form, jakie tylko wtenczas egzystowały.

W Europie chryzantemy używa się nie tyle jako kwiatu do bukietów i ozdoby, ile dla pogrzebów. Zrobione z nich wianki, ścięte ich kwiaty, a czasem nawet wprost kwitnące rośliny w doniczkach stawia się wokoło trumny, lub na mogiłę. W tym samym celu używają je Włosi. Z tej przyczyny widocznie, Montegazza uważa je jako kwiaty zmarłych i opowiada o ich pochodzeniu następującą smutną legendę:

„Żyła sobie bardzo już dawno temu, w pewnej włoskiej mieścinie biedna kobieta. Mąż jej był strasznym pijakiem, który przepijał wszystko to, co zarobił, ona zaś dobywała sił ostatka, by sobie na życie zarobić. Miała skarb jedyny, który rozjaśniał jej smutną dolę i sił do walki z losem dodawał, — a był nim malutki Pierrino, jej jedyna pociecha. Dla niego tylko żyła, duszę jej całą wypełniał.

Lecz los okrutny wciąż ją prześladował. Dziecię zachorowało i wkrótce umarło.

W chwili rozpaczny nieszczęśliwa kobieta chciała pozbawić siebie życia, lecz sąsiadki powstrzymały ją od tego. Dostała nerwowej gorączki, odwieziono ją do szpitala, gdzie przez dwa miesiące walczyła ze śmier-

cią. Jednak wyzdrowiała, a czas stopniowo ranę jej serdeczną uleczył.

Wróciła do męża i znowu popłynęło jej smutne, bezbarwne życie.

Nie miała już przy sobie drogiego chłopczyńy, lecz żyła tęsknotą za nim, żyła wspomnieniem jego śmierci. Celem jedynym jej życia, celem wszystkich jej pragnień namiętnych, było jedyne marzenie, — pójść co niedzielę na jego mogiłkę i tyle pieniędzy uzbierać, żeby mu kupić krzyż żelazny. W tym celu sprzedała swe kolczyki pamiątkowe, sprzedała ślubną obrączkę, lecz pomimo to brakowało jej pieniędzy. Pracowała więc bez wytchnienia i grosz dokładała do grosza.

A tymczasem w niedzielę i każde święto, chodziła na drogą mogiłę i zdobiła ją zebranymi po drodze polnemi kwiatami, które, jak jej się zdawało, były łącznikiem między nią, a duszą drogiego dziecięcia. Lecz nastały chłody, które polne kwiatki zwarzyły, a nie miała pieniędzy, by ich kupić w cieplarni. Prosiła by jej sprzedano trochę kwiatów na wypłatę, obiecując spłacać dług sumiennie, lecz bezlitośni ogrodnicy ruszali tylko ramionami. Z tą samą prośbą zwróciła się następnie do bogatych ludzi, lecz i ci nie uwzględnili jej prośby, i z rozpaczą w duszy szła na mogiłę, a stamtąd smutna wracała do domu.

I oto, pewnego razu przypomniła sobie, że ma u siebie na komodzie bukiet sztucznych kwiatów, które jej podarowała nieboszczka jej matka. Bukiet

ten niegdyś dostała jej matka od męża w dzień ślubu i całe życie przynosił on jej szczęście. Dlatego więc, umierając, oddała go córce z zaleceniem, by go ochraniała, szanowała i nigdy nikomu nie oddawała, bo w nim było źródło szczęścia. O tym właśnie bukiecie przypomniła sobie nieszczęśliwa kobieta i postanowiła, nie zważając na to, że matka zaleciła jej nikomu go nigdy nie oddawać, zanieść go jednak na mogiłę swego drogiego Pierrina i postawić zamiast polnych kwiatów.

Okrywszy bukiet chustką, by go nie widzieli bogacze, którzy nieśli prześliczne żywe kwiaty na mogiły swych krewnych, doszła do swej ukochanej mogiłki i położyła na nią bukiet i zalewając się łzami, prosiła matkę o przebaczenie za to, że wbrew jej woli postąpiła.

Gorącemi łzami oblała i bukiet i mogiłę, wznosząc swe modły do Stwórcy, Pocieszyciela wszystkich smutnych i boleścią znękanych. Modląc się, głowę schylała ku ziemi, a włosy jej rozpuszczone okrywały całą prawie mogiłę.

I nagle, podnosząc głowę, zdumioną została cudem, jaki się stał w tej chwili; cała mogiła okryta była ślicznymi żywymi chryzantemami, rozmaitych barw i odcieni. Kto je tu posadził, skąd się wzięły, biedna kobieta pojąć nie mogła, tembardziej, że bukiet sztucznych, wyblakłych kwiatów leżał wśród nich także... I odtąd, kończy swe opowiadanie Montegazzo, co roku kwitną na mogile wkoło postawionego nareszcie prześlicznego żelaznego krzyża, te cudowne chryzan-

temy, a biedna matka leje łzy radości i pełna jest otuchy“...

Sto lat minęło niedawno od czasu, jak wprowadzoną została kultura tych kwiatów do Europy i jubileusz ten był święcony z wielką uroczystością szczególnie w Paryżu. Tu była urządzona na cześć tej pamiątki, wspaniaław ystawa różnych odmian chryzantem, poczynając od najprostszych gatunków, aż do najnowszych odmian tego kwiatu. Za najładniejsze egzemplarze przeznaczone były honorowe nagrody, premie pieniężne i medale od rozmaitych stowarzyszeń i od samego miasta Paryża. Wystawiono więcej niż 1.200 kwiatów, odznaczających się pięknością, i kwiaty te, umieszczone grupami i obramowane zielenią, przedstawiały wspaniałe pstry kobierce. Część chryzantem była umieszczoną w wysokich kielichach. Kwiaty te należały do 80-ciu konkurentów. Najbujniejszym okazał się gatunek „Wallice“, którego kwiat miał 41 cm. w przecznicy i jemu było przysądzone premium w ilości 1.200 franków, — zaś najpiękniejszymi i barwy najsobtelniejszej były kwiaty pani Cora du Terrail i pana Church.

Im też była naznaczona pierwsza nagroda.

Można sobie wyobrazić, jakie musiano zachowywać ostrożności, żeby przywieść w całości te ścięte kwiaty, które przysyłano ze wszystkich końców Europy. Najmniejsza skaza, najmniejszy brak w kwiatku wystarczał, by nie został przyjęty na wystawę! Każdy kwiatek musiał być zawinięty w duży arkusz

papierosowego papieru. Listki z ręcznie podnoszono, gałązkę zaś zawijano w wilgotną watę, którą przykrywano jeszcze, by wilgoć się nie ulotniła, pergaminem lub gutaperką.

Przysłane w ten sposób egzemplarze były bez zarzutu. Te zaś, które zamiast waty, mchem były owinięte i nie okryte pergaminem, prawie wszystkie były zepsute.

W obecnym czasie zainteresowanie się amatorów i ogrodników tym kwiatem jest tak wielkie, że we Francji wychodzi nawet osobny dziennik, który się nazywa „Le Chrysanthème“ i w którym przeważnie o tych kwiatach piszą.

Chryzantemy — mówi francuski akademik — Jules Clartie, — są uosobieniem końca roku ; ich kwiaty pozbawione woni, ich ciemna barwa odpowiada najzupełniej tej smutnej porze roku, w której one kwitają, są to kwiaty mogił, kwiaty cmentarne!

Dzieci obcej ziemi, wyhodowane przez naszych ogrodników, którzy robią z nich meduzy ogrodowe, o włosach rozczochranych, dziwacznej formy, stały się one teraz, — na niekorzyść przepysznej róży i skromnego fiołka, — ulubieńcami mody, amatorowie zaś ich są tak liczni, jak i amatorowie orchidei. Namiętność do tych kwiatów o dziwacznej formie, a zubożenie i pogarda dla pięknych kwiatów o formie wykwintnej, jest znamienym symptomem czasów obecnych. Zamiłowanie do fantastycznych, wymęczonych, okaleczonych do potworności form orchidei

i do chorobliwej, — jeśli się tak można wyrazić — piękności blado-żółtych, jasno-brunatnych, blado-fioletowych i wyblakłych liliowych odcieni chryzantem jest zupełnie zrozumiałem. Te wszechwładne obecnie kwiaty odpowiadają w zupełności térażniejszemu nastrojowi większości społeczeństwa.

To, co jest proste, jasne, — mało już teraz kogo pociąga. Teraz wymagana jest ostra, paląca przyprawa dla tego, co żywi ducha i ciało, oko zaś pociąga tylko to, co jest potworne, wykoszlawione i zimne.



KAMELIA.

(*Camellia japonica*).



AMELIA, TEN CUDNY kwiat, mający prześliczną formę, piękną, jakby z wosku ulepioną koronę i gładkie, błyszczące ciemno-zielone grube listki, ma jednak wygląd sztucznej rośliny. Pociąga jednocześnie i odpycha. Uwa-

żają ją jako kwiat piękny, ale bez duszy, jako emblemat chłodu i braku uczucia, emblemat kobiet pięknych, ale bez serca, które nie kochając, pociągają, rujnują i gubią młodzież i które wskutek tego noszą jej nazwę.

Nazwa ta zresztą pochodzi nie wprost od kwiatu, lecz od bohaterki znanej powieści A. Dumas — syna: „La dame aux camelias“.

Któż nie czytał w młodości tego dzieła, któż się nie przejmował losem bohaterki powieści, Małgorzatą

Gothier, kto nie zachwycił się jej heroicznym, szlachetnym postępkim, kiedy kochając całą duszą, postanawia rozstać się z ukochanym i oddalić się od niego tylko dlatego, by uspokoić jego starego ojca, błagającego ją nie gubić przyszłości syna.

Jej ciężka choroba, która ją doprowadziła do mogiły, jej wzruszająca śmierć, zdala od ukochanego człowieka, na którego chciała jeszcze choć raz spojrzeć, — wszystko to sprawia na czytelniku wstrząsające wrażenie, tembardziej silne, że chociaż to opowiadanie nazwane jest powieścią, lecz w założeniu ma prawdziwą historję, w której, musimy nadmienić, — kwiatek ten odegrał pierwszorzędną rolę.

Prawdziwe nazwisko Małgorzaty Gothier, jak wiadomo, było Marya Duplessis. Była to wybitna piękność, którą zachwycił się cały Paryż i którą znali nawet ludzie, nie mający z nią żadnych stosunków, lecz poznawali ją po bukicie cudnych kamelii, bez których nigdy się nie zjawiała w dnie pierwszych przedstawień w teatrze. Przytem kamelje nie były zawsze jednakowej barwy. Dwadzieścia pięć dni w miesiącu były białe, a pięć — pąsowe. Jaka tego była przyczyna, — nikt nie wiedział i to zostało tajemnicą, którą Marya Duplessis uniosła ze sobą do mogiły...

Oprócz kamelii, nie lubiła ona żadnych innych kwiatów i nigdy nie nosiła. Kwitnącemi zaś kameliami zawsze były ozdobione wszystkie jej pokoje, szczególnie zaś jej buduar. Taka stała namiętność do tych kwiatów była przyczyną, że pani Barzi, która jej tych kwia-

tów dostarczała, przeważała ją „La dame aux camelias”. Tem przezwiskiem ochrzcił ją potem cały świat paryski, a następnie przeszło ono do wszystkich pięknych kobiet, które wabiły ku sobie ówczesną złotą młodzież.

Kwiaty te nie opuściły Maryi Duplessis i po jej śmierci. Gdy ona umarła, cała trumna jej była osypana kameliami i obłożona wspaniałymi wieńcami z tych kwiatów. Piękność i czar tej ozdoby, tak silnie oddziaływały na licznie zebrane na jej pogrzebie towarzystwo, szczególnie na damy, że w ciągu całego roku po jej śmierci, wśród bogatych paryżan, weszło w modę jeździć na cmentarz Montmartre i zdobić jej mogiłę bukietami, wiankami i całymi gałązkami kamelii. Jeden z jej przyjaciół, który nie był na jej pogrzebie, napisał na cześć jej wiersze i złożył je na jej mogiłę, otoczywszy je girlandą precudnych pąsowych kamelii. Gdy zaś przejęcie się tą modą zaczęło wśród towarzystwa się zmniejszać, to Armand Duval, ten sam młodzieniec, którego Marya Duplessis kochała beznadziejną miłością i dlatego postarała się skrócić pasmo swych dni smutnych, i który wrócił do zdrowia po strasznym wstrząśnieniu, jakiego doznał, otrzymawszy od biednej kochanki list przedśmiertny, — pokrył całą jej mogiłę kameliami. Mogiła ta przedstawiała z siebie latem i zimą gęsto usiany białymi kwiatami parter z kamelii, wśród których widniała tylko niewielka, biała, marmurowa płyta, na której było wyryte jej imię. Ogrodnikowi, który tę mogiłę pielęgnował, był wydany rozkaz surowy, by pilnie śledził za

kwiatami, i jak tylko które z nich wiedły, natychmiast, nie zważając na żadną cenę, zamieniać na świeże... Wśród stale odwiedzających tę mogiłę był, jak mówią, i sam Aleksander Dumas syn, a napisana przez niego wzruszająca powieść wywarła tak silne wrażenie na włoskiego kompozytora Werdie'go, że skomponował na ten temat znaną wszystkim operę „Traviata“, która aż dotąd jest najulubieńszą operą we wszystkich krajach i prawie nigdy nie schodzi ze sceny.

O powstaniu kamelii na ziemi znajdujemy u Montegazza w jego baśniach o kwiatach następujące oryginalne fantastyczne opowiadanie :

„Pewnego razu — opowiada on — bóg miłości, Amor, znudzony miłością bogiń Olimpu i wszystkich kobiet ziemskich, udał się z prośbą do swej matki, Wenus, by mu znalazła istotę, któraby go potrafiła zachwycić.

Wenus zdziwiła się z początku, że on nie może znaleźć na ziemi, wśród takiego mnóstwa zwykłych śmiertelniczek, ani jednej, godnej swej miłości, lecz po namyśle rzekła :

„No, dobrze, jeżeli na ziemi nie możesz znaleźć kobiety, któraby ci się mogła podobać, to spróbuj udać się w inne światy, na jakąś inną planetę“.

Myśl ta bardzo przypadła do gustu Amorowi i bez dłuższego namysłu udał się w podróż. Planeta, na którą przyleciał, była Saturnem. W chwili gdy on na nią się opuszczał, rozlegał się chór przecudnych anielskich głosów. Dźwięki te płynęły od strony prześli-

cznego, przezroczystego, mieniaącego się barwą szafirową, jeziora, otoczonego ze wszystkich stron wysokimi, dziwacznie wykrojonemi lodowatemi górami, którego brzegi były wysypane błyszczącym, jak srebro, świeżo wypadłym śniegiem.

Nigdzie nie było widać ani jaskrawych kwiatów, ani liści zielonych — wszystko było jak śnieg białe, i nawet rosnące tuż na brzegu, podobne do palm i paproci rośliny, były jakby z lodu zrobione, skrzyły się i mieniły wszystkimi barwami tęczy, jakby osypałe drobnymi pyłem brylantowym.

Cudne te dźwięki rozlegały się z piersi licznych, siedzących wśród skał lodowych prześlicznych kobiet. Kobiety te nie były podobne do żadnej z tych, które on widział na ziemi. Ciało ich było białe, jak śnieg puszysty, długie, srebrzyste włosy padały im na ramiona, a jasno niebieskie oczy błyszczały jak szafiry.

Amor był zachwycony. Nigdy jeszcze nie widział nic podobnego. Przytem oryginalne te istoty zdawały się nie czuć wcale otaczającego je strasznego chłodu.

Dziwne te kobiety śpiewały :

„Dzięki ci, Panie, dzięki nieskończone, żeś dał nam ciało z lodu. Lód uśmierza wszelkie pragnienia, uciśsza namiętności i gasi wszelkie płomienie“.

„Chwała niech będzie śniegowi, — który jest bratem lodu. Hosanna szronowi, jego synowi, hosanna Twórcy lodu, który czyni duszę przezroczy-

stą i chroni od zepsucia. Hosanna nieprzyjacielowi śmierci“.

Prześpiewawszy te strofy, kobiety opuściły lodowe harfy, które im do wtóru służyły, i skierowały swój wzrok na Amora, który był tak piękny, jak nikt z tych, kogo dotąd widziały. Lecz piękność jego cudowna wcale na nie nie działała. Zachwycaly się nią, zdawały się być zdumione, lecz nie przejmowały się nią wcale.

Daremnie Amor, chwyciwszy kołczan ze swemi czarodziejskimi strzałami, począł je wypuszczać jedno za drugą w te prześliczne kobiety. Zużył je wszystkie, lecz żadna ich serc nie zraniła, wszystkie zostały dla niego jak lód obojętne.

Wtenczas w rozpaczę zwrócił się znowu do swej matki Wenus wołając :

„Matko, matko, gdzieś mnie posłała? tu wszystko jest z lodu, kwiaty, drzewa, a nawet dusze kobiece ; one nie są w stanie nietylko kochać, ale nawet chociaż przelotną miłością obdarzyć. Taka obojętność zasługuje na karę przykładną!“

I w bezsilnym gniewie łkał i płakał bez końca.

Wtenczas, oburzona też do głębi duszy takim niewłaściwem dla kobiety brakiem serca, Wenus zawołała :

„Zupełną masz rację, mój synu, uspokój się i nie smuć, te istoty bez serca nie warte być kobietami i za karę będą musiały natychmiast zejść na ziemię i w kwiaty się zamienić!“

I oto te prześliczne, lecz bezduszne stworzenia zamieniły się w kamelie. Cudne posiadają barwy: białą, różową, ognście pąsową, lecz nie mają zapachu, nie są subtelne. Żadna młoda dziewczyna nie zdobi siebie temi kwiatami, — żaden czysty młodzian nie nosi je w butonierce“.

Kamelia jest to kwiat japoński i nosi w Japonii nazwę „*jabu cubach*“, zaś Chińczycy zowią ją „*son cfa*“ t. j. herbata górską. Ojczyzną jej jest wyspa Kiu-siu, Sikoko i niektóre prowincje wyspy Nipona, gdzie rośnie w postaci bujnego krzewu lub drzewka w umiarkowanym klimacie, na górach leżących na 800 stóp nad powierzchnią morza i sięgają czasem od 10 do 20 stóp wysokości.

Jej gałązki, okryte ślicznemi, wiecznie zielonemi, nieopadającymi liśćmi, używane są w Japonii według zwyczajów ludowych, do ozdabiania mogił na cmentarzach. Gdy zaś nastaje czas ich kwitnięcia, to w świątyniach japońskich urządzają „Święto latarni“. Wtenczas wszystkie mogiły okrywają się kwitnącemi gałązkami kamelii i poczynając od samego wieczora, aż przez noc całą oświecają się malutkimi latarkami.

Święto takie trwa kilka dni, przyczem w tym samym czasie, przywożą z wiosek do miasta ścięte drzewka kamelii w kwiecie, tak jak u nas choinki na Boże Narodzenie, i sprzedają je na targu. I to przynosi znaczny dochód wieśniakom.

Dziwnem jest to, że podobny zwyczaj praktykuje się także w niektórych miastach Niemiec południo-

wych, szczególnie nad Renem, gdzie w Dzień Zaduszny (2 listopada) mogiły na cmentarzach oświetlają też w nocy świeczkami i ozdabiają kwitnącymi w tym czasie kwiatami.

Ciekawem by było bardzo zbadać, w jaki sposób przeniósł się tutaj ten starożytny wschodni zwyczaj, którego celem zarówno tutaj, jak i tam, jest wykazać symbolicznie miłość żyjących dla swych drogich zmarłych.

Drzewkami i krzewami kamelii zasadzają w Japonii także gaje, otaczające świątynie, jak również ogrody ludzi zamożnych, i kiedy w czasie kwitnięcia, drzewa te i krzewy okrywają się tysiącami, jak gdyby z wosku ulepionych, ogniście pąsowych, czysto białych, pstrych i różowych kwiatów, to widok jest tak wspaniały, że niepodobna tego opisać. Szczególnie oryginalne są drzewa, które za pomocą szczepienia na jednym pieńku rozmaitych gatunków, — w czym Japończycy doszli do ogromnej wprawy, — okrywają się kwieciami najrozmaitszych barw i odcieni. Uprawiane w ten sposób kamelie, kwitną trochę później, ale za to o wiele dłużej.

Kamelia nie tylko w Japonii, lecz i w Chinach jest kwiatem ulubionym. Z tej przyczyny oba te sąsiednie kraje prowadzą handel bezustanny nowymi gatunkami tej rośliny, uprawą zaś tych kwiatów zajmują się nie tylko specjaliści ogrodnicy, lecz wogóle ziemianie, którzy na równych, ogromnych polach, zasadzają morgi całe szczepami kamelii.

Rozwojowi kultury tej rośliny niemało pomogła panująca tam, — jak nieraz i u nas — moda na barwę i formę kwiatów kamelii: była naprzykład moda na jaskrawe, pąsowe kwiaty, potem na białe, bujne lub drobne, następnie na białe w centki pąsowe i t. d.

Lecz kamelię uprawia się tutaj nie tylko wyłącznie dla kwiatów, lecz także dla tych korzyści, jakie z niej ciągną. Z jej nasion tłoczy się olej, który, zmieszany z olejem drzewa laurowego i geranium, używa się do przyrządzania najdelikatniejszej japońskiej pomady; odwar zaś jej liści, posiadający zarówno jak i liście herbacianej kamelii (*Camellia sasanqua*) nadzwyczaj miły aromat, służy wybornym eliksirem dla zmywania włosów, nadając im ten przedziwny połysk i jedwabistość, któremi, jak wiadomo, odznaczają się włosy Japoniek. Kory korzeni używają jako środka przeciw biegunce krwawej; zaś twarde jej drzewo używane jest na wycinanie i wypilowywanie drobniotkich, eleganckich sprządek — w czem celują Japończycy i Chińczycy. Nakoniec stare drzewa idą na opał, jak się to praktykuje, naprzykład, w południowych prowincjach Japonii, szczególnie zaś w Nagasaki.

Do Europy kamelia została przywieziona przez mnicha jezuitę, patra Józefa Kamela, który przez czas dłuższy przebywał jako misjonarz na wyspach Filipińskich i od jego imienia roślina ta otrzymała nazwę kamelii. Przywiezione przez niego dwa pierwsze egzemplarze tej rośliny zostały sprzedane znanemu

londyńskiemu amatorowi roślin, lordowi Petre, który natychmiast przeniósł te cenne rośliny do swych cieplarni w Sornden-Hall, lecz jego ogrodnik nie znał warunków życia tej rośliny w jej ojczyźnie, ulokował więc je w zbyt ogrzonym oddziale cieplarni i oba te drzewka zginęły. Zmartwiony tem niepowodzeniem, ogrodnik ten, imieniem Dżon Gordon, postanowił koniecznie nabyć jeszcze raz takie drzewka i spróbować hodować je przy innych warunkach. Życzenie jego spełniło się w 1740 roku. Tym razem ulokował otrzymane egzemplarze w chłodnej cieplarni i otrzymał świetne rezultaty. Kamelia nie tylko że się pięknie rozrosła, ale nawet zakwitła. Była to kamelia herbaciana, ta sama, której pachnące kwiaty dodaje się do herbaty dla aromatu.

Prawdziwa zaś ozdobna kamelia (*Camelia japonica*) trafiła do Europy w końcu XVIII stulecia. Pierwszym, kto ją otrzymał, był Van-Kassel, założyciel królewskiego towarzystwa rolniczego w Gencie w Belgii, lecz otrzymawszy ją, przez długi czas ukrywał skarb swój przed wszystkimi amatorami w swej olbrzymiej cieplarni i nie potrafił rozplenić, ani też uszlachetnić. Szczęśliwszym był drugi belgijski amator Van-Vësten, który, otrzymawszy ten gatunek kamelii, doprowadził ją do stanu kwitnącego. Prześliczne kwiaty japońskiej kamelii wprawiły wszystkich w nieopisany zachwyt i teraz każdy starał się nabyć szczerp tej rośliny i wyhodować ją sobie. O tem, jak olbrzymie pieniądze musieli płacić amatorowie

za te szczepy, — niema co i mówić. Wśród miłośników kamelii szczególnie odznaczał się bogaty piekarz w Gencie, Mortjer. Zakupił on wszystkie, jakie mógł znaleźć, egzemplarze tej rośliny i, pilnie studując najlepsze sposoby szczepienia, otrzymał kilka nadzwyczajnie pięknych gatunków, z których szczególnie się wyróżniała różowa odmiana, która otrzymała nazwę „Maiden blush“ (krew dziewczica). Odtąd Gent stał się dostarczycielem kamelii dla całej Europy i był nim przez lat pięćdziesiąt.

Ogólny zachwyt dla tego prześlicznego kwiatu odbił się w ówczesnej literaturze. Sławny naonczas belgijski poeta, Norbert Cornelissen, napisał w 1820 r. o zjawieniu się kamelii w Europie, baśń poetyczną pod wesołą nazwą: „De fatis Camelliae japonicae, lusus poeticus“ (o losie kamelii w Europie, żart poetyczny).

„Rzecz dzieje się na Olimpie, gdzie bogowie mieli te same słabości i miłości, jak i zwykli śmiertelnicy.

Amor zrobił plotkę na swą matkę Wenus, która rozgniewawszy się, kazała Gracjom, które były w roli piastunek Amora, wyćwiczyć go za to do krwi różgami z róż.

„Niechże, — rzekła ona przytem — zostanie mu na dłużej wspomnienie jego niewczesnej gadatliwości“. Dowiedziawszy się o grożącym mu niebezpieczeństwie, Amor pobiegł co tchu do bogini Flory i począł ją błagać na wszystko, by go wybawiła od hańbiącej go kary, albo przynajmniej złagodziła ją trochę.

Wtenczas Flora zawołała do siebie Zefira (lekki wiaterek) i kazała mu lecieć co tchu do Japonii i przynieść z tamtąd nipońską różę.

„Poznasz ją natychmiast — rzekła Flora, — jej gałęzie okryte są prześlicznymi, błyszczącymi zielonymi liśćmi; kwiaty podobne są do kwiatów dzikiej róży i pachną przyjemnie, lecz roślina ta ma tę własność, że jest pozbawioną kolców i dlatego ten, kto by ją chciał zerwać, nie jest narażony na niebezpieczeństwo pokłucia sobie rąk. Bogowie nazwali ją „Anacanthis“ (pozbawiona kolców), a ludzie — „Sasanqua“. Nie namyślając się długo, udał się Zefir w drogę i za kilka godzin przyniósł żadaną roślinę. Była ona obficie pokryta kwiatami. Kiedy Flora oddała ją Gracjom, jako różgę, przeznaczoną dla Amora, to one się uśmiechnęły i zachwycone tą rośliną, ozdobiły siebie jej kwiatami. Trudna rada, należało karę wymierzyć, lecz one były tak delikatnie, że na ciele Amora nie zostało najlżejszego draśnięcia. Dowiedziawszy się o tem, Wenus strasznie się rozgniewała, lecz cóż było począć? swawolnik był jednak ukarany, tak jak ona rozkazała, t.j. różgami z róż, tylko że róże te były bez kolców. I oto cały swój gniew przeniosła bogini na niewinne rośliny, pozbawiając je właściwej im cudnej woni, i kazała im rosnąć zawsze tylko w Japonii. I odtąd różę tę nie znały ani Gracye, ani Muzy, aż nim je nie oswobodził z ciężkiej niewoli jezuita Kamel. Lecz przywiózłszy je do Europy, nie mógł jednak powrócić im woni utraconej, i piękny kwiatek zo-

stał na zawsze pozbawionym tego cudnego daru bogów.

We Francji kamelia zjawiała się w 1780 r. i była uważaną najprzód za krzew herbaciany. Pierwsze zaś jej kwitnące egzemplarze były przysyłane tutaj dopiero w 1800 r.

Otrzymała je najprzód pierwsza małżonka Napoleona I-go, Józefina, od hollenderskiego negocyanta i wielkiego amatora kwiatów, Van-Herda, przez wdzięczność za okazaną opiekę dla handlu hollenderskiego. Jedna roślina miała pąsowe kwiaty, druga zaś — białe. W następnym roku ten sam Van-Herd przysłał cesarzowej jeszcze większą ilość tych roślin do jej ulubionego botanicznego ogrodu w Malmaison, a cesarzowa, kochająca się, jak prawdziwa amatorka, w rządkich roślinach, pielegnowała je i troszczyła się o nie, jak gdyby to były jej dzieci. Kamelie przyjęły się u niej doskonale i co roku okrywały się obficie przelicznymi kwiatami.

Przez kilka lat u ogrodnika Curtona w Paryżu, kamelie zakwitły tak obficie, że całe miasto zbierało się u niego, by je podziwiać. Były to olbrzymie, 25 stóp wysokie drzewa, z których najokazalsze były przez niego podarowane cesarzowej, która nie tylko że sama rozkoszowała się kwiatami tej rośliny, lecz starała się zamilowanie to rozwinąć wśród innych amatorów.

Rozdając swe kamelie amatorom, cesarzowa Józefina zachowała jednak najlepsze dla siebie i kiedy po

jej śmierci, zgodnie z jej testamentem, była sprzedaną na korzyść biednych cała jej majątność, Malmaison, to za kamelie wyręczono więcej niż 20.000 franków, co w tamtych czasach stanowiło sumę bardzo pokaźną.

Z Francji kamelia została przeniesioną do Niemiec, lecz przez czas dłuższy była uważaną za wielką rzadkość, czego dowodem jest cena bukietu z kamelii, który ofiarował książę Henryk Pruski swej żonie w dzień rocznicy ślubu. Kamelie w tym bukiecie, wyhodowane w cieplarni margrabiego Badenu, kosztowały każda po dukacie.

W połowie XIX stulecia kamelia zjawiała się też i w Rosji, oczywiście najpierw w Petersburgu. Lecz w pierwszych latach te kwiaty były ogromnie drogie i za bukiet albo ozdobę na sukni wieczorowej płacono od 300 — 400 rubli.

Lecz głównem miejscem hodowli kamelii w Europie są północne Włochy, gdzie w miasteczku Tremezinie, na jeziorze Komo, można spotkać całe lasy tej rośliny.

Dobremu ich wzrostowi i rozwojowi sprzyja tutaj bardzo, brunatno-czerwony grunt darniowy.

Rosnące tu na wolnem powietrzu, w odpowiednim klimacie, drzewa kamelii dochodzą olbrzymiej wysokości i okrywając się bajeczną ilością najpyszniejszych kwiatów, przedstawiają z siebie dla turystów odwiedzających tę miejscowość, jeden z najczarowniejszych krajobrazów, jakie tylko można sobie wyobrazić.

Najważniejszy czas kwitnięcia, w zależności od

pogody, poczyną się od połowy marca, albo początku kwietnia, i trwa aż do maja, a wtenczas lasy kameliowe bywają tak obficie osypane kwiatami, jak u nas na wiosnę gaje wiśniowe.

Rozsadzają się kamelie tutaj nie tylko za pomocą szczepów, lecz także z nasion, które doskonale dojrzewają w tym błogosławionym klimacie, lecz najbardziej interesującym jest to zjawisko, że zawdzięczając kulturze przy pomocy nasion, otrzymuje się ogromną ilość odmian, które są czasem prześliczne. Oprócz tego jest tu w użyciu bardzo oryginalny sposób rozmnażania kamelii, a mianowicie za pomocą liści, które wtykają się wprost w ziemię. Zwykle w innych krajach takiego rodzaju rozsadzanie wymaga dosyć długiego czasu, lecz w Tremezinie, zawdzięczając prześlicznemu klimatowi i szczególnej zręczności włoskich ogrodników, liście te szybko wyrastają.

Nowe odmiany kamelii otrzymuje się nie tylko z nasion, lecz także za pomocą krzyżowania przez opylanie, co szczególnie łatwo daje się robić z kameliami, bo ich pyłek ma własność przechowywania się przez czas bardzo długi. Chagen w Gencie, czyniąc cały szereg doświadczeń, nosił ten pyłek kwiatowy zawinięty w papierze przez 65 dni, po upływie których zrobił opylenie i doszedł też do wybornych rezultatów. Podług innych doświadczeń było dowiedzionem, że ten pyłek może zachować swą siłę nawet w przeciągu dwóch lat.

Główną barwą kamelii, jak wiadomo, jest biała

i jasno-pąsowa, lecz ogrodnicy, otrzymawszy najrozmaitsze odcienie tych barw, tem się nie zadowolnili i chcieli za jaką bądź cenę stworzyć żółtą i niebieską barwę, co im się po części udało, bo żółtą kamelię przywiózł w 1860 r. z Chin angielski przyrodnik, Forczun. Z początku kamelia ta długo nie kwitła, lecz następnie, gdy zakwitła, to okazało się, że była to odmiana „*Camellia sasanqua*“, a więc kwiat jej był o wiele mniejszy od japońskiej.

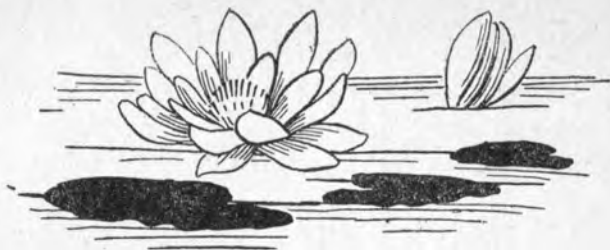
Co się tyczy niebieskiej kamelii, to ona pomimo usiłowań, pozostała w krainie fantazyi.

Zawdzięczając ogromnej ilości pięknych odmian, kamelia posiadała dużo wielbicieli i tak się przejmowano jej hodowlą, jak niegdyś tulipanami. Pewien francuski autor i namiętny miłośnik kwiatów, Alfons Carr, zostawił opis pewnego procesu, który był w Paryżu z powodu przysłanych z Ameryki przez hodowcę takich dwóch odmian kamelii, za które nabywca zaocznie, polegając tylko na przesłanym rachunku kamelii, zgodził się zapłacić 11.000 franków.

Gdy jednak przyszły same egzemplarze tych odmian i zakwitły, to okazało się, że rysunki wcale nie odpowiadały rzeczywistości, i wtenczas ogrodnik odmówił zapłacenia tak olbrzymiej sumy. Tymczasem dzienniki tak wiele o tem pisały i publiczność tak się zainteresowała temi kwiatami, że kiedy one były wystawione w pełnym rozkwicie na polach Elizejskich, to cały Paryż udał się tam, żeby na nie spojrzeć!

Wtenczas domyślny ogrodnik podwoił opłatę za wejście i zaczął drogo sprzedawać kwiaty, którymi drzewka były osypane i zarobił w ten sposób 4.000 franków, którymi mógł stratę swą powetować. Wiele z rozsadzonych w Europie kamelii tak dobrze przeżyły, że rosną przez dziesiątki lat i wprost w ogrodach, okrywając się corocznie wielką ilością kwiatów. W ich liczbie znajduje się znakomita kamelia, rosnąca w ogrodzie letniego dworca króla saskiego w Pilnicy, koło Drezna. Kamelia ta była przywieziona z Japonii jeszcze w 1739 r., to jest około 170 lat temu i odtąd zakrywana tylko lekko na zimę, rośnie tu zawsze i co roku bywa okryta wielką ilością prześlicznych kwiatów. Pień jej ma więcej niż dwa cale w średnicy.





LILIA BIAŁA WODNA.

(*Nymphaea alba*).



CZESNY RANEK. NAJ-
lżejszy wiaterek nie mąci wód
jeziora. Na gładkiej jego, jak
lustro, powierzchni, widnieją
tu i ówdzie, jak główki rusa-
łek, cudne białe lilie z ich ślicz-
nymi pączkami i owalnemi,
jakby woskiem pociągnię-

temi, pływającemi liśćmi...

I wyobraźnia unosi nas mimowoli w dalekie
północno-zachodnie kraje, do Elsinory, do zamku
Kraneborgu, z jego przepięknem, jak kryształ czystem,
porośniętem białemi wodnemi liliami, jeziorem.
Obląkana Ofelia w wianku z lili i z pękiem tychże
kwiatów w rękę, opuszcza się powoli do jeziora. Scho-

dzi coraz niżej, coraz bardziej zanurza się w wodę i w końcu, prądem porwana, w dal się unosi...

Za nią płyną lilie, które z rąk jej wypadły, płyną oderwane od brzegu trawy i rośliny, a zdaleka, cicho, jakby konając w ostatniej strofie, rozlega się pieśń jej smutna... ostatnia...

Przecudny ten kwiatek zawsze się cieszył miłością i opieką młodzieży. W starożytnej Grecji był uważany jako symbol piękności i daru wymowy. Młode dziewice wily z niego girlandy i ozdabiały nimi swe głowy i tuniki. Według słów Teokrytesa, młode Greczynki uplotły wianek z białych lilii wodnych dla pięknej Heleny w dniu jej zaślubin z królem Menelausem i ozdobiły nimi wejście do ich sypialnej komnaty.

W tym samym stopniu lubiano ten kwiat i w starożytnym Rzymie, a na fresku jednej niedawno odkopanej świątyni w Pompei można i teraz widzieć kwiaty lilii, zdobiące skrzydlatych bożków i geniuszów.

Prześliczna ta wodna biała lilia, jak głosi jedno greckie podanie, powstała z ciała pięknej nimfy, która umarła z miłości i zazdrości dla obojętnego względem niej Herkulesa.

Od niej też otrzymała ona swą nazwę naukową „*Nymphaea*“.

Jako oddźwięk zapewne tego podania, w starożytnych niemieckich baśniach ludowych opowiadają o tem, że w stawach i jeziorach, wśród tych kwiatów i trzcin żyją wiecznie młode nimfy-niksy. Górna część ciała tych wodnych piękności ma śliczne kształty

pięknych kobiet z wiecznie uśmiechniętą miłą twarzą, dolna zaś część — brzydki rybi ogon. One wabią ludzi do wody i ciągną ich na dno, do wilgotnej przedwczesnej mogiły.

Lecz z innej znów strony, prześliczny ten kwiatek, ze względu na swe własności, ma dużo podobieństwa z temi wodnymi dziewczycami. On również pociąga wszystkich swą pięknoscią i także gubi tych, którzy namiętnie pragną go zdobyć. Nie raz się zdarzało, że ci, co chcieli sobie zerwać prześliczne lilie, tonęli, zapuszczając się zadaleko w otaczającą zwykle te kwiaty głębinę, albo dusili się pod wodą, zaplątawszy się w ich długie podwodne łodygi.

Szczególniej niebezpiecznymi są one dla dzieci, które nieraz padają ofiarą nieprzepartej chęci posiadania ich za jaką bądź cenę.

W Szwarcwaldzie, w Niemczech, jest wielkie piękne jezioro, które nosi nazwę „Mummelsee“ od starożytnego niemieckiego słowa „die Mummel“ t. j. nimfa, któremi to jezioro obficie ma być zaludnione. Podanie ludowe głosi, że te nimfy kryją się tutaj w kwiatkach i na liściach lilii wraz z małutkimi elfami, dla których kwiaty te służą, jakby łódeczkami, albo okręcikami. O północy nimfy poczynają pisać i krążyć w zawrotnym tańcu, ciągną za sobą ludzi, przechodzących koło jeziora.

Szczególniej ożywione i wesole bywają te igraszki nimf wodnych w jasne noce księżycowe. I biada śmialkowi, któryby zechciał w tym czasie zerwać rosnące

na jeziorze lilie! Strzegące je nimfy chwytają go i ciągną ze sobą w głębinę, w swe państwo podwodne. A jeśliby mu się nawet udało wymknąć od nich, to zadręczy go tęsknota. Podanie to jest bardzo poetycznie opowiedziane przez niemieckiego poetę, Schreibera w jego ślicznym utworze:

DIE MUMMELSEE“ (Jezioro nimf).

„Hoch auf dem Tannenberge
Da ist ein schwarzer See,
Und auf dem See da schwimmt
Ein Röslein, weiss, wie Schnee.

Es kommt ein Hirtenknabe
Mit einem Haselstab:
„Das Röslein muss ich haben,
Das Röslein brech' ich ab!“

Er zieht es mit dem Stabe
Wohl auf den Binsenrand,
Doch aus dem Wasser hebet
Sich eine weisse Hand. i t. d.

.
Den Knaben fasst ein Grauen,
Er eilt hinweg vom See,
Doch immer ist sein Sinnen
Das Röslein, weiss wie Schnee“ i t. d.
.

W prozie dźwięczy to w ten mniej więcej sposób:

„Wysoko na górze, świerkami porosłej, leży czarne jezioro, a na jeziorze tem pływa biała jak śnieg lilia. Pewnego razu, przychodzi do tego jeziora pastuszek z gałązką leszczyny w ręku i mówi:

„Cudną tę lilię chcę dostać koniecznie“. Przyciąga już ją pomyślnie do brzegu, trzcina porośniętego, gdy nagle z wody wysuwa się biała ręka. Ona wciąga lilię w głąb, do państwa podwodnego i mówi: „Pójdź ze mną, mój miły, a odkryję ci dużo wielkich tajemnic. Głęboko przyrośniętą korzeniami do dna białą lilię, która tak ci się podobała, — zerwę dla Ciebie, jeżeli mi się oddasz“. Wtenczas młodzieńca strach ogarnia. Ucieka od jeziora, lecz już zanic nie może odpędzić od siebie myśli o białej jak śnieg lilii. I oto błąka się odtąd po górach z tęsknotą, która mu serce wypala i nikt nie może powiedzieć, gdzie on się podział“.

W słowiańskiej mytologii wszystkie te „Mummel“, nikszy i nimfy zamieniają się w rusalki, które pojawiając się czasem w niemieckich podaniach, odgrywają tam jednak drugorzędną rolę i są jakby poddanymi niks, ich niewolnicami.

O naszych rusalkach znany zbieracz podań małopolskich, Markiewicz, tak mówi: „Rusalki, to są wodne piękności. Blade są, lecz rysy ich twarzy są pełne wyrazu, smukłą mają kibić, a warkocz niżej kolan sięga. W nocy przy blasku księżyca wychodzą one na

brzeg jeziora, rzek i ruczajów, nagie, w wiankach z trzciny i osoki na głowie.

Gdy rusalki na brzeg wychodzą, to siadają na trawie, rozczesują swe warkocze, albo zaczynają płaść. Czasem się chowają w krzewach lub w trawie. Najczęściej wywabia ją na brzeg zorza poranna. O świcie, gdy dziewczyny wiejskie idą do rzeki po wodę, to rusalki czatują na nie potajemnie. Biada nieostrożnej, która zapomniała zabrać ze sobą piołunu, który służy im jako ochronny talisman. Rusalki rzucają się na dziewczynę, lechcą ją aż do śmierci i ciągną ze sobą do rzeki.

Ten sam los spotyka i małych chłopców, którzy nie wzięli ze sobą piołunu, albo którzy zostali oczarowani pięknnością rusalki“.

Rusalki żyją w podwodnych kryształowych pałacach z konch zbudowanych, gdzie błyszczą perły, opale, srebro i korale. Po dnie, usianem różnobarwnymi kamykami, płyną szmaragdowe ruczaje, albo padają wodospady. Słońce prześwieca przez wodę, oświecając te cuda, a księżyc i gwiazdy wabią na brzeg rusalek.

Rusalki te zamieniają się czasem w nasze białe lilie. Posłuchajmy jednej starogermańskiej legendy, która o tem tak opowiada :

Jedną z najpiękniejszych miejscowości w Niemczech północnych są góry Szwarzwaldu, gdzie na olbrzymiej skale wznosi się zamek Szwarzburg. Zamek ten odrestaurowano w XVIII stuleciu, bo da-

wniejszy zupełnie się spalił. Podanie mówi, że w starym jeziorze tego zamku żyła kilkaset lat temu zła nimfa — niksa, której usługiwały dwie prześliczne młode rusalki. Często rusalki te przychodziły popatrzyć na uroczystości w zamku i pewnego razu zwróciły na siebie uwagę dwóch rycerzy.

Wkrótce rusalki pokochały tych rycerzy i gotowe były porzucić nazawsze wód głębiny i iść za nimi. Lecz stara niksa zaczęła je podejrzynwać o stosunki z mieszkańcami zamku i postanowiła je pilnować. Za pomocą czarów przesunęła strzałki wszystkich zegarów w zamku, rusalki zaś mogły wychodzić z wody tylko od zachodu słońca do północy. O północy musiały już być w jeziorze.

Wesoło gawędziły sobie młode rusalki w sali rycerskiej, nie przeczuwając zbliżającego się nieszczęścia. Na ogromnym zamkowym zegarze wybiła jedenasta, do północy więc zostawała jeszcze godzina, a tymczasem na wieży kościelnej Szwarcburgu północ już wydzwoniła, stróż też północ obwieścił. Co tchu pobiegły biedne rusalki do jeziora. Pobiegli za nimi i rycerze, lecz nie zdążyli już je uratować. Gdy do jeziora dobiegli, to ujrzeli, że w tym miejscu, gdzie przed chwilą migwały białe szaty rusalek, — wynurzały się z wody dwie białe lilie wodne: to zła niksa zamieniła rusalki w te kwiaty. Długo kwitły te lilie. Długo oplakiwali rycerze swe drogie, ukochane rusalki; lecz w jesieni kwiaty zwiędły, a rycerze poszli do Ziemi Świętej i nie wrócili... Jezioro poczęło odtąd

wysychać, i wkrótce zabrakło w niem wody nawet dla złej niksy, — i musiała zginąć. Obecnie jezioro jest zupełnie suche i nie zapełnia się wodą nawet w czasie deszczów jesiennych i wiosennych roztopów“...

Piękność wodnej lilii działa czarująco nie tylko na Europejczyków, o niej złożyło się też dużo podań i wśród narodów innych części świata. Najpoetyczniej-szem jest podanie o niej u północno-amerykańskich Indian, którzy mówią, że wodna lilia powstała z iskier, które upadły z gwiazdy polarnej i jutrzeńki, w tym czasie, kiedy one się zderzyły jedna z drugą, wiodąc spór ze sobą o strzałę, którą w chwili śmierci wypuścił w niebo jeden wielki wódz indyjski.

Wodna lilia, albo kwiat rusalek, jak ją dawniej często nazywano, była od niepamiętnych czasów przedmiotem czci najwyższej u północno-zachodnich Germanów, szczególnie zaś u Fryzów i Zelandów. Nazywali ją kwiatem łabędzim i czcili do tego stopnia, że umieszcwszy siedem takich kwiatów w swym herbie, uważali siebie pod tym znakiem za niezwyciężonych.

W pieśniach Gudrunów, w tem miejscu, gdzie opisuje się niebieski sztandar króla Herwiga von Seewena, mówi się, że na niej rozwiewają się kwiaty łabędzie. Kwiaty te zachowały się i dotąd na chorągwiach Fryzów i w herbie prowincyi Groningenu. Całą roślinę Fryzowie nazywają jeszcze „Pompe“, a jej kwiaty — morskimi liśćmi (Seebblätter).

W wiekach średnich biały kwiat lilii był symbolem

czystości, i dla tego nasiona tych kwiatów znajdowały się zawsze we wszystkich klasztorach i kazano je dawać mnichom i mniszkom. Najwięcej używali je pustelnicy, którzy świata odbiegli i chcieli swe ciało umartwić.

Podług najnowszych badań, własności, przypisywane tym nasionom, okazały się jednak mylne. Nasion tych używali też śpiewacy dla wzmocnienia swego głosu. Oprócz tego, środek ten uważano za bardzo pomocny od konwulsyi i zawrotów głowy, a korzenie tej rośliny—od braku apetytu. Kuracya odbywała się nie tyle za pomocą przyjmowania nasion do środka, ile wieszaniem rośliny nad łóżkiem chorego. Dla przygotowania tych wszystkich lekarstw, zalecano szczególne ostrożności przy obchodzeniu się z tą rośliną: zrywać wolno było tylko przed nocą, suszyć zaś w cieniu na północnej stronie i koniecznie wisząco, bo w przeciwnym razie lecznicze własności nie mogły przejść do ciała chorego i nie mogły wygnąć zeń choroby. I wogóle, zbierając kwiaty lilii w celu leczniczym, trzeba było postępować zupełnie inaczej, niż z innemi kwiatami: zrywać tylko w oznaczone godziny, zatknąwszy uszy i przemawiając do niej łagodnie. Po tem przemówieniu, należało nagle wyciągnąć rękę i zerwać kwiatek.

Odcinanie zaś nożycami, nożem, albo wogóle czemś ostrem, było surowo wzbronionem, bo w takim razie lodyga pocznie krwią spływać, a tego, kto ją zetnie, będą prześladowały ciężkie sny, albo nawet

zostanie wciągnięty do wody przez zagniewane ta-
kiem postępowaniem wodne kwiaty.

Kwiatów białej lili nie należało też nigdy przynosić
do domu, bo to groziło zgubą dla całego bydła domo-
wego.

Mistyczne i lecznicze znaczenie miała lilia u Sło-
wian, a także u starożytnych Serbów.



Jestem dzwonek, a nie dzwonię,
Zamiast dźwięków, zapach ronię.

KONWALJA.

(*Convallaria majalis*)



ZY MOŻE BYĆ PROSTSZY
a zarazem śliczniejszy kwia-
tek od konwalii?

Kilka bielutkich, jak z porcelany, dzwoneczków na długiej łodyżce i para jasno zielonych liści, — oto i wszystko, a tymczasem jaki w tem jest wyszukany wdzięk i prostota! Szczególnie piękną jest konwalia na szmaragdowym tle zieleni łączki, lasem obramowanej. Piękna jest też w bukiecie, otoczonym wieńcem z swych liści.

Najwięcej uroku ma jej woń upajająca. Jest to jeden z najsubtelniejszych aromatów, z którym można chyba porównać zapach fiołków i rezedy. Kon-

walii, co prawda, nigdy nie należy stawiać w sypialnym pokoju, bo od jej zapachu można się bólu głowy nabawić, lecz za to, jak miło wciągać w siebie jej woń orzeźwiającą na powietrzu, szczególnie w lesie lub na łące, szmaragdowym kobiercem okrytej.

Obecnie konwalia służy nam jako ozdoba, lecz w czasach starożytnych, była poświęconą bogini Germanów, Ostarze, bogini wschodzącego słońca, zorzy promiennej i wiosny. W cześć jej, zapalano stosy i urządzano uroczystości, na których wszystkie młode dziewczęta i chłopcy zdobili siebie kwiatami konwalii, jako kwiatami miłości i szczęścia. Święto to trwało, aż nim konwalie były świeże, a potem gdy już wędły, rzucano je na stosy i palono jako ofiarę przyjemną dla bogini Ostary. Niemiecki poeta, Weber, w swym poemacie „Trzynaście lip“, tak mówi:

„O Boże miłości, o biały Balderze, przyjm łaskawie naszą ofiarę! — Te kwiaty czyste, jak serca nasze u stóp Twych składamy“. I obchodząc kamień ofiarny, rzucali zioła poświęcone, białe dzwoneczki (konwalie) te jasne płatki, te isierki jasne, do stosów zapalonych“.

Z temi też kwiatami szły młode dziewczyny o świcie przed świętem uroczystem do źródła świętego i wodą tą twarz zmywały, żeby jak najdłużej zachować jej świeżość i piękność. Średniowieczne to wierzenie głęboko się zakorzeniło, i dotąd jeszcze można widzieć w niektórych miejscowościach Saksonii, jak na przykład w Altmarku, dziewczęta, idące w nocy

przed Wielkanocą umywać się wodą źródlaną, żeby piękność swą jak najdłużej zachować.

Wraz z wprowadzeniem chrześcijaństwa, boginię Ostarę w podaniach ludowych, zamieniła Najświętsza Panna; i teraz nawet wierzą, że w jasne noce księżycowe, kiedy cała ziemia w śnie głębokim jest pogrążona, Królowa Niebios, otoczona wiankiem błyszczących jak srebro konwalii, zjawia się czasem tym szczęśliwym śmiertelnikom, którym ma zesłać radość niespodziewaną.

Jako odażwięk średniowiecznych obyczajów, spotykamy jeszcze w niektórych wioskach Francyi zwyczaj dorocznego święta konwalii, który się dotąd przechował. Dzieje się to zwykle w pierwszą niedzielę maja. W tym dniu, popołudniu, mieszkańcy kilku sąsiednich wiosek wybierają się do najbliższego lasu po konwalie. Idą nie tylko młodzi, lecz i starzy, by nie zostawiać młodzieży bez opieki. Do lasu idą całą gromadą, starając się od siebie nie oddalać i, uzbierawszy jak najwięcej konwalii, każdy ze swym plonem wraca przed nocą do domu.

Nazajutrz, uzbieranemi konwaliami zdobią w domach okna, kominki i stoły, dodając nieraz do konwalii kwiaty bzu. Potem nakrywają do stołu, stawiają przekąskę i zapraszają młodzież na śniadanie. Wszyscy jedzą, gawędząc i śmiejąc się wesoło i śpiewają pieśni na cześć konwalii, która w tym dniu jest symbolem wiosny, a w końcu urządzają tańce. I tu właśnie największą rolę odgrywa konwalia. Chłopcy zapraszają

jak zwykle dziewczęta do tańca, lecz dziewczęta wyrażają zgodę nie zapomocą słów, lecz za pośrednictwem konwalii. Dzieje się to w ten sposób: Każdy chłopiec i dziewczyna ma bukiecik konwalii przypięty u piersi. Kiedy chłopak zaprasza dziewczynę do tańca, to ona na znak zgody podaje mu swój bukiet, który on wkłada w klapę surduta i z kolei podaje jej swój, który ona przypina do stanika. Wybrawszy jeden drugiego, młodzi ludzie nie rozstają się już przez cały wieczór i tańczą zawsze razem.

Obecnie taki wybór wyraża tylko wzajemną sympatię i kończy się zobopólnym tańcem przez cały wieczór. Lecz w dawniejszych czasach bukiecik konwalii miał daleko głębsze znaczenie, wyrażał poniekąd zgodę młodych ludzi do zawarcia małżeństwa, a wieczór ten kończył się zwykle kojarzeniem się kilku par młodzieży.

Jeżeli, na przykład, chłopiec chciał wypowiedzieć dziewczynie swe uczucie, to prosił ją o szpilkę i przypinał nią sobie swój bukiecik. Odmowa w podaniu szpilki, dawała poznać, że dziewczyna nie zgadza się zostać jego żoną.

Jeżeli chłopak był dumny, lub nieśmiały, to przedtem, nim prosił o szpilkę, dawał dziewczynie swój bukiecik. Dziewczyna, która przyjmowała bukiecik i przypinała go sobie, wyrażała przez to samo swą sympatię i zgodę wyjścia za niego.

Rzucanie konwalii na ziemię miało rozmaite znaczenie: można było przez to wyrazić po prostu

obojętność i nie zgodzenie się wyjścia za mąż, lecz gdy przytem deptano ją nogą, to oznaczało już wstręt lub antypatyę.

Jeszcze dawniejszą pamiątką średniowiecznego zwyczaju były urządzone w 20-tym roku przeszłego stulecia majówki i spacery przez mieszkańców miasta Hannoveru do lasu Eilereide, w którym konwalie rosły tak obficie, iż pokrywały całe polany. Ci, co brali udział w tych przechadzkach, mówią, iż nie sposób opisać, czarownego poprostu, widoku, jaki przedstawiały z siebie te leśne błonia, obsypane jak śniegiem, białem kwieciem konwalii o miłej i subtelnej woni. Rozbijano tam namioty dla picia kawy, lemoniady, lub spożywania różnych przekąsek. Potem, tak jak we Francyi, majówka ta kończyła się tańcami, wśród których najmiłszym był, tak zwany, niemiecki walc Länder.

Wszystkie drogi, które prowadziły do lasu, roily się od tłumów gości rozmaitego wieku, którzy od wczesnego ranka, aż do późnego wieczora spacerowali po lesie, zbierając konwalie. I nikt nie wracał do domu bez olbrzymiego pęku tych kwiatów, któremi zdobiono wszystkie pokoje i drzwi wejściowe.

Po przekwitnięciu konwalii, wyrasta zwykle okrągła, pąsowa jagódka.

O tej jagódce jedno niemieckie podanie mówi, że to nie są jagody, lecz palące, ogniście lzy, i że temi łzami konwalia oplakuje kończącą się wiosnę, do której pała

beźmierną miłością. Lecz i sama Wiosna, — głosi to podanie — była nieobojętną dla malutkiego kwiatka, odzianego w bieluchną sukienkę i kryjącego się pod szerokimi szmaragdowymi liśćmi. Lecz Wiosna o błyszczącej szacie i jasnych złocistych kędziorach, ta cudna, wesoła, pełna życia istota jest wszechświatową podróżniczką. Nigdzie nie spoczywa, lecz, sypiąc wszędzie hojnie swe pieśczęty, przy nikim się dłużej nie zatrzymuje; ten sam los spotkał miły nasz kwiatek. Wiosna do tego stopnia go oczarowała, że rozkwitł od szczęścia, zakochał się bez pamięci w czarodziejce i począł żyć tylko jej życiem... Lecz Wiosna przeszła, znikła bez śladu i zostawiła biedaka wśród rozpalonego żarem lasu. Biedny kwiatek, który niegdyś cieszył się miłością Wiosny, milcząc zniósł teraz swój ciężki smutek, lecz malutkie dzwoneczki się osypały, a na ich miejsce, z samego serca wypłynęły ogniście-pąsowe kropelki łez krwawych.

Z konwaliami połączone jest też w niektórych miejscowościach Niemiec podanie o białej dziewicy, która ukazuje skarby ukryte. Dziewica ta pojawia się w nocy księżycowe z bukietem konwalii, zwykle w pobliżu tego miejsca, gdzie skarb jest zakopany. Podobne zjawisko widziano i widzą jeszcze, jak mówią, co siedm lat niedaleko zamku Wolfarstweiber w Hesse-nie. Najciekawszem zaś jest to, że ta dziewczyna w bieli pojawia się w tej miejscowości (jak n. p. Orpferöde), której mieszkańcy byli niegdyś obowiązani zamiast czynszu, za prawo korzystania z tej ziemi, przynosić

właścicielowi co roku bukietik konwalii. Prawdopodobnie żył tam niegdyś szlachetny baron, właściciel tej ziemi, który nie chcąc obciążać wieśniaków pieńniżnym podatkiem, brał od nich co roku te kwiaty. Szlachetny baron dawno już umarł, umowa zaginęła, lecz podanie wiernie się przechowało, a z niem ten zwyczaj miły, lecz oryginalny.

Ponieważ kwiat konwalii ma formę kropli, więc z tej przyczyny poczęto jej przypisywać lekarskie własności. Żeby to objaśnić, trzeba wiedzieć, że w wiekach średnich, stosownie do wyglądu roślin, przypisywano im odpowiednie lekarskie znaczenie. Z tej samej przyczyny i konwalie, mające formę kropli, uważano jako wyborny środek (który w kroplach używano) od paraliżu — Schlagfluss. Dla przyrządzenia tego lekarstwa, zalecano zbierać kwiaty o wschodzie słońca, nim jeszcze rosą były pokryte, i zalewać malmazyą (wino), wyciąg zaś ten uważano jako wyborny środek lekarski, który nosił nazwę „*Aqua apoplectica Hartmani*“. Lecz to, do czego średniowieczni lekarze doszli tylko wypadkiem, okazało się w naszych czasach wybornym środkiem od bicia serca. Oprócz tego, Anglicy robią z wyciągu kwiatów konwalii, coś w rodzaju eliksiru, znanego pod nazwą „złotej wody“ (*Aqua aurea*), bo sprzedają go w pozłacanych lub posrebrzanych flakonikach. Wyciąg ten służył dla wzmocnienia nerwów i od bólu głowy, używano go też przez czas jakiś w chorobach zakaźnych.

Nakoniec, wysuszone kwiaty i kora konwalii, na

drobny proszek utłuczone, używano przez czas jakiś jako tabakę od kataru i bólu głowy. Jednak pomimo korzyści, jaką przynoszą, kwiaty te bardzo są szkodliwe dla ptactwa domowego. Nieraz się zdarzało, że kury, lub inne ptactwo, najadłszy się tej rośliny, trwały się, lub nawet umierały.

Lecz najciekawszem jest to, że zapach konwalii jest zabijającym dla niektórych kwiatów. Zresztą, to wrogie, — jeżeli się tak można wyrazić, — usposobienie jednych kwiatów względem drugich można zauważyć wśród innych też kwiatów. Tak też róża i rezedza nie znoszą się nawzajem.

Żeby się o tem przekonać, trzeba tylko zerwać te dwa kwiaty i postawić je w szklance z wodą. Po upływie najpóźniej pół godziny, te dwa kwiaty obok siebie postawione, poczynają już więdnąć, gdy tymczasem inne kwiaty razem włożone, są jeszcze całkiem świeże. W podobny zabójczy sposób działa zapach konwalii i na inne kwiaty; konwalia zabija niemiłosiernie wszystkie swe woniejące sąsiadki, szczególnie zaś nie lubi bzu, i jeżeli oba te kwiaty postawić razem do wody, to bez szybko więdną.

Lecz jeżeli niektóre kwiaty w tak zabójczy sposób działają na swych sąsiadów, to bywa jednak i przeciwnie. Tak np., rezedza czuje siebie wybornie z heliotropem i nawet jakby woń jego potęguje. Konwalia zaś żyje w zgodzie z niezapominajką i zdaje się dodawać jej świeżości i uroku.

W państwach starosłowiańskich, jak n. p. w Sa-

skiem lub na Śląsku, konwalia nosi po wendsku nazwę „strup“, kora, bo tą rośliną leczono tam podobno wyrzuty na głowie. Sokiem zaś z jej korzenia dziewczęta nacierały sobie policzki, żeby je rumieńcem okraścić.

Są dwie zagadki niemieckie o konwalii:

„Ein Glöckchen ist mir wohlbekannt,
Es schimmert hell im ganzen Land.
Aus Silber scheint es dir gegossen,
Doch ist es aus der Erd entsprossen.

* * *

Mit einem Klöppel ist's vorseh'n,
Doch hörte niemand sein Getön.
Auch hat's auf keinem Turm gehangen,
Es kann nur in der Tiefe prangen“.

(Znam dobrze jeden dzwoneczek, który błyszczy jasno w całej okolicy. Zdaje się być ze srebra ulanym, lecz wyrósł z ziemi; ma nawet i serduszek, lecz nigdy nikt jego dźwięku nie słyszał. Nie wisiał on także na żadnej dzwonnicy, lecz tylko błyszczy i jaśniej w ukryciu).



PIWONIA.

(*Paeonia officinalis*).



PIWONIA JEST JEDNĄ z najpiękniejszych naszych roślin ogrodowych, o bardzo bujnych, jaskrawo zabarwionych kwiatach i pięknie wyciętych liściach.

W dawniejszych czasach, gdy w majątkach naszych bogatych obywateli zwracano szczególną uwagę na ozdobę klombów w parkach, piwonia była jedną z ozdób głównych i, zimując w gruncie nawet bez okrycia w przeciągu długich lat, stała się wkońcu jakby miejscową rośliną, o bardzo wielkich rozmiarach, i okrywała się obficie pysznymi kwiatami.

Naukową swą nazwę „*Paeonia*“, podług jednych źródeł, kwiat ten otrzymał od miejscowości Peonii we Frakii, gdzie jedna z jej odmian rosła dziko w bardzo dawnych czasach. Zaś według słów Pliniusza, kwiat ten otrzymał nazwę od Peona, ucznia

staro-greckiego lekarza Eskulapa, który leczył bardzo umiejętnie za pomocą tego kwiatu, wyleczył nawet boga piekła, Plutona, od rany, którą mu zadał Herkules.

Nigdzie na świecie prześliczny ten kwiat nie cieszył się i nie cieszy taką miłością i czcią, jak w Państwie Niebieskiem. Tu uprawiają go już więcej niż 1.500 lat i jest ulubionym narodowym kwiatem, tak jak chryzantema u Japończyków i róża u Europejczyków. Wszyscy tu lubią piwonje, bogaci i biedni, znakomici mandaryni i lud prosty. Chińczyk, chcąc zrobić szczególną przyjemność młodej dziewczynie, ofiaruje jej piwonie. Narzeczoney, chcąc okazać miłość swej narzeczonej, daje jej też piwonie. Jeżeli starający się podaje pannie piwonie, a ona ją przyjmie, to tem samem bez słów wyraża swą zgodę.

Lecz oprócz tego, uprawa i rozmnażanie piwonii uważa się w Chinach jako pobożne zajęcie, którem się bogowie opiekują, i dlatego Chińczycy oddają mu się nie z mniejszym zapalem, jak hollendrzy uprawie tulipanów i hyacyntów, — i nieraz można tu spotkać całe ogrody, zasadzone samemi tylko piwoniami najróżnorodniejszych gatunków, odmian, barw i odcieni. Z tej przyczyny powstało o pochodzeniu tego kwiatu nie mało ciekawych, poetycznych podań, z których najpopularniejsze jest następujące :

Żył sobie niegdyś, — głosi to podanie, — pewien namiętny amator piwonii, niejaki Cho-czi. Jakich bo piwonii on nie hodował! Były u niego białe, jak ła-

będzie, i opalowe, jak zachód słońca, były ciemno i jasno-różowe, były z gładkimi listkami i ze zwiniętymi, jak kędziory, pachnące i bez woni. I cieszył się nimi od rana do wieczora i od wieczora do rana. Gdy zakwitły, to ogród jego był tak cudny, że sam cesarz mógł mu pozazdrościć.

Lecz oto, pewnego razu, przechodził koło jego ogrodu Czong-Ei, syn jednego znakomitego mandaryna, ze swemi towarzyszami, wielki nicpoń i gbur. Ujrawszy piwonie, rzucił się na nie z kijem i począł je zbijać i deptać nogami. Stary Cho-Czi błagał go i płakał, lecz nicpoń nie słuchał go wcale, łamał je dalej i kaleczył.

Wtenczas, straciwszy cierpliwość, starzec zebrał wszystkie swe siły, rzucił się na napastnika, zbił go mocno i wypędził z ogrodu. Naprawić jednak to, co było zepsutem, było zbyt trudnem. Nie zostało nic innego, jak czekać, by czas sam je naprawił. I starzec siedział, zalewając się gorzkimi łzami.

Wtem, zjawila się przed nim prześliczna młoda dziewczyna. Podeszła ku niemu i spytała: „Za czem, kochany staruszk, tak gorzko płaczesz? Nie płaczcie, przodkowie moi zostawili mi dar ożywiania wszystkiego, co zmarłe, przynieście mi tylko trochę wody“.

Ucieszony starzec rzucił się po wodę, lecz idąc zwątpił w jej obietnicę i zawrócił z drogi. Lecz, o cud! młoda dziewczyna już znikła, a wszystkie jego kwiaty odżyły i stały się sto razy piękniejsze; proste zamieniły się w pełne, jednobarwne — w pstre. Na jednym krzaku

były kwiaty najrozmaitszych gatunków, a barwy ich jaśniały blaskiem niezrównanym.

Wiść o tym cudzie szybko się rozeszła po całym kraju, i zewsząd poczęły napływać do starca tłumy, by podziwiać tak cudownie wskrzeszone kwiaty.

Lecz zbity przez starca Czang Ej, rozgniewany takim jego powodzeniem, nie mógł mu zniewagi darować i postanowił koniecznie się zemścić. I oto rzucił oszczerstwo na Cho-Czi, obwiniając go o czarodziejstwo.

Starca porwano i rzucono do więzienia, skazano na śmierć i naznaczono nawet dzień, w którym miano go stracić.

A tymczasem Czang-Ei, upiwszy się, poszedł znowu ze swemi towarzyszami do ogrodu starca i począł znowu deptać i łamać jego cudne kwiaty.

Lecz nagle zerwał się silny wiatr, i za jego podmuchem wszystkie piwonie powstały i zamieniły się w prześliczne młode dziewice, ubrane w takie same jasne suknie, jak listki najpiękniejszych z kwiatów, i jedna z nich, zwracając się do swych towarzyszek, rzekła: „My wszystkie jesteśmy siostrami kwiatów. Wrogowie Cho-Czi, który tak starannie pielęgnuje piwonie, są i naszymi też wrogami. Zbierzmy siły i rozpocznijmy walkę z nimi!”

I oto poczęły powiewać swemi szerokimi rękawami, suknie zaczęły się gwałtownie poruszać i powstał tak silny huragan, że niebo stało się czarne, jak atrament, a dzień jasny zamienił się w noc głęboką. Pochwyceni wiatrem, towarzysze Czang-Eja ude-

rzali o pnie drzew, kluci byli ich kolcami i cierniami, bici z taką siłą gałęzmi i lodygami, że zostali nawpół żywi, a sam Czang-Ej, podrzucony na olbrzymią wysokość, upadł do rowu z gnojem i tak mocno się uderzył, że natychmiast życie zakończył.

Dowiedziawszy się o tem, co się stało, sędzia ogromnie się przeraził, zmienił natychmiast wyrok śmierci, darował winę starcowi i wydał surowy rozkaz, by nikt nie śmiał nigdy dotykać kwiatów w jego ogrodzie.

I tak, Cho-Czi począł żyć sobie spokojnie, pielęgnując znowu swe kwiaty i błogosławiąc cudowną boginię, która uratowała go od śmierci i jego kwiaty ożywiła. Włosy jego z siwych znowu stały się czarnymi, zmarszczki znikły, a twarz stała się świeżą i piękną, jak niegdyś za czasów młodości. We wszystkim odczuwał opiekę swej cudownej bogini i żył pełen radości i szczęścia... I oto, pewnego razu, gdy z zachwytem wpatrywał się w świeżo rozwiniętą, prześliczną piwonię, powiał nagle ciepły, delikatny wiaterek, po całym ogrodzie rozlała się woń cudowna i zadźwięczała prześliczna, boska, nigdy przez niego nie słyszana melodia... I gdy Cho - Czi podniósł oczy do góry, ujrzał spuszcającą się na różowym obłoku młodą boginię, przed którą kroczyły białe bociany i Feniks lazurowy. „Cho-Czi, — rzekła bogini, — ty dosięgłeś szczytu doskonałości, Stwórca wszechświata, chcąc cię nagrodzić za twą bezgraniczną miłość do kwiatów, woła cię w Swe niebieskie ogrody ; pójdź więc za mną!”

Cho-czi wstąpił na oblok i wzniosł się powoli do góry. A za nim podniósł się jego domek i otaczające go drzewa, kwiaty, piwonie i wszystko, co on kochał. A z obłoku dał się słyszeć głos ; „Ten, kto kocha kwiaty i wiernie je strzeże, pomnaża szczęście swoje i wiecznej szczęśliwości dostąpi. Ten zaś, kto z niemi źle się obchodzi, lub je niszczy, — ten będzie nieszczęśliwy i zasłuży na karę najsurowszą!“

Potem oblok znikł w przestworzach niebieskich, a w powietrzu dawał się czuć lekki powiew wiatru, przepojonego cudowną wonią.

I odtąd, — kończy legenda, — miejsce, gdzie żył Cho - Czi, poczęło się nazywać „mieszkaniem sprawiedliwego“, który się uniósł żywy do nieba, to zaś miejsce, gdzie jego ogród się znajdował — nazywano ogrodem „stu kwiatów“.

W języku wschodnich narodów, piwonia oznacza zwykle „wstydlivość i nieśmiałość“, skąd zapewne powstało przysłowie : „spłasowała jak piwonia“, które się zastosowuje do młodych dziewcząt, łatwo się rumieniących. Z innej znów strony, piwonia była uważaną jako symbol niezgrabności i głupiej pychy, o czym Montegazza opowiada następującą legendę :

Pewnego razu, — mówi on, — bogini Flora otrzymała od ojca bogów, Jowisza, bardzo drażliwe, lecz ważne polecenie: udać się na planetę Wenus i uśmierzyc bunt, który powstał tam wśród kwiatów. Lecz mając się udać w tak daleką i długą podróż, Flora nie mogła na czas swej nieobecności zostawić ziemskie

kwiaty bez opieki, i dlatego, spuściwszy się z nieba, zwołała wszystkie kwiaty i poleciła im wybrać z pośród siebie czasowego opiekuna lub opiekunkę, któraby ją zastąpić mogła. Na rozważenie tej kwestyi dała im 48 godzin, po upływie których, kazała się im znowu zebrać i rozstrzygnąć wybór ilością głosów. Kwiaty zgodziły się na to i rozpiechły po lasach, górach i dolinach, by się naradzić, kogo mają wybrać.

Dwa dni minęło, i wierna swemu słowu, Flora usiadła na pniu, porośłym aksamitnym mchem szmaragdowym, czekając, aż wszystkie kwiaty do niej się zbliżą.

I oto, poczęły zewsząd napływać dzieci Flory, ubrane w swe najświeższe, najzgrabniejsze listki i ozdobiwszy siebie, którego stać na to było, najpiękniejszymi pachnącymi kwiatami. Nigdy jeszcze nie było tak liczного zebrania, nigdy jeszcze Flora nie miała tak cudnego widowiska. Pierwszy raz widziała swych prześlicznych poddanych w całym komplecie.

Wszyscy się już zebrali, brakowało jednej tylko róży, która, wedle praw wszelkich, powinna być obraną, jako zastępczyni bogini Flory. Wszyscy milczeli i czekali na nią cierpliwie, tylko głupia piwonia, zarozumiała w swej doskonałości, marzyła o tem, że z powodu nieobecności róży, ona napewno zostanie wybraną.

Lecz oto nareszcie zjawiała się precudna, z niczem nieźrównana róża-krasawica i wszystkie kwiaty umilkły mimowoli, zachwycone jej majestatem i pię-

knością. Piwonia tylko patrzyła na nią wyzywająco. Jej listki, jakby krwią nalane, nadymały się z całej siły i starały się zaćmić różę swą wielkością.

Taka arogancja wprawiła wszystkich w zdumienie. Wszystkie kwiaty spoglądały na siebie ze zdziwieniem, a Flora mierzyła ją wzrokiem, z drwiącym uśmiechem na ustach. Lecz nie zwracając na nikogo najmniejszej uwagi, gorejąc swą barwą ognistą, piwonia patrzyła wciąż na różę z zarozumiałością i pogardą, na inne zaś kwiaty z dumą wyniosłą, — a na Florę wzrokiem, który wyrażał zupełną pewność zwycięstwa.

Nastąpiła nareszcie chwila wyborów. Wszystkie kwiaty podały głos za różą, tylko zawstydzona piwonia wołała: „Nie zgadzam się na to, nie zgadzam“!

Wtenczas Flora, zdejmując z głowy swą królewską koronę, włożyła ją uroczyście na głowę róży, a potem zwracając się z pogardliwym uśmiechem do piwonii, rzekła: „Dumny, głupi kwiecie! niechże cię spotka kara za twą pychę i próżność! Zostaniesz na zawsze takim grubym, nadętym kwiatem, i niech żaden motylek nie obdarzy cię nigdy swym pocałunkiem, niech żadna pszczołka nie weźmie miodu z twego kielicha i żadna dziewczyna nie przypnie nigdy twego kwiatu do piersi“!

Jak rzekła bogini, tak się też stało. Piwonia została grubą i nadętą i jest odtąd symbolem pychy i zarozumiałości...

Piwonia, która się u nas uprawia, rośnie dziko w Alpach szwajcarskich, we Włoszech i Portugalii.

Oprócz tego, na południu, np. w Krymie, można spotkać jeszcze bardzo piękną odmianę białej syberyjskiej piwonii (*P. albiiflora*), której kwiaty pachną, jak białe narcyzy. Gatunek ten jest w wielkiem poważaniu u Mongołów i Daurów, którzy gotują korzeń tej piwonii w zupie i dodają do herbaty jej palone nasiona. Mongołowie nazywają ten kwiat „dochiną“.

Gatunek ten był przywieziony do Europy dość późno, a mianowicie w 1788r. Cudne, pachnące kwiaty tej piwonii boją się bardzo wody i dlatego, jeżeli w dżdżysty czas nie są zakrywane, to wkrótce gniją i ciemnieją.

Co się tyczy chińskiego gatunku, to on nosi nazwę drzewiastego, bo pieńek jego robi się z czasem twardy, jak drzewo. O pochodzeniu jego powiadają rozmaicie: jedni mówią, że był wyhodowany ze zwykłego trawiastego gatunku za pomocą szczególnej kultury, inni znowu, — że był najpierw znaleziony w jakiejś prowincyi Chin północnych, a potem już przeniesiony do południowych, gdzie go zaczęto następnie uprawiać.

Wyhodowany z nasion, daje ogromną ilość odmian, z których nowe gatunki cenione są nieraz na wagę złota. Ilość zaś odmian dochodzi nieraz do kilkuset, z których wiele odznacza się nadzwyczaj miłym zapachem.

Do nas, niestety, — większość z nich nie może być przywieziona, bo są nadzwyczaj delikatne, uprawiać zaś je na wolnem powietrzu, w gruncie, jak europejską

odmianę, — bardzo jest trudnem. Gdy kilka z tych rzadkich gatunków przywieziono do Paryża, to znany francuzki ogrodnik, Noisette, płacił za nie od 1½ tysiąca franków do stu louisów za jeden egzemplarz, — hodowanie jednak tych gatunków w ogrodzie nie dało dobrych rezultatów.





BEZ.

(*Syringa vulgaris*).

Z pachnącym bzem kojarzy się zwykle wspomnienie o wiosnie, o cudnym maju, gdy odnowiona przyroda staje w całej swej krasie i młodości. Drzewa i krzewy okryte są świeżą wonną zielenią, łąki — usiane różnobarwnymi kwiatami, w lasach rozlegają się całe chóry ptasząt, u skraju lasu brzęczą pszczoły i trzmiele, w koło kwiatów fruwają jasne, różnobarwne motyle, które przed chwilą wyległy się z poczwarki, — a jakże lekko się oddycha, jakże by się chciało żyć i żyć bez końca!

Obciążony bujnemi kiściami swych prześlicznych białych i liliowych kwiatów, bez służy za ozdobę dla naszych ogrodów. Miła woń jego zalatuje już z daleka, i ręka mimowoli ku niemu się wyciąga, by go zerwać, ułożyć zeń bukiet i ozdobić nim mieszkanie.

O powstaniu tego prześlicznego kwiatu, znajdujemy u Montegazzo następującą legendę:

Była wiosna. Długi sen zimowy ziemi miał się ku końcowi. Jeszcze się ona rozkoszowała w ostatniej słodkiej drzemce, która poprzedza przebudzenie. Śniły się jej cudne obrazy pierwszych dni wiosennych, błękitne niebo, kwiaty na polach i wesoly szczebiot ptasząt. Ona gorzała namiętnem pragnieniem otrzymania wszystkich bogatych darów wiosny, chciała doznać znowu tej cudnej rozkoszy, tych upajających zachwyków, jakie wiosna ze sobą przynosi, znowu przeżyć tę czarowną baśń swego życia.

I oto, bogini wiosny, wraz ze słońcem i tęczą, spuściła się na ziemię, by ją ze snu obudzić a ożywiająca łaska promieni słonecznych, ciepła i pieszczoty, gorącą falą ziemię zalała. Zaszumiały wiosenne potoki, łąki zazieleniały. Bogini wiosny wzięła w swe dłonie promienie słońca, zmieszała je z różnobarwnymi promieniami tęczy i poczęła rzucać je na ziemię. I wszędzie, gdzie tylko padły te ożywcze promienie, zakwitała ogromna ilość kwiatów przeróżnych. Pola upstrzyły się ich delikatnymi, różnobarwnymi główkami. Widniały one i na stokach gór i w skał szczelinach, kwitły na wilgotnych łąkach i w lasu gęstwinie, zdobiły i drobne trawki i gęste kędziory krzewów i wyniosłe drzewa.

Tak hojnie sypała wiosna kwiatami na drodze uroczystego swego pochodu po ziemi, krocząc od uroczego, jasnego, ciepłego południa, aż do zimnej, ponu-

rej, ciemnej północy. Lecz w miarę tego, jak odbywała tę długą podróż, promienie słońca słabszymi się stawały, i gasły kolory tęczy różnobarwnej.

Zmęczone długą drogą, zapragnęło słońce odpocząć i powoli przerywało swą twórczą pracę. Tęcza już zużyła swe najpiękniejsze barwy i bardzo nie wiele ich pozostało dla biednej północy. Posiadała ona jeszcze jednak dość dużo liliowych promieni, ostatnich w jej siedmobarwnym kole. I temi oto promieniami poczęła bogini wiosny hojnie obdarzać ponure, smutne pola Północy, na których gdzieś rośli wysokie krzewy. I z tych promieni formowały się natychmiast przepyszne, ciężkie kiście liliowych kwiatów.

To był — bez.

Kwiaty te ożywiły trochę smutny północny krajobraz, ale ponieważ wszędy widniały same tylko liliowe kwiaty, więc nie było różnorodności, i to się nie podobało bogini.

I żał jej się zrobiło tego biednego, zaniedbanego kraju, z jego surowym klimatem, z ubogą roślinnością, takiego smutnego, nie pociągającego, na którego dolę tak mało wypadło ciepła i światła, tak mało promieni słonecznych i barw cudnych, hojnie udzielonych dalekim, szczęśliwym krajom Południa.

Więc dobra i miłosierna bogini wiosny postanowiła obdarzyć skrzywdzoną Północ jeszcze jakimiś kwiatami, a przez to samo choć trochę ożywić i ozdobić jego ponurą przyrodę.

Zmieszała więc resztę pozostałych siedem kolo-

rów i rozrzuciła je w postaci promieni na ziemię. Od połączenia tych siedmiu barw sformował się jeden tylko biały kolor.

I wśród bukietów bzu liliowego, pojawiły się zupełnie takie same kwiaty, lecz były śnieżnej białości.

Delikatny kontrast tych dwóch odcieni mile pieścił oko skromną harmonią swych barw subtelnych.

Od tego czasu bez, przeniesiony do nas, stał się jednym z ulubionych i prześlicznych kwiatów północnej wiosny.

I oto dłaczego bez poczyną się rozwijać już w pierwsze ciepłe dni wiosenne, i nigdzie tak obficie i pięknie nie kwitnie, jak w Szwecyi i Norwegii.

W Europie bez jest przybyszem. Ojczyznę jego jest Azja mniejsza, a mianowicie Persya, skąd on trafił do nas dopiero w XVI stuleciu. Najpierw się zjawił w 1562 r., kiedy Angerius Busbey, otrzymawszy go ze Wschodu, przywiódł go do Wiednia z Konstantynopola. W tem mieście Busbey bawił u sułtana Solimana, w charakterze posła cesarza Ferdynanda I-szego. O tym pewnie czasie trafił ten kwiat i do Anglii, bo przy opisie parku ulubionej willi królowej Elżbiety założonego jeszcze za panowania Henryka VIII-go, wspominają o tem, że w tym parku było kilka marmurowych basenów, wokoło których rosło 6 krzaków bzu, posiadającego woń bardzo miłą. Opis ten był ułożony za panowania Karola II, który podarował tę willę całą i park jednej ze swych fawo-

rytek, która doprowadziła wszystko do upadku, a potem sprzedała to, co było cennego.

Wskutek tego, w XVI stuleciu, bez stał się w Europie jeszcze większą rzadkością, lecz niewybredność tego krzewu co do wyboru gruntu, jego wytrzymałość na dość surowy w tym czasie klimat średniej Europy i jego cudne, pachnące kwiaty, sprawiły, że stał się wkrótce powszechnym ulubieńcem, tak, że przez 40 lat nie było w Europie ani jednego prawie ogrodu lub parku, któryby nie był obficie zasadzonym bzem białym lub liliowym.

Szczególniej trafił bez do gustu Niemcom: robiono zeń bukiety, splatano wianki, i nie było prawie domu, któregoby krzak bzu nie zdobił. Dzieci bawiły się nim tak, jak i teraz, robiąc z jego oddzielnych kwiatów, wsuwając je jeden do drugiego, krzyżyki i wianki, które potem zasuszali. Przyglądano się też uważnie kwiatom, szukając tak zwanego „szczęścia“ t. j. tych kwiatów, które zamiast zwykłych 4-ch listków, — pięć, sześć, dziesięć i więcej posiadają. Przyczyną tego szczególnego powiększenia ilości listków jest zrastanie się kilku kwiatków razem, co jest bzu właściwością.

Takie zrosnięte kwiatki mają czasem po 20, 25, 30, a nawet więcej listków. Te właśnie kwiatki uważane są za „szczęście“, i dlatego każda młoda dziewczyna, otrzymawszy bukiet bzu, zaczyna zaraz szukać te kwiaty, i im większa będzie ilość listków, tem większe czeka ją szczęście. Najwięcej kwiatów takich ma bez

biały, liliowy zaś posiada ich mniej, i dlatego znaleźć w liliowym bzie taki kwiatek, uważa się za większe szczęście. Znalazłszy taki kwiatek, zasuszają go, albo zjadają.

Zdarza się jednak czasem, że zamiast 4-ch, kwiatek posiada tylko 3 listki, i wtenczas kwiat taki uważa się za „nieszczęście“. Kwiatki szczęśliwe, to jest te, które posiadają 4 listki, są wyrabiane często z emalii i złota, i służą na ozdobę broszek, pierścieni, lub bransoletek i t. d., drukuje się także na papierze, kopertach i różnych drobiazgach toaletowych.

Kwiaty bzu posiadają nadzwyczaj miły, subtelny zapach gorzkich migdałów. Zapach ten pochodzi, jak przypuszczają, od nadzwyczaj małej ilości kwasu pruskiego, tej strasznej trucizny, której 0,5 gr. wystarcza, żeby zabić człowieka, której zawartość w ilości 0,1 na metr kubiczny powietrza, staje się śmiertelną dla owadów, a nawet dla zwierząt, które tem powietrzem oddychają. Podług najnowszych badań francuskiego chemika Bourquelot, kwas ten zawiera się nie tylko w kwiatach, lecz także w liściach bzu. Żeby go stamtąd wydobyć, wystarczy przegotować liście w przeciągu 20 minut, w mocnym, spirytusie, dodając trochę wapna niegaszonego. Trudno zdawałoby się przypuścić, że liść w sobie ten kwas zawiera, dlatego, że wcale go zapachem nie zdradza, okazuje się jednak, że liście więcej go posiadają, niż kwiaty, bo z jednego kilogramu świeżych liści można otrzymać 126 miligramów kwasu pruskiego. Tem się też wido-

cznie objaśnia własność lekarska tych liści, które się przykłada skutecznie do ran, z trudnością zagoić się dających. Działanie ich w tym razie bywa wprost zdumiewajacem, i nieraz dało się słyszeć o zagojeniu takich ran, wobec których medycyna była bezsilną. Do ran używa się zwykle liści świeżych. Należy też nadmienić, że straszna ta trucizna znajduje się jeszcze w korze i kwiatach czeremchy, w świeżych liściach wiśni i brzoskwiń. Lecz najwięcej trucizny tej zawierają gorzkie migdały. Jest też jej trochę w ziarnach jarzębiny i w kwiatach naszej tawuły błotnej (*Spiraea Ulmaria*), która rośnie w rowach i na brzegach niewielkich ruczajów, i której dość miły, silny zapach trochę zapach bzu przypomina.

Nazwa naukowa bzu, — „*Syringa vulgaris*“ pochodzi od greckiego słowa „*Syrinx*“ — trąbka, fujarka, bo jeżeli wybrać z gałązki bzu miękkie srodek, to można z niej zrobić coś w rodzaju fujarki, — fujarka zaś, podług starożytnego podania, była wynalezioną przez mitologicznego boga, Pana, który zrobił ją z trzciny, w którą się zamieniła piękna nimfa Syrinx, ^{która} ze strachem uciekająca od prześladowań tego boga. O tem przeistoczeniu Owidyusz tak pisze w swych ślicznych *Metamorfozach* :

Inter Hamadryadas celebra...

Nojas fuit. Nymphae Syringa vocabant.

.....
Panaque, quum prensam sibi jam Syringa putaret.

Corpore pro Nymphae calamos tenuisse palustres ;
Dumque ibi suspirat, motos in arundine ventos
Effecisse sonum tenuem, similenque querenti.

(U stóp zielonych wzgórz Arkadyi, wśród leśnych nimf, żyła znakomita nimfa, imieniem Syrinx. Wracając pewnego razu z gór, spotkała boga Pana. Nimfa poczęła uciekać, lecz była powstrzymaną biegiem wody rzeki Ladony. I oto poczęła błagać swej siostry — wody tej rzeki, żeby one, zmieniawszy postać, ją przepuściły. W tej chwili dopędza ją Pan, chce ją objąć, lecz zamiast Syrinx, obejmuje tylko trzcinę, w którą ona się zamieniła i która wiatrem poruszona, wydaje dźwięk, do skargi podobny...)

Po francuzku bez nazywa się „Lilas“, skąd też pochodzi nazwa barwy liliowej. Słowo to jest perskie i oznacza „kwiatek“. Na Wschodzie, skąd, jak już wiemy, bez pochodzi, jest on emblematem smutnego rozstania, i dlatego zakochany podaje go swej umiłowanej zwykle tylko wtedy, gdy się z nią na zawsze rozstaje.

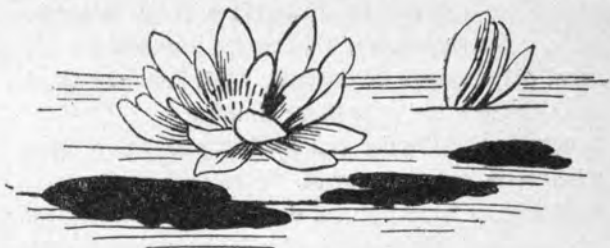
W Niemczech nazywają go często zamiast „Flie-der“, która jest jego nazwą prawdziwą,— „Hollunder“ t. j. bez koralowy, mieszając w ten sposób ze sobą obie te rośliny.

W ostatnich latach, nie zadawalniając się tą prześliczną ozdobą, jaką nam daje na wiosnę bez, kwitnący na wolnem powietrzu, ogrodnicy starają się wyhodować go sztucznie, żeby mieć kwitnący bez biały na

Wielkanoc, a nawet na Boże Narodzenie. Wyhodowany w ten sposób, bez kwitnie na niewielkich krzewach, posadzonych do doniczek i jest jedną z najmiłszych naszych ozdób w porze zimowej.

Ktoby chciał mieć bez kwitnący w zimie, może z łatwością sam to uczynić.

Trzeba w jesieni wziąć drzewko, z uformowanymi już zielonemi pączkami i, posadziwszy do naczynia z ziemią, postawić je w chłodnym miejscu i dać mu w zimie trochę przemarznąć, następnie za miesiąc do Bożego Narodzenia należy zanurzyć jego gałązki do ciepłej wody o temperaturze $+ 30^{\circ}$ R. i, przetrzymawszy je w tej wodzie w przeciągu 6—8 godzin, postawić w ciepłe, jasne miejsce koło pieca. Pod wpływem tego ciepła, pączki zaczną się rozwijać i dadzą kwiaty i liście. Nie będzie ono jednak okryte tak pysznymi kwiatami, jak to widzimy u zawodowych ogrodników, będzie jednak kwitło i nawet przez czas dość długi. Podobno jest sposób jeszcze łatwiejszy: trzeba tylko naciąć w zimie gałązek bzu i postawić na kilka godzin do ciemnego i chłodnego miejsca, potem zanurzyć na dwie lub trzy godziny do ciepłej wody ($+30^{\circ}$ R), a następnie postawić niedaleko pieca, do butelki z wodą. Gałązki odżyją, dadzą liście i zakwitną.



LOTOS.

(*Nymphaea lotus*)



BLIŻSZYM POKREWIEŃSTWIE z naszą lilią jest znakomity egipski lotos (*Nymphaea lotus*). Kwiaty ma też białe, lecz tylko trochę bujniejsze; najbardziej się różni swemi liśćmi, które mają brzegi nie okrągłe, lecz ząbkowane.

Starożytni Egipcjanie, zauważywszy, że kwiat wypływał nad wodę i rozwijał się o zachodzie słońca, a stulał swe listki i zanurzał się znowu o wschodzie, poczęli przypuszczać, że zjawisko to ma jakiś tajemniczy związek z ruchem ciał niebieskich. I rzeczywiście, jeżeli spojrzymy na lotos, nawet w cieplarni,

to przez dzień prawie cały zawsze zobaczymy go śpiącego ; a w całej swej krasie, na noc się dopiero rozwija. Heine mówi o nim :

„Drży piękny kielich lotosu
O jasnej zorzy rozkwicie,
I z pochyloną główeczką
Czeka na zorzy przybycie.

Księżyc, ów błady kochanek,
Budzi go światłem zwodniczem,
A lotos wita to światło
Bładem marzącem obliczem.

I kwitnie szybko i świeci,
Wznosząc w niebiosą swe sploty,
I drży, i płacze i kona
Z miłosnej serca tęsknoty“.

(Heine. Tłumaczenie Al. Kraushara).

Zresztą to zdanie, że lotosy kwitną tylko w nocy, nie jest zupełnie sprawiedliwem, bo one bardzo często się rozwijają wieczorem i zostają otwarte aż do późnego ranka. Tak n.p., w czerwcu lotos otwiera swe kwiaty o 8-mej wieczór, a stula tylko o 10-tej rano, zaś potem w miarę zmniejszania się dnia, otwiera je nawet o wiele wcześniej, i na przykład w sierpniu kwiaty te kwitną już od 6-tej wieczór.

Mniemany ten tajemniczy związek pomiędzy kwiatami lotosu i ciałami niebieskimi, pobudził Egipcyan

do tego, iż poświęcili go bogowi słońca Ozyrisowi. I dla tej przyczyny, Ozyris jest zawsze wyobrażany z kwiatem lotosu na głowie. Lotosem też zdobiono głowy kapłanów tego boga. Królowie egipscy, na dowód swego boskiego pochodzenia, nakładali też na głowę te kwiaty, a godło ich władzy, berło, miało postać kwiatu lotosu z łodygą.

Wyobrażano go też w postaci pączka albo kwiatu rozwiniętego, na monetach państwowych. Oprócz tego lotos był poświęcony też egipskiej bogini urodzajów — Izys. A ponieważ urodzaj zależał przede wszystkim od wylewu Nilu, którego szlam był główną przyczyną urodzaju, więc lilię uważano jako narzeczoną Nilu. Gdy woda wzbierała, podnosiły się i lotosy, gdy się obniżała, to części podziemne lotosu leżały w piasku. Im dłużej zalewał Nil cały kraj swą wodą, tem więcej kwiatów zjawiało się na jej powierzchni. I dlatego pojawienie się lotosu na wodzie Egipcyanie witali z zachwytem. Egipcscy młodzieńcy i dziewice, zbierawszy kwiatów lotosu, zdobili niemi swe mieszkania i siebie. W wiankach na głowie przebiegali ulice wiosek i miast, witając wszystkich radosnym okrzykiem: „Dużo jest lotosów na wodzie, obfity będzie urodzaj!“

W dowód wdzięczności i radości zdobili też temi kwiatami posąg Ozyrisa i jego ołtarz. A jeżeli przeciwnie, przez czas dłuższy nie było wylewu Nilu, to najlepszym sposobem, by go przyspieszyć, uważano zdobienie wiankami z lotosu posągu bogini Izys.

Liczne zastosowanie miał lotos w Egipcie i w życiu społecznym. Bez niego nie mogła się obejść żadna uroczystość, ani państwowa, ani też rodzinna. Splatano z nich wianki, zdobiono nimi głowy czcigodnych gości, upiększano nimi tanecznice i śpiewaczki. Na ucztach, wraz ze słodyczami, podawano gościom i kwiaty lotosu, przyczem żaden z gości ani na chwilę nie mógł zostać bez kwiatu, i jak tylko kwiat jego poczynął więdnąć, to natychmiast świeżym go zamieniano.

Wyobrażenie lotosu znajdujemy i w egipskiej architekturze. Pierwsze kolumny świątyń egipskich były wyłącznie imitacją kwiatu lotosu na łodydze, zaś francuscy uczeni, którzy towarzyszyli Napoleonowi w jego wyprawie do Egiptu, znaleźli dużo podobieństwa z tym kwiatem w ozdobach innych egipskich budowli. Tak na przykład, na podstawach kolumn, egipscy architekci umieszczali wyobrażenie liści lotosu, a ta część kolumny, która szczytu sięgała, miała na końcu wiązanke lotosów. Oprócz tego w ozdobach kapiteli można było spotkać pączki i kwiaty lotosu.

Lecz lotos miał jeszcze ekonomiczne znaczenie w Egipcie. Korzenie jego uważano jako jadalne i one dostarczały środków żywności tysiącom rodzin egipskich. Korzenie te zwykle zbierano po obniżeniu się wód, i suszono na słońcu, a potem składano do osobnych sklepów dla przechowania. Jadano je przeważnie ugotowane, jak kartofle. Smak ich też przypo-

minał nieco kartofle, lecz spożycie ich budziło silne pragnienie. Wogóle były one do tego stopnia używane i lubiane, że wszędzie sprzedawano je na ulicach.

Oprócz tego, według słów Diodora, używano też jako pokarm, mączniste ziarna lotosu, które męto na mąkę, a potem chleb z niej pieczono. Z korzenia i nasion przygotowano jeszcze lekarstwo „*neniu-far*“, stąd zapewne powstała francuska nazwa wodnej lilii „*nenuphar*“. Weszły w użycie też i płaskie, podobne do spodków, ich liście.

Z nich przygotowywano też naczynia do napojów, i starożytny grecki pisarz, Strabon, opowiada, że za jego czasów, wszystkie sklepy w Aleksandryi były zawałone temi liśćmi.

Oprócz białego lotosu, w Egipcie spotyka się jeszcze prześliczny lotos niebieski, albo jak go nazywają „niebieska wodna lilia“. Wyobrażenie tego lotosu spotykano na pomnikach, które można odnieść do IV i V-tej egipskiej dynastyi, która panowała przed trzema tysiącami lat do Nar. Chrystusa.

Prześliczne jego wyobrażenie znajdujemy jeszcze na znanym obrazie: „Zbiór papyrysu“, wyjętym z grobowca króla Tatochen, który żył, podług określenia egiptologów, od 3466 r. do 3333 r. przed Chrystusem.

Taką samą czią, jaką niegdyś otaczano lotos u starożytnych Egipcyan, cieszy się on teraz u buddystów w Tybecie i Mongolii. Pewien podróżnik, który

zwiedził niedawno świątynię Lama w górach Sikkima, opisuje go w ten sposób:

Posąg Buddy umieszczony jest za ołtarzem pod baldachimem, albo jedwabną kotarą. Z obu jego stron są umieszczone pstro odziane i wymalowane wyobrażenia świętych starców i niewiast. Budda jest wyobrażony w postaci siedzącej, z podwiniętymi nogami, przyczem pięta lewej jego nogi jest obrócona do góry, zaś lewa ręka leży na głowie, trzymając lotos i jakiś drogi kamień. Budda ma, jak zwykle, wijące się włosy, lamy — mitrę na głowie, a niewiasty — rozmaite ozdoby. Większość z nich ma kolczyki i wieńce z róż na głowie. Wszyscy stoją na wysokich piedestałach i tak są rozstawieni, że wyglądają jakby wychodzili z liści lotosu“.

W górach Tybetu spotkać się można też z napisami olbrzymich rozmiarów, które albo są w skałach wykute, albo wybite na olbrzymich tablicach kamiennych, do tych skał przymocowanych: „*Om Mani Padmê Oni*“ t. j. „Niech będzie błogosławiony On (Budda) z lotosem i drogim kamieniem“, — jest to modlitwa, z którą się zwracają do Buddy. Czasem jednak zwracają się do niego ze słowami: „*Om Mani Padmê*“, t. j. „Perła stworzenia w lotosie“, bo podług buddyjskiego wierzenia, stworzenie świata jest jakby tworzeniem niezliczonych lotosów, które zawierają się jeden w drugim do nieskończoności, i w tak olbrzymiej ilości, że rozum nasz nie jest w stanie je zrachować.

Takimi samymi słowami witają Buddę i indyjscy

buddyści, którzy, przeplatając poetyczne legendy o różnych roślinach i zwierzętach, z życiem swych bogów, mówią w swych świętych podaniach o lotosie. Nigdzie Budda nie mógł znaleźć sobie ani spokoju, ani schronienia, aż nim w końcu się nie ukrył w podobnych do róży kwiatach lotosu. Tutaj on czekał w zupełnem bezpieczeństwie chwili sprzyjającej, a następnie wyszedł ze swego cudnego więzienia w większej jeszcze chwale i majestacie i począł wszędzie rozsiewać bogactwa i pokarm. Dlatego to Indusi kładą kwiaty lotosu i jego owoce na ołtarzach ofiarnych swych bogów i zdobią wyobrażeniem tych kwiatów swe świątynie i swych bogów.

Z lotosem też jest połączona legenda o narodzeniu się Buddy. „Gdy nastał czas zjawienia się jego na świat, — głosi pewna indyjska legenda — to wszystkie kwiaty królewskiego ogrodu, białe, pąsowe i niebieskie lotosy wszystkich stawów otworzyły swe korony, jakby zamarły w oczekiwaniu tego wielkiego cudu; zatrzymały się też w swym rozwoju liście drzew, otwierające się pączki ich kwiatów i cała rosnąca na ziemi roślinność. Wtenczas Maja, matka Buddy, zeszła z palankinu, na którym spoczywała, i wyszła do ogrodu. Przy jej zbliżeniu się, na znak czci, drzewa nachyliły się ku ziemi, a w chwili, gdy ona porodziła syna, ziemia zadrżała i z nieba spadł obfity deszcz nimf i lotosów.

Śługi rzuciły się do nowonarodzonego Buddy, by

go podtrzymać, lecz on, wyrwawszy się z ich rąk, poszedł o własnych siłach.

I wszędzie, gdzie tylko noga jego dotykała ziemi, wszędzie tam wyrastał olbrzymi lotos. Taki sam deszcz z kwiatów pada z nieba na Buddę, gdy go prowadzą jako małe dziecko do świątyni, żeby dać mu imię, gdy go pierwszy raz prowadzą do szkoły do nauczyciela, potem gdy on świat opuszcza, by w samotności modlić się i pościć i gdy zwycięża złego ducha, Marę, który go kusił. A w końcu, różnobarwne lotosy sypią się z nieba na ciało Buddy, gdy na siódmy dzień po jego śmierci, kładą go na stosie, by go spalić...”

Lecz nie sami tylko Indusi-buddyści czczą lotos, — czczą ten kwiat także (szczególniej pokrewną mu odmianę lilii „nelumbium”) i Indusi, czciciele Brahmy. Obdarzeni bogatą fantazyą i zamilowaniem do samotnego rozmyślania, braminiści widzą w tym kwiatku symbol wiecznie odnawiających się i życiodajnych sił przyrody. Wedle ich słów, obficie pokryta lotosami i nelumbiami woda, błyszcząca od jasnych promieni słońca, lub mieniąca się od srebrnych połysków księżyca, wydaje z siebie delikatny aromat, i w takich chwilach pozwala widzieć i czuć, w jaki sposób ciała ciekłe przeistaczają się w stałe, zaś w samym lotosie można obserwować połączenie się ognia z wodą i twardych substancji z płynnymi. Dlatego to Brahma, jako ojciec całego stworzenia, tak samo jak i Budda, wyobrażany jest zawsze z lotosem w rękę,

albo spoczywający na jego liściu. W jednym z hymnów Wedy tak się śpiewa o Brahmie :

„On spoczywa, zatopiony wniebieskie rozmyślania o lo-
[tosie,
Którego kwiat powstał wtenczas, gdy on się go dotknął,
I zlał na niego złote promienie...”

Tak samo mówi się i o Wisznu — władcy i panu świata całego, — że oddech jego — jest to aromat lotosu (*nelumbium*), i że on chodzi i spoczywa nie na ziemi, ale na dziewięciu złotych lotosach, które same bogi przyniosły.

O tym kwiecie mówi się jeszcze w wielu przysłowkach i przypowieściach induskich. Tak n.p., mówią : „Kwiaty lotosu tak samo podtrzymują Wisznu, jak i jego czciciele“. Albo : „Kwiaty lotosu są okrętem, na którym tonący na życia oceanie może znaleźć zbawienie“. „Lotos — przyjaciel słońca. Kiedy księżyc ze swemi chłodnemi promieniami ginie, — lotos się otwiera“. Słowem, niema tej pochwały, niema pieśzczośliwego słowa, którego by Indus nie używał zarówno w poezji, jak i w prozie, przy opisanu lotosu, który jest drogim nawet dla kobiet, chociaż kwiat jego, podług wierzeń Indusów, przeciwnych poglądom Egipcyan, przyczynia się nie do wzburzenia, lecz poskromienia namiętności. A gdy w dawne czasy przynoszono w Indyi bogom ludzkie ofiary, to zbierano krew tej ofiary do liścia lotosu, przyczem pole-

cano napelniać liść nie cały, lecz tylko czwartą jego część, tak że ludzkie ofiary Indusów były tylko małym krwi upuszczeniem.

Ten indyjski lotos, czyli nelumbium, którego liście i kwiaty nie pływają na wodzie, lecz podnoszą się wysoko nad jej powierzchnią na długich swych łodygach, miał dawniej i obecnie ma jeszcze, nie mniejsze znaczenie ekonomiczne, jak i lotos egipski. Żywią się nim przeważnie Japończycy i Chińczycy, którzy go uprawiają w tym celu, jak warzywo. Na pokarm używają: korzeni, ziaren i liści. Korzenie jedzą surowe i gotowane. Latem jedzą je z lodem, jako rzecz ochładzającą, na zimę zaś zwykle je marynują. Ponieważ korzenie te zawierają bardzo dużo krochmalu, więc są nadzwyczaj pożywne i lekko-strawne. Na rynkach w Japonii, Chinach i Indo Chinach korzenie te leżą całymi stosami i noszą nazwę „chazun“. Smak ich, gdy są ugotowane, przypomina trochę selera lub brukiew. Jedzą je także pieczone na węglach, albo smażone, jak konfitury, oprócz tego robią z nich coś w rodzaju mąki, którą wsypują do zupy, jak n. p. mannianą kaszę lub sago.

Ziarna jedzą pocukrowane, jako przysmak, albo robią z nich ciastka. Co się tyczy liści, to na jesień, gdy ustaje już kwitnienie, młode listki, które roślina wtenczas wypuszcza, nacinają, związują w pęki i sprzedają na rynkach. Jedzą je gotowane, jak szparagi. Szczególnie dużo sprzedają ich na rynkach w Indyi.

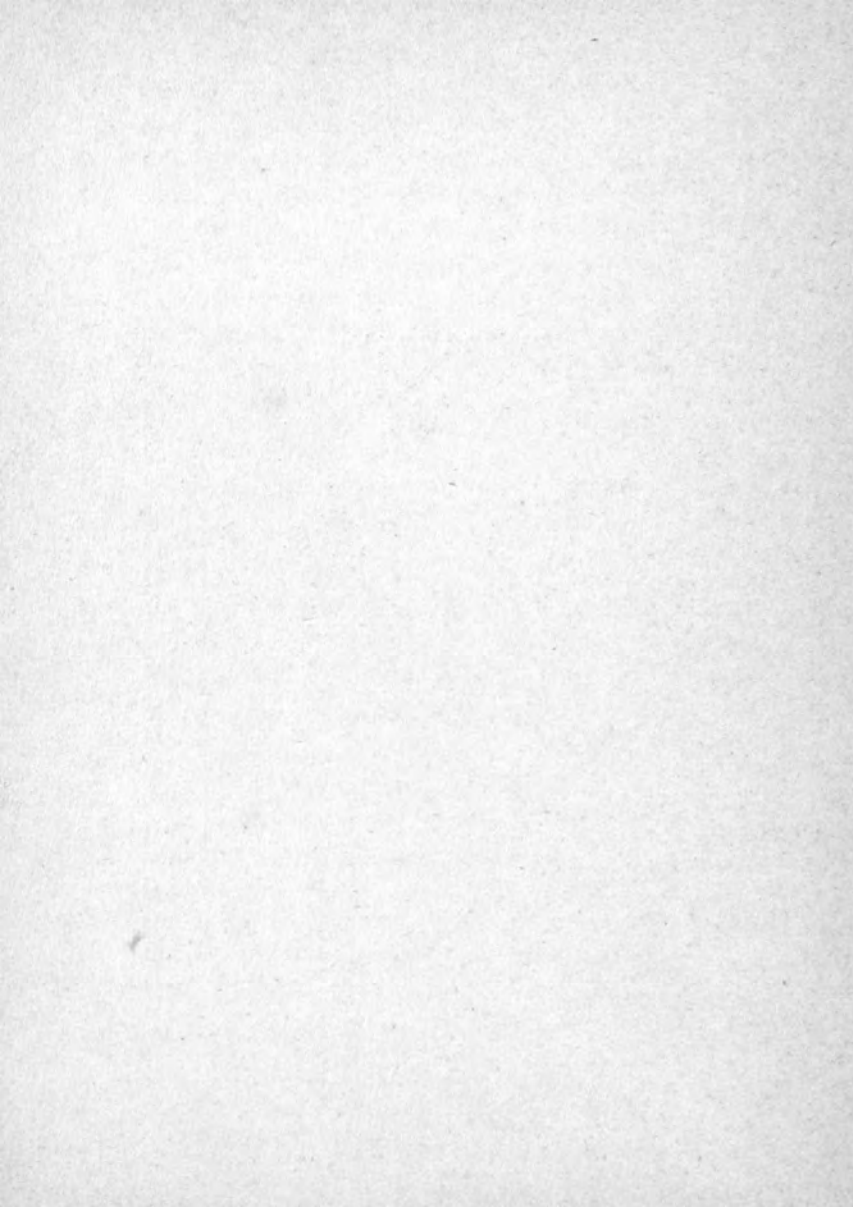
W dawniejszych czasach, prześliczną tę roślinę można było spotkać przy ujściu Wołgi koło Astrachania, gdzie ona nosiła nazwę „czulpańskiej róży“, od zatoki Czulpańskiej, gdzie rosła najobficiej. W jesieni, gdy jej bujne owoce, zawierające w sobie ziarna, były już dojrzałe, zjeżdżała się tam cała wioskowa młodzież, i zbierała te owoce całemi kupami. Lecz z czasem chciwość ludzka to sprawiła, iż obecnie kwiat ten zupełnie zaginął koło Astrachania, i, pomimo najtroskliwszych poszukiwań uczonych, nie zdołano znaleźć jego śladu.

KONIEC PIERWSZEJ CZĘŚCI.



SPIS RZECZY:

	Str.
Wstęp	5
Lilja biała	9
Róża	20
Goździk	63
Fijołek	74
Hyacynt	94
Tulipan	107
Narcyz	120
Bławatek	133
Mak	146
Niezapominajka	172
Barwinek	187
Chryzantema	200
Kamelja	217
Lilja wodna	234
Konwalja	244
Piwonja	253
Bez	263
Lotos	272



ŒMYŁKI DRUKU:

- „ 74, w tytule zamiast Viola adorata, ma być
Viola odorata.
- Strona 84, wiersz 3 od dołu, zamiast w przedzień
ma być w przeddzień
- „ 121, „ 2 „ „ zamiast włarołomną
ma być wiarołomną
- „ 122, „ 23 „ „ zamiast stasała
ma być starała
- „ 150, „ 11 „ „ zamiast mogę
ma być może
- „ 182, „ 12 „ „ zamiast ubraną
ma być obraną
- „ 214, „ 7 od góry złączyć słowo wystawa
- „ 280, „ 10 „ „ zamiast same bogi
przyniosły, ma być sami bogowie przynieśli
-



